



Deborah Simmons



Samotny rycerz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Reynold de Burgh stał na zamkowych murach i spoglądał na ziemię swojej rodziny zalane wątlm światłem brzasku. Od pewnego czasu zamierzał opuścić dom, ale teraz, gdy ta chwila nadeszła, wyjazd wydawał mu się bardziej bolesny, niż początkowo sądził. Uwielbiał Campion i jego mieszkańców i wcale nie uwolnił się od zdradliwej chęci pozostania na miejscu, mimo że decyzję już podjął.

Mógł ją odwlec, ale wiedział, że niczego to nie zmieni. Wkrótce jego ojciec, hrabia Campion, sprowadzi do wielkiej sali swoją nowo pojętą żonę i wtedy on, Reynold, poczuje zmiany zachodzące w zamku i miejscowym życiu. Chociaż kochał i szanował ojca i nawet polubił Joy, to ich szczęście było dla niego gorzkim przypomnieniem tego, czego w jego życiu brakowało.

Przez ostatnich kilka lat pięciu z sześciu braci również znalazło sobie żony i Reynoldowi ciążyła świadomość, że jest następny w kolejce. Nie gniewał się na braci i nie czuł do nich żalu, że wybrali małżeństwo i dzieci, ale wiedział, że jego przyszłość rysuje się inaczej.

Spodziewał się, że wkrótce mieszkańcy Campion zaczną w rozmowach zgadywać, który z pozostałych dwóch de Burghów - on czy jego młodszy brat Nicholas - skapituluje jako ostatni. Reynold wolał uniknąć tych pytań i towarzyszących im spojrzeń pełnych współczucia. Nie chciał też zazdrościć innym szczęścia. Dlatego postanowił wyjechać.

Nie zamierzał też marnować czasu na pożegnanie. Zszedł więc z murów na dziedziniec, gdzie czekał na niego wierny rumak. Nikomu nie zwierzył się ze swoich planów, ale zostawił list, w którym poinformował ojca, że wyrusza na pielgrzymkę.

Niby nie miał w głowie żadnego określonego celu, ale wolał zataić prawdziwy powód wyjazdu i zapobiec ewentualnym poszukiwaniom. Pielgrzymka stanowiła osobistą decyzję, którą ojciec i bracia powinni uszanować. Reynold nie życzył sobie, by z jego powodu ktokolwiek opuszczał żonę i dzieci, by tropić go po okolicy, zwłaszcza że wcale nie pragnął, by go znaleziono.

Ponieważ służba i dzierżawcy wstawali zwykle z kurami, postanowił się pospieszyć. Właśnie zbierał się, by dosiąść konia, kiedy usłyszał brzęczenie dzwonek nieda-

leko zamkowej bramy. Przykre wrażenie, że zwlekał z wyjazdem zbyt długo, potwierdziło się, gdy zobaczył spieszącą ku niemu korpulentną kobietę.

- O, tu jesteś! - zawołała wysokim głosem Cafell l'Estrange i pomachała mu.

Reynold omal głośno nie jęknął. Odkąd jego brat Stephen poślubił Bridgid l'Estrange, jej ciotki miały poczucie, że mogą przyjeżdżać z wizytą do Campion, kiedy im się podoba. Były szlachetnie urodzone i zapewniały Joy towarzystwo w domu, w którym większość mieszkańców stanowili mężczyźni.

Reynold zmrużył oczy.

- Wybaczcie, ale nie mam czasu do stracenia.

- Och, przecież wiemy, że wyjeżdżasz - powiedziała, a tymczasem z cienia wyłoniła się jej siostra Armes.

Reynold przysięgł sobie w duchu, że nie pozwoli, by kaprysy dam zasiały w nim wątpliwości co do wyjazdu. Zamierzał początkowo skłamać, że jedzie sprawdzić tamę albo wykonać inne zadanie od ojca, jednak gdy otworzył usta, wypowiedział po prostu własne myśli:

- Nie próbujcie mnie zatrzymać.

- Ani nam się śni, mój drogi - zapewniła Cafell i poklepała go po ramieniu.

- Oczywiście, że musisz jechać - dodała Armes. Nieznacznie odchyliła głowę i przeszyła go bystrym spojrzeniem. - Twoim przeznaczeniem jest odbyć niebezpieczną wyprawę.

Nie dość, że go zaskoczyła, to jej słowa wydały się Reynoldowi bezsensowne.

- Jaką znowu niebezpieczną wyprawę?

- Och, sądzę, że całkiem zwyczajną - powiedziała Cafell z tajemniczym uśmiechem. - Musisz zabić smoka, uratować damę i odzyskać jej dziedzictwo.

Przez dłuższą chwilę Reynold wpatrywał się oszołomiony w siostry. Wreszcie parsknął lekceważąco.

- Mylicie mnie ze świętym Jerzym.

- Nie sądzę - oznajmiła wyniośle Armes.

- Też coś, lordzie Reynoldzie. Niektórzy mogą uważać de Burghów za świętych, ale ponieważ poznałam ich osobiście, muszę zgodzić się z Armes - powiedziała Cafell. - Mimo że macie wiele chwalebnych cech.

Pokręcił głową. Nie miał czasu dla sióstr i męczyło go takie dziwaczne gadanie. Tylko głupiec uwierzyłby w ich słowa. Podejrzywał, że do naigrawania się z niego podpuścił te staruchy właśnie któryś z jego braci, wiedział bowiem doskonale, że skrzywiliby się pogardliwie na samą myśl o wyprawie rodem z romantycznej legendy.

Tyle że Robin mieszkał teraz w Baddersly, gdzie nadzorował majątek żony swojego najstarszego brata Dunstana, a Nicholasowi nie przyszłoby coś takiego do głowy. Poza tym Reynold trzymał język za zębami, a zaczął się przygotowywać w ostatniej chwili.

- Szkoda czasu na czcze gadanie, siostró - powiedziała Armes i znów skupiła uwagę na de Burghu. - Jechać musisz, ale nie pojedziesz sam. - Uniesieniem dłoni przywołała młodego człowieka, który wyłonił się z mroku, prowadząc jucznego konia. - To jest Peregrine, który będzie ci służył w tej podróży jako giermek.

Reynold spojrzał surowo na młodzieńca, który jednak wydawał się tym zupełnie nie przejmować. Błysnął zębami w uśmiechu i zręcznie dosiadł konia gotowy do drogi.

Reynold pokręcił głową. Gdyby chciał kogoś z sobą wziąć, wolałby własnego giermka, który przez ostatnie dwa lata spisywał się znakomicie. Nie chciał jednak zabierać Willa z jego domu w Campion i skazywać na niepewną przyszłość. Czemu więc miałby narażać Peregrine'a?

- Lepiej się pospieszmy, panie - powiedział spokojnie Peregrine.

Ponaglenie otrzeźwiło de Burgha. Nie była to pora na sprzeczki. Mógł odesłać chłopaka później Tymczasem podeszła do niego Cafell.

- Weź również to, milordzie. Dla ochrony - rzekła, podając mu sakiewkę.

- Wybieram się na pielgrzymkę, a nie na niebezpieczną wyprawę - odparł kąśliwie.

Na dziedzińcu dał się słyszeć jakiś odgłos, co przypomniało Reynoldowi, że należy się pospieszyć. Przytroczył więc sakiewkę do pasa i spojrzał na dwie zdziwaczale starszuszki, będące jedynymi świadkami jego odjazdu. Coś ścisnęło go za gardło. Przyglądał

im się przez chwilę, rozumiejąc, że ma ostatnią okazję, by przekazać wiadomość ojcu. W końcu jednak powiedział tylko:

- Nie chcę, żeby ktoś za mną jechał i namawiał mnie do powrotu.

I nie oglądając się już za siebie, ruszył ku bramom Campion.

- Reynold wyjechał?

W głosie lady Joy de Burgh zabrakło charakterystycznego dla niej opanowania. Czytała pergamin, który podał jej bez słowa mąż, stojący u szczytu stołu, i nie bardzo mogła uwierzyć w to, co widzi. Nie czekając na odpowiedź, opadła na kunsztownie rzeźbione krzesło.

- To moja wina - szepnęła, wyrażając obawy, które dręczyły ją bez przerwy, odkąd uległszy nagłemu pragnieniu, poślubiła hrabiego Campion. - On wyjechał przeze mnie - dodała, spoglądając mężowi w oczy.

- Nie - zaprzeczył Campion i również usiadł. - Na to zanosilo się już od dawna.

Joy wypytywałaby dalej, ale pojawił się syn pana domu, Nicholas, który zawsze wiedział, kiedy coś się dzieje.

- Reynold wyjechał? - spytał. - A dokąd?

Campion podał mu pergamin, który Joy upuściła na stół. Nicholas szybko przeczytał wiadomość i zerknął na ojca.

- Dlaczego mi nie powiedział? I dlaczego nie wziął mnie z sobą? Chętnie przeżyłbym jakąś przygodę!

Nie ulegało to najmniejszej wątpliwości dla nikogo, kto znał tego ciemnowłosego młodzieńca. Dorastał i coraz trudniej było mu usiedzieć na miejscu.

- Nie wydaje mi się, żebyś był z tych, którzy odbywają pielgrzymki - powiedział oschle Campion.

- Ale dlaczego on pojechał sam? - nie ustawał w dociekaniach Nicholas.

Joy też się tym martwiła. Samotni pielgrzymi, nawet rycerskiego stanu, łatwo mogli paść ofiarami wszelkiego rodzaju rabusiów. Wszyscy de Burghowie uważali, że są niezwyciężeni, ale cóż zdziała nawet dzielny i waleczny człowiek wobec bandy rozbójników.

- Nie pojechał sam. Wziął ze sobą Peregrine'a.

Joy podniosła głowę i zaskoczona ujrzała jedną z sióstr l'Estrange. Czyżby mówiła o tym młokosie, którego przywiozły ze sobą do zamku? Wydawał się zupełnym żółto-dziobem.

- Nie rozumiem, w czym może mu się przydać taki dzieciak - burknął urażony Nicholas.

- Nigdy nie wiadomo - stwierdziła Cafell, posyłając mu jeden ze swoich zagadkowych uśmiechów.

Może powiedziałaaby więcej, ale Armes ją odciągnęła i zaraz potem dźwięk dzwoneczków, przyszytych do jej rękawów, zaczął się szybko oddalać.

- Czy my w ogóle znamy tego Peregrine'a? - spytał Nicholas.

- Lepszy taki giermek niż żaden - uznał Campion, który wyraźnie nie zamierzał dyskutować o tym młokosie.

- Dokąd on pielgrzymuje? - spytała Joy. - Durham, Glastonbury, Walsingham i Canterbury leżały daleko, Santiago de Compostela i Rzym jeszcze dalej. - Chyba nie wybrał się do Ziemi Świętej?

Przy stole zapadło milczenie, w końcu Campion pokręcił głową, nie miał bowiem odpowiedzi.

- Może wyślesz kogoś jego śladem - zaproponowała w końcu Joy mężowi.

- Ja pojedę - zaofiarował się natychmiast Nicholas.

Campion znów pokręcił głową.

- On musi zrobić swoje.

Joy wiedziała, że mąż nie jest nieomylny, ale jego pewność ją pokrzepiła. Ujęła go za rękę. Wprawdzie Reynold nie okazał się tak ponury i pełen urazy, jak jej się kiedyś zdawało, ale był najbardziej nieszczęśliwym z siedmiu synów Campiona, co w tym domu stanowiło wyjątek. Domyślała się, że hrabia miał nadzieję, że ta podróż, nawet jeśli niebezpieczna, da Reynoldowi to, czego do tej pory w życiu mu brakowało. Bardzo chciała, by właśnie tak się stało.

Widząc przed sobą rozdroże, Reynold zwolnił i zawahał się. Dokąd właściwie jedzie?

- Dokąd jedziemy? - zapytał Peregrine, jakby czytając w myślach swego pana.

Zaskoczył go ten głos, nazywający po imieniu jego własną wątpliwość. Obrócił się zaskoczony, zatopiony w myślach, zdążył bowiem całkiem zapomnieć o jego obecności. Zmierzył chłopaka badawczym spojrzeniem. Peregrine był ubrany skromnie, lecz schludnie. Reynold nie miał pojęcia, dlaczego siostry l'Estrange uznały go za odpowiedniego kandydata na giermka, osobiście był jednak przyzwyczajony do dokonywania wyborów samodzielnie.

Giermek powinien pochodzić z dobrej i znanej mu rodziny, odważnej i rozumiejącej, czym jest honor. Wielu giermków zaczynało służbę od funkcji pazia i usługiwało przy stole, zanim pozwolono im czyścić broń i ekwipunek rycerza. Giermek musiał znać się na broni, polowaniu i turniejach, a oprócz tego spełniać podstawowe kryteria, traktowane jako oczywistość: mieć dobre maniery, umieć tańczyć i muzykować. Poza tym u de Burghów giermek musiał również umieć czytać, interesować się światem i mieć głód wiedzy.

Czy Peregrine nauczył się tego wszystkiego w domu dwóch zdziwaczałych staruszek? Reynold szczerze w to wątpił. Nawet zresztą gdyby młody człowiek był znakomicie przygotowany, to czy należało go zabrać w podróż nie wiadomo dokąd?

- Cel mojej podróży to nie twoja sprawa - powiedział. - Zresztą dalej jadę sam. Możesz wrócić do Champion.

- Nie mogę, panie.

Czyżby był taką ofertą, że nie potrafiłby znaleźć drogi z powrotem?

- Po prostu zawróć i jedź drogą, na której jesteśmy. Zaprowadzi cię prosto do domu.

Chłopak pokręcił głową.

- Nie, panie. Panie l'Estrange powiedziały wyraźnie, że bez ciebie, panie, mam nie wracać.

Reynold parsknął. Czyżby te głupie kobiety uważały, że Peregrine może opiekować się zaprawionym w bojach rycerzem? Należało raczej przypuszczać coś odwrotnego. Im dalej będą w drodze, tym bardziej chłopak będzie zawadzał.

- Wobec tego zwalniam cię ze służby. Znajdź najbliższą wieś i zgłoś się do pana we dworze.

Chłopak znowu pokręcił głową. Nie wydawał się ani przestraszony, ani zły.

- Mam zobowiązania wobec pań l'Estrange.

- Wobec tego wróć do ich majątku i innych obowiązków, które tam masz - zaproponował Reynold.

Nigdy nie był w majątku sióstr l'Estrange, wiedział jednak, że ciotki Bridgid mieszkają na obrzeżu gruntów należących do Campion, więc ta podróż nie powinna być dla młodzieńca niebezpieczna.

- Nie mogę. Jestem związany słowem, milordzie.

Chociaż Reynolda złościł taki upór, musiał uszanować niewzruszoną lojalność, zwłaszcza u niewyszkolonego młokosa. Zresztą gdyby obstawał przy swoim, istniało niebezpieczeństwo, że Peregrine potajemnie ruszy za nim i przy okazji znajdzie się w opałach. Dobrze, że przynajmniej nie był to towarzysz, któremu podczas drogi nie zamykają się usta. Ta myśl cofnęła Reynolda do początkowego pytania.

Dokąd się udać?

Nie chciał tego przyznać przed chłopakiem, ale sam nie miał zielonego pojęcia. Kiedy rozważał opuszczenie Campion, mgliście wyobrażał sobie, że dołączy do wojsk Edwarda. Jakoś jednak nie wydawało mu się, by walcząc z Walijszymi, działał w słusznej sprawie, skoro jego szwagierka odziedziczyła w Walii majątek. W dodatku dookoła szeptano, że Bridgid ma władzę nad mocami i lepiej nie wchodzić jej w drogę. Zresztą siostry l'Estrange rzeczywiście były dziwaczne i Reynold zmarszczył czoło, gdy pomyślał o ich zachowaniu tego ranka.

- Skąd twoje panie wiedziały, że wyjeżdżam? - spytał.

- Nie wiem, milordzie. Krążą jednak plotki, że znają one tajemnicę jasnowidzenia. Nazwały twoją podróż, panie, niebezpieczną wyprawą.

- Nie mam żadnego zadania do wypełnienia, więc co to za wyprawa? - parsknął Reynold i zerknął z ukosa na chłopaka. - Powiem ci też, że ta podróż nie ma nic wspólnego z romansami rycerskimi, jeśli ruszyłeś w nią z takim przeświadczeniem. Nie mamy eskorty, a nawet pielgrzymi napotykają niebezpieczeństwa, o których ci się nie śniło. Nie chcę brać za ciebie odpowiedzialności, bez względu na złożone przez ciebie przysięgi.

Peregrine nie wydawał się tym przejmować. Przeciwnie, błysnął szerokim uśmiechem, który zdradzał jego entuzjazm.

- Kto nie chciałby przeżyć przygody, panie? - spytał, jakby rozumność Reynolda budziła u niego poważne wątpliwości.

Reynold przygryzł wargę. Te słowa zabrzmiały jak wyzwanie, kiedyś bowiem on i jego bracia powiedzieliby to samo. O dziwo jednak, pierwszy raz tego dnia poczuł, że trochę mu lżej na sercu. Do tej pory czuł się samotnym wędrowcem, nawet wyrzutkiem, chociaż z wyboru, tymczasem ten młokos mógł okazać się całkiem dobrym towarzyszem.

- Ruszajmy więc - rozkazał.

Skierował Siriusa w prawo i zaczął oddalać się od drogi, która prowadziła do majątku jego brata Dunstana. Ten szlak, jak słusznie zauważył Peregrine, prowadził ku czemuś nowemu, chociaż Reynoldowi, inaczej niż temu młodzieńcowi, wcale nie było tęskno do przygody. Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że żadna przygoda go nie spotka. Ludzi też zresztą wolałby nie spotykać.

Nie zdążyli jednak wiele ujechać, gdy zniecka rozległo się wołanie. Zerknąwszy przed siebie, Reynold ujrzał samotnego jeźdźca. Gdy nieco się zbliżył, zauważył, że na koniu oprócz mężczyzny siedzi jeszcze chłopiec. Obaj mieli na sobie schludne, a może nawet kosztowne stroje i wydawali się zupełnie niegroźni, choć z ich juk wystawała broń.

- Witaj, panie - odezwał się mężczyzna i skłonił głowę. - Dokąd zmierzacie?

- Jesteśmy pielgrzymami - odparł Peregrine, a Reynold pomyślał, że musi z giernikiem odbyć poważną rozmowę na temat zalet milczenia.

- My też - zawołał mężczyzna i na jego zniszczonej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - A dokąd pielgrzymujecie?

Peregrine nie miał na to odpowiedzi, więc spojrzał na Reynolda, który jednak zbył milczeniem to pytanie.

- Rozumiem. Jesteście powściągliwi w słowach. To zrozumiałe. Czy jednak możemy wam towarzyszyć? Fortuna sprzyja tym, którzy łączą siły w podróży.

- Nie wiem, czy wasz koń będzie w stanie dotrzymać kroku naszym wierzchowcom
- powiedział Reynold, który nie miał ochoty na towarzystwo.

- Chyba wam się nie spieszy? - odparł niezrażony tym mężczyzna. - Podróż to również podziwianie widoków i radość z towarzystwa innych pielgrzymów.

Właśnie ta ostatnia część budziła największe wątpliwości Reynolda, który zupełnie nie przypominał swoich jowialnych braci. Zawsze lubił trzymać się na uboczu i nie miał najmniejszej ochoty prowadzić gromady złożonej z Bóg wie kogo.

Nieznajomy jednak nie ustawał w wysiłkach.

- Jako pielgrzym, taki sam jak wy, błagam, abyście pozwolili nam się przyłączyć, dzięki czemu kompania stanie się bardziej liczna. Nie robię tego ze względu na siebie, lecz na tego oto chłopca, który potrzebuje uzdrawiającej mocy źródła w Brentwyn, jest bowiem kulawy.

Słyszając to, Reynold zeszywniał. Początkowo sądził, że mężczyzna sobie z niego dworuje i że jest to część żartu ukartowanego przez jego braci. Szybko jednak uznał to przypuszczenie za niedorzeczne i chociaż wolałby puścić mimo uszu prośby nieznajomego, to był przecież rycerzem, więc miał obowiązek wspierać słabszych.

- No dobrze - odburknął.

Mężczyzna wylewnie podziękował, a potem przedstawił się jako Thebald i oznajmił, że chłopiec, który z poważną miną skinął głową, ma na imię Rowland.

- Nazywają mnie Reynold, a to jest Peregrine - powiedział pełen nadziei, że giermek weźmie z niego przykład i zachowa dyskrecję.

Nazwisko de Burgh było dobrze znane, wolał więc nie budzić niepotrzebnie zainteresowania.

Szczęśliwie Peregrine, gdy znów nawiązał rozmowę z nieznajomymi, prowadził ją znacznie ostrożniej. Wkrótce młodzik przyjaźnie gawędził z Thebaldem, obaj opowiadali sobie różne historie, wspominali sanktuaria i inne miejsca godne odwiedzenia. Reynold słuchał tego przez chwilę, szybko zabrakło mu jednak cierpliwości, więc oddał się rozmyślaniom. Przede wszystkim próbował zrozumieć, jak to się stało, że jego samotna peregrynacja wygląda w taki sposób.

Zbudził go jakiś nieokreślony dźwięk. Wprawdzie nie spał na siedząco, oparty o pień drzewa, tak jak jego brat Dunstan, ale nie byłby de Burghiem, gdyby nie zachowywał czujności i nie wyłapywał choćby najwątleszych odgłosów. Zaczął więc nasłuchiwać, choć nie otworzył oczu.

Zaniepokoił go szelest. Jakby ktoś szperał w jukach, pomyślał Reynold, ale wciąż leżał nieruchomo. Spod lekko uniesionych teraz powiek próbował dostrzec intruza. Obozowisko rozbili w pozbawionej dachu ruinie starego domu przy drodze, która dawała pewną osłonę. Niewielki ogień już jednak wygasł.

Światło rzucał jedynie wąski sierp księżyca, wystarczyło jednak, by Reynold dostrzegł ciężką laskę unoszącą się dokładnie nad jego głową. Thebald trzymał ją, gotów w każdej chwili uderzyć, a tymczasem chłopak, który wcześniej podpierał się nią przy chodzeniu, stał zupełnie bez jej pomocy i przeszukiwał rzeczy Peregrine'a. Czyżby ci dwaj już zdążyli rozprawić się z młodzikiem?

Niepokój o Peregrine'a dodał Reynoldowi siłę, z dzikim rykiem zerwał się więc na równe nogi. Thebald, choć sprawny i zawzięty, nie był przeciwnikiem dla świetnie wyćwiczonego rycerza, pozwolił więc wyrwać sobie laskę z ręki. Wobec tej straty napastnik wezwał na pomoc młodego kompana. Ten odwrócił się, dobył noża i zręcznie nim cisnął, mierząc prosto w pierś Reynolda.

Peregrine, obudzony przez hałas, ostrzegawczo krzyknął. Reynold zerknął w jego stronę i przekonał się, że kompan Thebalda z wielką zajadłością rzucił się na giermka. Chwilę potem obaj tarzali się wokół pozostałości ogniska.

Wyciągnąwszy nóż, który trafił w cel, Reynold wymierzył w Thebalda laskę.

- Zawołaj swojego psa, jeśli życie ci miłe.

Niedoszły złodziej z trudem chwycił powietrze, oczy wychodziły mu z orbit.

- Przestań, Rowland. Przestań! - zachrypiał.

Młody opryszek był wyraźnie głuchy na te wezwania, więc Reynold grzmotnął Thebalda laską w głowę i skupił uwagę na bójce, która toczyła się niebezpiecznie blisko płomieni. Nie ulegało wątpliwości, że napastnik chce wepchnąć Peregrine'a do ognia, aby go poparzyć.

Z groźnym charkotem Reynold chwycił Rowlanda za kark i cisnął nim o ziemię. Zanim ten zdążył się pozbierać, Reynold przyłożył mu do gardła jego własny nóż.

- Posłuchaj uważnie, ty fałszywy kuternogo, jeśli chcesz pozostać przy życiu. Ja naprawdę jestem kulawy, ale i tak mogę z tobą zrobić, co tylko zechcę.

Rowland stawiał jednak opór i został związany. Gdy pozbierali z Peregrine'em swoje rzeczy i przywiązali konie złodziei do swoich, wskoczyli na siodła. Chłopak zaczął ich głośno przeklinać.

- Aż trudno mi w to uwierzyć - mruknął wkrótce potem Peregrine. - On po południu wydawał się taki miły.

- Niech będzie to dla ciebie nauczką, chłopcze. Pozory mylą.

- Mogli nas zabić. Kiedy spaliśmy!

- Ciebie pewnie tak, ale nie mnie. - Gdy Peregrine zwiesił głowę po tej reprimendzie, Reynold złagodził ton. - Zresztą to chyba tylko zwykli złodzieje, którzy żyją z napadania pielgrzymów. Inaczej zabiliby nas od razu i dopiero potem przeszukaliby nam kieszenie.

- A co z tym nożem? Widziałem, jak cię trafił, panie! I nie jesteś ranny?

Reynold pokręcił głową.

- Nie wyjeżdżam w drogę bez kolczugi, chociaż przykryłem ją tuniką, żeby nie przyciągać uwagi.

- Zawsze będziesz przyciągał uwagę, panie.

Czyżby chłopak miał na myśli jego nogę? Reynold spojrział na niego z ukosa i chłopak się stropił.

- Chciałem powiedzieć tylko... - zająknął się. - Masz, panie, olbrzymi miecz, a poza tym jesteś de Burghiem. Kto mógłby wziąć cię za kogo innego?

Reynold parsknął.

- Thebaldowi i Rowlandowi, jeśli ci dwaj rzeczywiście tak się nazywali, wydałem się dostatecznie niepozorny, by uznali, że dadzą sobie ze mną radę.

- Czy to prawda, co mu powiedziałaś, panie? - spytał Peregrine, a przeszyty przenikliwym spojrzeniem znów zaczął się jąkać. - Za-zastanawiałem się, bo-bo nie sposób tego zauważyć.

- Owszem, mam chromą nogę - odpowiedział Reynold.

- Raniono cię w bitwie?

Reynold pokręcił głową.

- Od urodzenia - powiedział z udaną beztróską.

Ta poza przychodziła mu z łatwością, był bowiem przyzwyczajony do ukrywania swoich uczuć. Nauczył się tego, gdy bracia go popędzali, gdy pokpiwali z jego strapiień, z zazdrości, którą budziły u niego ich łatwo zdobywane umiejętności; z pretensji, które miał o swoje miejsce w wielkiej rodzinie de Burghów, widzącej w nim kozła ofiarnego.

- To wina akuszerki?

Reynold zdziwił się tym pytaniem, nikt bowiem nie pytał go o nogę. Również on sam nigdy nie poruszał tego tematu. Nie należało oczywiście karcieć chłopaka za nadmierną ciekawość, ale z drugiej strony trudno mu było o tym mówić, zwłaszcza że pytanie należało do tych, na które nie było odpowiedzi. Wzruszył ramionami.

- Spytałem, bo tam, gdzie mieszkamy, moja siostra czasem pomaga akuszerce, i ona mówi, że dziecko bywa niewłaściwie ułożone i nie wychodzi wtedy tak, jak należy. Kobiety starają się je wyciągnąć, ale kto wie, jak mogą je przy tym uszkodzić. Niektóre dzieci nawet w ogóle nie chcą wyjść albo wychodzą nóżkami do przodu. Czy tak było z tobą, panie?

Reynold znowu wzruszył ramionami. Nie miało sensu prowadzić takich rozważań, skoro oprócz niego nie żył już nikt z obecnych przy porodzie.

- To mogła też być wina powijaków - powiedział Peregrine tak, jakby głośno myślał. - Kończyny dziecka trzeba dokładnie owinąć i wyprostować, ale bardzo ostrożnie. Akuszerka powiedziała mojej siostrze, że niewłaściwe zakładanie powijaków powoduje...

Chłopak nagle urwał, jakby wreszcie zdał sobie sprawę z tego, że nie powinien zadawać takich pytań.

- Nie jestem kaleką - stwierdził Reynold tonem kończącym rozmowę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jechali dalej tą samą drogą. Po przykrym doświadczeniu poprzedniej nocy Peregrine zaproponował wybór mniej uczęszczanego szlaku, który prowadził do dworu, gdzie mogliby bezpiecznie i wygodnie odpocząć. Reynold nie chciał jednak zdradzać miejsca swojego pobytu, przypomniał więc chłopcu, że niebezpieczeństwo jest częścią podróży.

Zasepiony Peregrine nie wydawał się już tak entuzjastycznie nastawiony do przygód jak poprzedniego dnia, i bez wątpienia dostał cenną lekcję.

- Jedziemy do Walsingham czy do Bury St. Edmunds? - spytał.

Reynold zerknął na chłopaka z ukosa, do tej pory nie poświęcił bowiem pielgrzymce wiele myśli poza tym, że potraktował ją jako pretekst do wyjazdu z domu. Teraz jednak zaczął się zastanawiać. Nie mogli przecież jeździć tam i z powrotem, a pielgrzymka nadałaby ich podróży godny cel. Zresztą gdyby Reynold był sam, może nawet pojechałby zobaczyć to uzdrawiające źródło z czystej ciekawości. Powstrzymała go jednak obecność Peregrine'a.

Dawno nauczył się nie zdradzać ze swoimi najbardziej skrytymi tęsknotami, a już na pewno nie robił tego, odkąd ojciec nakrył jego brata na próbie sprzedania mu zęba Gilberta z Sempringham, patrona kalek. Stephen z dużym zacięciem handlował relikwiami wątpliwego pochodzenia zarówno wśród swoich braci, jak i innych chętnych, którzy byli dostatecznie łatwowierni, by wykazać zainteresowanie. Jednak Champion położył kres temu procederowi.

Właśnie wtedy Reynold mimo młodego wieku zrozumiał, że lepiej jest ukrywać swoje uczucia i wszelkie oznaki słabości. Rodzina udawała, że nie zauważa jego ułomności, więc postarał się do tego dostosować. Nikomu nie pozwalał nawet tej nogi obejrzeć i nic się w tej kwestii nie zmieniło. Czuł się niepewnie ze świadomością, że jego ni-by giermek coś na ten temat wie.

Zostawił jednak te rozważania i zastanowił się, dokąd mogliby się udać.

- Dlaczego sądzisz, że zmierzamy do Walsingham albo Bury St. Edmunds? - spytał Reynold, przerywając ciszę.

- Kierujemy się na wschód, panie.

- A skąd to wiesz?

- Mam taki specjalny przyrząd, milordzie.

Spojrzał z uznaniem na chłopca. Niewielu podróżników miało przenośne zegary słoneczne. Ciekawe, w co jeszcze siostry l'Estrange wyposażyły jego giermka, zastanowił się.

- Oglądałem też mapy. Glastonbury jest na południu, a Durham na północy.

Reynold coraz usilniej zastanawiał się, skąd siostry wiedziały o jego wyjeździe. Uznał jednak, że zmuszanie Peregrine'a do odpowiedzi nie ma sensu. Zresztą wcale nie był pewien, czy chce znać tę odpowiedź.

- Widzę, że przygotowałeś się na znacznie dłuższą podróż niż ta, o której myślał nasz znajomy rzeźmieszek Thebald - powiedział Reynold. - Z map jednak zwykle jest niewielki pożytek.

Geoffrey, najbardziej wykształcony z de Burghów, nieraz narzekał, że większość map jest bardzo niedokładna i źle sporządzona. Na przykład na mapie świata w centrum znajdowała się Ziemia Święta, dookoła zaznaczono różne miejsca znane ze starożytności, a inne kraje były przedstawione jedynie jako fantastyczne stwory. Anglia leżała na samym skraju świata, jakby oznaczała jego koniec, co naturalnie nie było prawdą, jak świetnie wiedzieli wszyscy marynarze.

Peregrine mówił jednak prawdopodobnie o jakimś szkicu dróg, ubogim w rysunki bądź całkiem ich pozbawionym. Przedstawiano tam duże miasta połączone liniami i przybliżone odległości między nimi. To byłoby nieco lepsze, ale mimo wszystko...

- Osobiście ufam niebu i dzwonom kościelnym. Wolałbym, żeby to one mnie prowadziły, a nie twój przyrząd - powiedział de Burgh.

Peregrine uśmiechnął się szeroko i Reynold poczuł, że mimo woli i jemu unoszą się kąciki ust.

- A dokąd chciałbyś jechać? - spytał chłopaka, sam siebie tym zaskakując.

Oczekiwał, że w odpowiedzi zostanie wymieniony Londyn, bo kto nie chciałby zobaczyć tego wielkiego, wspaniałego miasta? Tymczasem Peregrine wzruszył ramionami.

- Dla mnie nie ma to wielkiego znaczenia, panie. Reynold spojrział na niego badawczo. Czyżby wydarzenia poprzedniej nocy całkiem pozbawiły go entuzjazmu? Peregrine nie wydawał się jednak nieszczęśliwy.

- Chciałem tylko powiedzieć, że cel naszej podróży nie jest tak ważny jak to, co się stanie. Przecież wyruszyliśmy na niebezpieczną wyprawę, prawda?

Czemu ten chłopak trzyma się niedorzecznych zapowiedzi? - zapytał się w myślach Reynold i mruknął coś pod nosem. Wspomniał słowa siostry l'Estrange o zabiciu smoka i uratowaniu damy w tarapatach. To brzmiało jak legenda o Parsifalu, któremu matka nakazała, by był gotowy udzielić pomocy każdej potrzebującej damie.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Peregrine, ale wydaje mi się, że siostry l'Estrange naczytały się zbyt wielu romansów. Odbyłem już mnóstwo podróży i nigdy żadnej damy w tarapatach nie spotkałem;

- A lady Marion? - spytał Peregrine.

Reynold zmarszczył czoło. Marion rzeczywiście znalazła się w tarapatach, bo napadnięto ją na drodze, ale znaleźli ją jego bracia Geoffrey i Simon, wcale nie on i nawet nie Dunstan, który potem się z nią ożenił.

- Czy przypadkiem nie wszystkie żony de Burghów były kiedyś damami w tarapatach?

Reynold omal nie parsknął śmiechem. Tylko nieliczne z żon swoich braci nazwałby damami. Niektóre były nie mniej porywcze od swoich mężów, i to właśnie Reynold powiedział Peregrine'owi.

- Gdybyś ośmielił się powiedzieć żonie Simona, że on ją uratował, to powiesiłaby cię na suchej gałęzi, zanim zdążyłbyś mrugnąć.

- Ale przecież wszystkie potrzebowały pomocy.

- Niektóre może tak - przyznał Reynold. - Żadnej jednak nie zagrażał smok. Czy siostry l'Estrange wspomniały ci, że kazały mi zabić smoka?

Chłopak zamilkł i odwrócił wzrok, gdy de Burgh na niego zerknął. Spoglądał teraz prosto przed siebie i zaczerwienił się. Może ten młokos jeszcze wierzył w takie historie i uznał, że próbuję z niego kpić? - zastanowił się. Oczywiście tego nie robił. Sam kiedyś wierzył w uzdrawiające źródła i ich magiczną moc. Z wiekiem jednak przejrzał na oczy.

- Chyba musieliśmy je minąć - powiedział Peregrine.

Rozczarowana mina młodzieńca przypomniała Reynoldowi o Nicholasie, najmłodszym z de Burghów. Czy on sam też kiedyś był taki młody i zapalczywy? Teraz bowiem czuł się dużo starszy od Peregrine'a.

Jechali ponad tydzień, łykali kurz na drodze, forsowali strumienie i unikali zalesionych terenów, które często dawały kryjówkę zbójcom. Konie złodziei oddali potrzebującym. Ponieważ Reynold nalegał, by trzymać się z dala od szerokich traktów, korzystali z mniejszych dróg i objazdów, co oznaczało, że nie jadą prosto i mogą łatwo zbożyć z właściwego kierunku.

Zupełnie się tym jednak nie przejmował. Bufy St. Edmund było ciekawym miejscem, ale przecież nie musieli tam dotrzeć szybko. Zresztą i tak nie wiedział, gdzie pojedą dalej.

Teraz byli pielgrzymami. Kim zostaną potem? Reynold wiedział, że kiedyś skończą mu się pieniądze, a nie chciał dołączyć do motłochu spotykanego na drogach: wyrzutek wyjętych spod prawa, banitów, zbiegłych chłopów i włóczędów, którzy trzymali się odludnych okolic, by uniknąć lochów.

Zadumał się. Jako rycerz, w dodatku noszący nazwisko de Burgh, był człowiekiem zdyscyplinowanym, tym trudniej przyszła mu decyzja o wyjeździe. Chciał uciec od oczekiwań, jakie z nim wiązali krewni, i od szczęścia rodzinnego, ale wyjazd nie dał mu oczekiwanej satysfakcji.

- Może powinniśmy zawrócić - podpowiedział Peregrine, czym wyrwał Reynolda z zamyślenia.

De Burgh pokręcił głową. Nie spodobał mu się ten pomysł. Chciał jechać przed siebie, a nie deptać własne ślady.

- Przed nami widać wieś. Tam dowiemy się, gdzie jesteśmy.

Gdy jednak dotarli do pierwszych zabudowań, nie spotkali nikogo, żeby móc zapytać, gdzie są i jak dalej jechać do Bury St. Edmunds. Wieś wydawała się złowieszczą w swoim bezruchu. Reynold nieco zwolnił, Peregrine poszedł za jego przykładem, ale mimo wszystko chrząst podków o ziemię brzmiał w otaczającej ciszy wyjątkowo głośno.

Za głośno. Nie towarzyszyły mu żadne odgłosy wiejskiego życia. Nie było słychać płaczu niemowląt, nawoływań dzieci, krzątania chłopów, skrzypu kół ani stuku narzędzi.

Reynoldowi włosy zjeżyły się na karku. Miał wrażenie, że ktoś ich obserwuje.

- Co to za miejsce? - spytał lękliwie Peregrine szeptem.

- Wydaje się opuszczone - powiedział Reynold.

- Podczas podróży z braćmi nieraz natykał się na niszczące domostwa i wyludnione wsie. - Czasem mieszkańcy przenoszą się tam, gdzie jest żyźniejsza ziemia. Kiedy indziej wypędzają ich ciągłe powodzie. - Reynold odchrząknął. - A czasem winna jest śmierć.

Rozległ się głośny wdech Peregrine'a.

- Myślisz, panie, że ludzi tutaj ktoś zabił?

- Nie ktoś, tylko coś - odparł Reynold. - Choroba potrafi uderzyć tak nagle, że mało kto zdąży przed nią ujsć z życiem.

Starał się powstrzymać drżenie, które wywołała u niego ta myśl. W odróżnieniu od braci, którzy byli na tyle zuchwali, by uważać się za niezwycięzonych, Reynold zdawał sobie sprawę ze swoich niedoskonałości i z tego, że jest zwykłym śmiertelnikiem.

- Może jednak powinniśmy zawrócić?

- Nie - powiedział Reynold cicho, lecz zdecydowanie.

To miejsce nie tchnęło odorem śmierci, a jednak coś tu było nie w porządku. Tylko co?

- Czy sądzisz, panie, że nie ma się czego bać? - spytał nieśmiało Peregrine.

Zanim odpowiedział, usłyszeli dziwny dźwięk, jakby łopot skrzydeł wielkiego ptaka.

- Nie ma - powiedział Reynold po chwili wahania.

Zastanawiał się, jak długo wieś jest opuszczona.

Strzechy jeszcze nie zaczęły gnić, a budynki wydawały się w dobrym stanie. Nie widział ruin wśród chwastów, lecz chaty, które sprawiały wrażenie zamieszkaných. Tyle że ziało tu pustką. Nie było ani człowieka, ani zwierzęcia.

- To wygląda tak, jakby ludzie po prostu odeszli, prawda? - zapytał drżącym głosem Peregrine.

Sytuacja wydawała się dostatecznie osobliwa, by dorosły człowiek zachował ostrożność, ale Reynold nie dostrzegł żadnych śladów ataku człowieka. Zarazy też nie. Nie leżały wokoło żadne zwłoki, nie śmierdziało, nie było widać świeżych grobów. Mieszkańcy po prostu... znikli.

- Może wybrali się na jarmark albo na jakąś uroczystość. Lub zostali wezwani do dworu - domyślał się Peregrine.

Reynold pokręcił głową. Nie potrafił wyobrazić sobie sytuacji, w której każdy człowiek bez wyjątku, sprawny czy niedołężny, byłby zmuszony opuścić swoje domostwo. Zresztą chaty były starannie pozamykane, a zwierzęta i dobytek chyba zostały zabrane.

- Panie, zmierzamy w złym kierunku. Wracajmy - poprosił poważnie zaniepokojony Peregrine.

Reynold znowu pokręcił głową. Tym razem jednak uniesieniem dłoni dał giermkowi znak, by się nie odzywał, usłyszał bowiem odgłos kroków. Może zresztą był to ten sam łopot co poprzednio, tylko cichszy. Wciąż zdawało się Reynoldowi, że jest obserwowany, chociaż nie zauważył dotąd żadnego bezpośredniego zagrożenia. W każdym razie gadanie giermka przeszkadzało mu w prowadzeniu obserwacji, a co więcej, mogło dostarczać informacji ukrytemu wrogowi.

Te opuszczone chaty, podobnie jak las dookoła, mogły być kryjówką zbójów, ale Reynold nie miał najmniejszego zamiaru uciekać. Nigdy nie unikał walki i nie zamierzał stosować uników również teraz, nawet gdyby okazało się, że są z Peregrine'em w mniejszości.

Nikt jednak nie wychodził im naprzeciw. Młyn wydawał się całkiem nieruchomy. Nieduży dwór, stojący na uboczu, w pewnym oddaleniu od drogi, był zamknięty na cztery spusty, a okna miał zasłonięte okiennicami. Przed nimi wznosiły się ruiny budynku z kamienia, dalej zaś droga zakręcała i obiegała dziwny pagórek. Naprzeciwko znajdował się kościół, całkiem niepozorny, jeśli nie liczyć dekoracji bocznej ściany.

Reynold powściągnął wierzchowca, by lepiej się temu przyjrzeć, i głośno syknął.

- Czy to jest smok? - spytał szeptem Peregrine.

Nagle w absolutnej ciszy rozległ się głośny dźwięk. Tym razem jednak nie był to zwodniczy szum wiatru, lecz wyraźne bicie dzwonów. Dzwonów kościoła.

Sabina Sexton stała w mroku kaplicy i przy zamierającym biciu dzwonów przyglądała się dwóm obcym na drodze.

- To będzie koniec. Już po nas! - powiedziała z przekonaniem Ursula.

- Nawet zbóje nie zabiją nas w kościele - odparła Sabina z nadzieją, że się nie myli.

Nie miała już żadnych pomysłów, a ci dwaj byli pierwszymi ludźmi, jakich zobaczyła od wielu tygodni. Kiedy młody Alec ostrzegł ją, że się zbliżają, pospieszyła do kościoła, licząc, że znajdą tam lepszą ochronę niż gdziekolwiek w pobliżu.

- Nie wyglądają na rabusiów - powiedziała Sabina. - Może to pielgrzymi?

- Jak więc mają nam pomóc? Pewnie uciekną przerażeni i rozpoviedzą historię Grim's End jeszcze dalej.

Sabina miała nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo i tak byli już odcięci od świata, omijani szerokim łukiem przez wszystkich, którzy wiedzieli o ich kłopotach. Tymczasem przybysz zsiadł z konia, więc Sabina podeszła do okna, by mu się przyjrzeć.

- Nie wygląda jak pielgrzym, jego koń też do pielgrzymy nie pasuje. Bardzo mocne zwierzę, na takim mógłby jeździć rycerz.

Ursula szybko do niej podeszła, ale Sabina nie odrywała oczu od obcego. Było w nim coś takiego, co różniło go od mężczyzn, których do tej pory widywała. Wysoki i wyprostowany, barczysty, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona nie był w stroju wskazującym na rycerza. A przecież nie uciekł ze wsi. Wydawał się ostrożny, ale nie lękliwy. I był pewny siebie.

- Nie ma kolczugi, hełmu ani rękawic - powiedziała Ursula.

- Owszem, ale popatrz na jego miecz - szepnęła Sabina.

Taka broń musiała należeć do rycerza.

- Ma taką srogą twarz - zauważyła Ursula i Sabina w końcu zwróciła się ku swojej służącej.

- Wcale nie.

Już chciała powiedzieć, że mężczyzna jest bardzo przystojny, ale powstrzymała ją zatroskana mina Ursuli. Poza tym to nie był odpowiedni moment na takie uwagi, gdy tyle mogli stracić.

- Niech będzie. W każdym razie pozwól, pani, że z nimi porozmawiam, a ty schowaj się do szafy - powiedziała Ursula.

- Nie. Ty się schowaj, a ja się tym zajmę.

- Nie rozumiesz, pani! Jesteś młodą, piękną kobietą. Niczego nie wiemy o tym człowieku, tylko tyle, że wygląda niebezpiecznie. Przynajmniej poczekajmy, aż nadejdzie Urban.

- Nie mogę czekać - odparła gwałtownie Sabina, chociaż cały czas mówiła ściszym głosem. - Jeśli będziemy zwlekać, ci dwaj odjadą, a razem z nimi zniknie nadzieja na pomoc.

Ursula załamała rękę.

- Pani, proszę... możemy same wyjechać. Wystarczy, że...

Sabina przerwała jej, energicznie kręcąc głową. Zerknęła przez okno i przekonała się, że młody chłopak również zsiadł z konia, ale jej zainteresowanie skupiało się na mężczyźnie. Rosły, muskularny i budzący respekt wydawał się odpowiedzią na jej modlitwy. Sabina cofnęła się do mrocznego kąta i położyła rękę na małym sztylcie, który był bardziej sztucem niż bronią.

Jednak Sabina nie obawiała się o swoje bezpieczeństwo. Wbrew ostrzeżeniom Ursuli i posępnej minie mężczyzny pierwszy raz od miesiący poczuła nadzieję.

Rozkazawszy Peregrine'owi, aby podszedł do wrót, Reynold dobył miecza. Nigdy nie zdarzyło mu się wejść do świętego miejsca z obnażonym orężem, ale to nie był zwyczajny kościół. Dzwony nie zaczęły bić same z siebie, nie chciał zostać pocięty na kawałki przez zbójów, którzy w ten sposób zwabili go do środka. Dał znak skinieniem głowy i Peregrine szarpnięciem otworzył wrota. Reynold spojrział w mrok, ale nie dostrzegł nikogo.

- Może to wiatr poruszył dzwonami - szepnął Peregrine.

Reynold uciszył go uniesieniem dłoni i wszedł dalej do świątyni, ale mroczne wnętrze wydawało się puste. Dookoła panowała cisza.

- Kto tu jest? Pokazać się!

- Nie zabijajcie nas! Miejcie litość! - rozległ się kobiecy głos i do stóp przypadła mu starsza kobieta, trzęsąca się ze strachu.

Reynold cofnął się o krok zaskoczony. Nie była to żebraczka w łachmanach. Kobieta nie wyglądała też na chorą lub ranną i porzuconą przez swoich ziomków. Mogła jednak być w zmowie ze zbójami, którzy, co Reynold dobrze wiedział, są gotowi na niejeden podstęp, aby tylko zdobyć łup.

- Kto jeszcze tutaj jest? - spytał głośno, ani na chwilę nie tracąc czujności.

- Tylko ja.

Drugi głos też należał do kobiety, ale nie był piskliwy i przeszywający, jak pierwszy, lecz cichy i płynny. Chwilę potem z mroku wyłoniła się druga kobieta, całkiem inna niż jej towarzyszka. Miała na sobie suknię, która współgrała z jej wdziękiem i delikatnymi ruchami.

Poza tym była piękna. Złote włosy opadały jej na ramiona, mleczną skórę miała bez skazy. Chociaż była smukła, zielona suknia zdradzała kobiece kształty. Reynold nigdy nie widział istoty, która tak bardzo zbliżyłaby się do jego ideału. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się niepewny, czy nie jest to złudzenie. Syk Peregrine'a dowiódł mu jednak, że zjawą jest realna.

- Jestem Sabina Sexton z Sexton Hall, czyli dworu, który jest tutaj, w Grim's End. A to Ursula - powiedziała, pomagając wstać starszej kobiecie, która wciąż drżała.

- Grim's End? - powtórzył słabym głosem Peregrine.

- Tak. Czy mogę wiedzieć, kim jesteście?

- Ja jestem Peregrine - powiedział giermek i stanął w oświetlonym miejscu, żeby lepiej go było widać. I zanim Reynold zdążył go skarcić, odezwał się znowu: - A to jest lord Reynold Burgh.

Reynold zmarszczył czoło. Czyżby Peregrine jeszcze się nie nauczył, że należy trzymać język za zębami? Jeśli zostaną teraz zaskoczeni przez przeważające siły przeciwnika i zatrzymani dla okupu, postanowił solidnie wygarbować chłopakowi skórę. Jednak gdy obszedł kościół, stwierdził, że nikogo więcej nie ma. Dlaczego te dwie ko-

biety zostały same w opuszczonej wiosce? Czyżby zdołały przeżyć zarazę, która zabiła innych?

- Jesteśmy pielgrzymami w drodze do Bury St. Edmunds - powiedział Peregrine.

De Burgh posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, ale chłopak wydawał się całkowicie oczarowany kobietą i trudno było go za to winić. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie jest to syrena, która wabi podróżnych, by wyzionęli ducha w tym opustoszałym miejscu, trafnie nazwanym Grim's End.

- Witam, panie.

Jeśli panna Sexton miała złe zamiary, to dobrze je maskowała, bo jej głos zabrzmiał raczej błagalnie. Próbowwała nawet podejść o krok, ale przystanęła gwałtownie, widząc wyciągnięty miecz. Reynold zmarszczył czoło i schował broń.

- Widzę, że mam do czynienia nie ze zwykłym pielgrzymem, lecz w dodatku lordem i rycerzem - odezwała się znowu po chwili.

- Wszyscy de Burghowie są rycerzami - wtrącił Peregrine z uśmiechem, który Reynold chętnie starłby mu z twarzy.

- Siedź cicho - napomniał giermka.

- Nie znam de Burghów, o których mowa, ale rycerz byłby dla nas wybawieniem - powiedziała panna Sexton.

Reynold zerknął na nią zaskoczony. Wprawdzie nie uważał, by wszyscy mieszkańcy wyspy musieli słyszeć o Campionie i jego siedmiu synach, ale taka reakcja zbiła go z tropu. Tymczasem zwrócił się do drugiej kobiety, która wyglądała całkiem zwyczajnie.

- Co tu się stało? Gdzie są wieśniacy? Czyżby zabiła ich jakaś zaraza?

- Nie, milordzie - rzekła Ursula, nabrała tchu i załamując ręce, dodała: - Gorzej. To bardziej przerażające niż zaraza.

Reynold znów poczuł, że jeżą mu się włosy na karku.

- Kogoś takiego na pewno nie przerazi! Rycerze są nieustraszeni - oświadczyła panna Sexton z niezbitą pewnością, której de Burgh bynajmniej nie podzielał.

Bał się nie raz i nie dwa, ale nie zamierzał opowiadać teraz o tym. Czyżby zagrażali im zbójcy? Może porywali ludzi? Mordowali?

- Co masz na myśli, pani? - zapytał, zwracając się ponownie ku panie Sexton, która wydawała się spokojniejsza. Prawdę mówiąc jednak, obie tłumaczyły dość mętnie.

- Czy tylko wy dwie mieszkacie w tej chwili we wsi?

- Dzięki Bogu, nie - powiedziała panna Sexton. - Zostało z nami kilkoro najwierniejszych ludzi.

Reynold zmarszczył czoło. Czyżby natknęli się z Peregrine'em na jakiś lokalny konflikt wywołany sąsiedzką sprzeczką? Wyrzwał przez okno, ale na zewnątrz panował niezmałony spokój.

- Gdzie oni są?

- Ukrywają się! Ciągłe musimy siedzieć w ukryciu! - jęknęła Ursula. - Panie, błagamy, zabierz nas stąd!

Reynold przeszył wzrokiem pannę Sexton, a ta pokręciła głową. Wyraźnie nie zgadzała się ze swoją towarzyszką. Jeśli jednak mieszkało tu zaledwie kilkoro ludzi, mieli oni małe szanse, by długo pozostać przy życiu.

- Z jakiego powodu się ukrywacie? - spytał wystraszony Peregrine.

- Otóż to. Jeśli innych nie zabiła choroba, to co? - zawtórował mu Reynold.

- Nic! Uciekli jak tchórze zamiast stawić czoło wrogowi - powiedziała panna Sexton z nieukrywaną pogardą.

- A twoja rodzina, pani? Ojciec? Senior? Z pewnością powinien przysłać na pomoc żołnierzy.

- Moi rodzice nie żyją - odrzekła panna Sexton. - A nasz senior jest chciwy i interesują go jedynie zyski. Mało go obchodzi, czy ludzi do pracy bierze stąd czy z Sandborn, czy jeszcze skądinąd.

- Nie warto, pani, się męczyć. Jego to nic nie obchodzi. Dajmy się zjeść i już - jęknęła Ursula.

- Zjeść?

Peregrine zapytał o to bardzo cicho, ale dokładnie to samo pytanie powstało w głowie Reynolda. Czyżby wieśniaków atakowało jakieś dzikie zwierzę?

- Tak, zjeść! - powtórzyła Ursula. - Połknąć w całości po upieczeniu w ognistym oddechu...

- Tego nie możesz być pewna - przerwała z wyrzutem panna Sexton, jakby w tej rozmowie nie było nic osobliwego. - Zresztą nie ma to znaczenia, bo rycerz nie boi się niczego. Nie może też odmówić, gdy poprosić go o pomoc.

- Połknąć w całości? - powtórzył Peregrine, tym razem głośniej, a Reynold zaczął się zastanawiać, czy niewiasty aby na pewno nie są szalone. Może pozostawiono je we wsi z obawy przed nawiedzonymi?

Pierwszy raz od wyjazdu z Campion Reynold pożałował, że nie ma z nim żadnego z braci. Geoffrey, który dawał sobie radę ze swoją kompletnie zwariowaną żoną, na pewno wiedziałby, jak postąpić. Simon prawdopodobnie odwiózłby je do najbliższego klasztoru, Reynold jednak nie zamierzał zabierać ich stąd na siłę.

- Potrzebuję twojej pomocy, panie - powiedziała z głębokim przekonaniem. - I domagam się, abyś dotrzymał przysięgi. Ocal mnie i moich ludzi, zabij bestię, która zagraża wsi.

Reynold usłyszał głośny wdech Peregrine'a, ale bardziej interesowała go w tej chwili panna Sexton.

Jej błagalna prośba wydawała się całkiem poważna. Poczul się niepewnie, wspomniawszy przepowiednię siostry l'Estrange.

- A jakąż to bestię mam zabić? - spytał.

Panna Sexton uniosła swoje delikatne, jasne brwi, jakby to pytanie ją zaskoczyło. Na twarzy miała jednak wyraz niewzruszonej powagi, gdy dawała mu odpowiedź, której Reynold jednocześnie obawiał się i spodziewał.

- Smoka, panie.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Jest dokładnie tak, jak powiedziały siostry l'Estrange - przerwał milczenie Peregrine, a w jego głosie pobrzmiwał podziw.

De Burgh jednak nie był taki naiwny.

- Znajomo to brzmi, prawda? - spytał, zniżając głos do chrapliwego szeptu, po czym zbliżył się do panny Sexton i przesłał jej znaczące spojrzenie. - I ciekaw jestem, czyj to pomysł.

Był pewien, że to gra. Przynajmniej przybrała odpowiednio zdziwioną minę, pomyślał. Bez wątplenia została wybrana ze względu na swoje wdzięki, którymi miała oszołomić go od pierwszego wejrzenia. To obudziło w nim urazę.

- Czy to sprawka Stephena? A może Robina? Ktokolwiek to był, zadał sobie nie-mało trudu, zważywszy na to, jak daleko jesteśmy od Campion.

Zwrócił się do Peregrine'a.

- Czy to ty mnie tutaj przywiodłeś?

- J-j-ja...? N-n-nie wiem, o czym m-mówisz, milordzie! - wyjąkał Peregrine. - To ty wybrałeś drogę.

- Pamiętam, że to ty zaproponowałeś Bury St. Edmunds.

- Tylko dlatego, milordzie, że kierowałeś się na wschód!

Chłopakowi pałały policzki i wyglądał na oburzonego, a jednak Reynold widział już takich aktorów. Poza tym wiedział, że Peregrine cieszy się zaufaniem sióstr l'Estrange, a właśnie do tej rodziny wżenili się Stephen i Robin.

Reynold otworzył usta, by zażądać wyjaśnień, ale wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Peregrine zaprzeczał, jakoby miał jakikolwiek udział w doprowadzeniu do tak zwanej niebezpiecznej wyprawy, panna Sexton twierdziła, że nie zna tego chłopca ani Campiona, a Ursula po prostu jęczała.

- Cisza! - zarządził w końcu Reynold.

Wszyscy na niego spojrzeli, nawet Ursula, która w końcu przestała utyskiwać. I w ciszy, która nagle zapadła, Reynold coś usłyszał... jakby dudnienie, dobiegające z daleka, ale wyraźnie słyszalne w ciszy opuszczonej wsi. Przechylił głowę i natężył słuch, ale te-

raz zamiast dudnienia rozległy się kroki. Zaciśnął dłoń na rękojeści miecza, bo na progu kościoła ukazał się mężczyzna uzbrojony w widły.

- Na dół! - zawołał i pobiegł w głąb nawy, a pobludłe kobiety wzięły z niego przykład.

- Szybko - powiedziała panna Sexton, robiąc taki gest, jakby chciała wziąć Reynolda za ramię, ale w tej właśnie chwili coś obok niego przemknęło.

- Alec! Powiedziałaś ci, że masz wrócić do matki! - krzyknęła panna Sexton. - Gdzie ona jest?

- We dworze, pani. Mogę tam pobiec?

- Nie możesz. Nie teraz!

Panna Sexton złapała chłopca za ramię i pociągnęła w głąb pomieszczenia, gdzie w mroku kryły się wąskie drzwiczki, a za nimi spiralne schody do piwnicy. Wprawdzie Reynold nie dzielił ze swym bratem Simonem obrzydzenia do miejsc znajdujących się pod ziemią, ale nie miał ochoty przyłączyć się do nieznamym, zwłaszcza gdyby miało się to okazać częścią jakiegoś niewybrednego żartu.

Wychowano go jednak w szacunku dla kobiet, bez względu na to, jak się zachowują, a niepokój tych ludzi sprawił, że ruszył za nimi. Nie zamknął jednak do końca drzwi i przystanął na schodach w takim miejscu, z którego widział i piwnicę, i wejście do świątyni. Wolał jednak ich nie zamykać, żeby ktoś nie przekręcił klucza od zewnątrz.

Obie kobiety stuliły się w uścisku, Ursula cicho popiskiwała. Mężczyzna stanął niczym wartownik obok panny Sexton. Chyba nie był jej mężem? Reynold poczuł się nieswojo na tę myśl. Zakładał, że kobieta jest panną, bo nosiła rozpuszczone włosy i była piękna. Ponadto sama nazwała się panną w tarapatkach i kiedy to sobie przypominał, nieco ulżyło mu na sercu.

Poza tym mężczyzna był gorzej ubrany i nie dorównywał jej manierami. W każdym razie nie odzywał się i wyglądał na przestraszonego. Dookoła panowała absolutna cisza, jakby wszyscy czegoś wyczekiwali.

Tylko czego? Reynold pomyślał, że może Stephen ma się pojawić osobiście, żeby zobaczyć, jaki efekt wywołał jego żarcik.

Ta myśl go zirytowała.

- I co dalej? - spytał.

- Pst, bo usłyszysz! - szepnął chłopiec z pobladłą twarzą.

- Kto?

- Smok - szepnął z kolei mężczyzna, wyraźnie zły.

- Jest już w wiosce? - spytał pogardliwie Reynold. - Prawdę mówiąc, chciałbym go zobaczyć.

Obrócił się ku schodom, ale powstrzymał go pisk Aleca. Chłopak naprawdę był przerażony.

- On ma świetny słuch - szepnął malec. - Może też nas wyniuchać.

- Skąd wiesz?

- Bo czasem oddechem pali miejsca, w których wyczuwa ludzi.

Reynold próbował sobie przypomnieć, czy nie widział po drodze we wsi spalonych zabudowań, ale strzechy były przecież łatwopalne, podobnie jak drewniane szkielety większości chat. Dlaczego ci ludzie winili smoka za wszystkie pożary?

Pokręcił głową z nadzieją, że odzyska jasność myślenia. To musiał być żart, kompletna nedoręczność wymyślona przez któregoś z braci, a chociaż aktorzy grali przekonująco, to on był zdecydowany nie dać się nabrać. Znów odwrócił się do drzwi.

- Nie ruszaj się, człowieku - usłyszał za sobą.

Mężczyzna miał piskliwy głos, ale osiągnął skutek. Choć wydawał się mocno przestraszony, trzymał widły w taki sposób, jakby zamierzał wnet zaatakować. A niech spróbuje, pomyślał Reynold i położył dłoń na rękojeści miecza.

- Przestań, Urbanie! - powiedziała panna Sexton, chwytając mężczyznę za ramię. - Co ty wyprawiasz?

- Chronię nas wszystkich przed tym obcym i jego czynami - odparł, chociaż wydawało się, że w tym, co mówi, więcej jest zuchwałości niż odwagi.

- Ten obcy jest lordem i rycerzem, który przybył, aby nas ocalić - oznajmiła panna Sexton.

- Wasza broń przydałaby się chyba bardziej do walki ze smokiem - powiedział kwaśno Reynold. - Zapraszam, możecie się do mnie przyłączyć, bo wychodzę.

Nie czekając na odpowiedź, wspiął się na schody i przez wąskie drzwi wrócił do kościoła. Nikt za nim nie gonił. W ogóle zresztą nie usłyszał już żadnego dźwięku i tym bardziej złowieszcze wydawało się mroczne wnętrze. Dotarł do wrót kościoła i wyjrzał na zewnątrz. Nie zauważył żadnego ruchu. Na szczęście, oba konie stały tam, gdzie z Peregrine'em je zostawili. Sirius leniwie opędzał się przed muchami, machając ogonem, i nie wydawał się ani trochę spłoszony.

Reynold zerknął w górę, ale na niebie widać było tylko kilka ptaków. Opierając się o futrynę i wodząc wzrokiem po opustoszałej wsi, starał się nie myśleć o przyczynie, dla której bracia wymyślili tę dziwną i skomplikowaną intrygę. Za dawnych dni znudzenie lub potrzeba rywalizacji mogły skłaniać ich do różnych facecji, ale żeby aż tak się wysilać? Przecież wszyscy mieli teraz na barkach wiele obowiązków. Wszyscy z wyjątkiem Nicholasa, którego jednak na ogół żarty się nie imaly. Reynold nie wiedział, czy to nie on sam wyjawiał kiedyś Geoffowi swoje marzenie o przygodzie niczym z romansu. Może powiedział, że chce zabić smoka?

Pokręcił głową. Na takie rozmyślenia czas przyjdzie później. Teraz chciał tylko odjechać z tego miejsca. Tylko dokąd ruszyć? I co dalej? Znow odsunął od siebie niepożądane myśli i skupił uwagę na Bury St. Edmunds. W tej chwili usłyszał za sobą kroki. Szybko się wyprostował i odwrócił, ale był to tylko Peregrine, mający dość zawstydzoną minę.

- Wygłodzony smok powinien pożreć takie smakowite kąski w okamgnieniu, nie sądzisz? - spytał Reynold, wskazując konie.

- Panie, przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego - zapewnił Peregrine. - Panie l'Estrange powiedziały mi tylko o twojej niebezpiecznej wyprawie.

- Wieszczki - mruknął pogardliwie Reynold.

- To prawda, panie! One umieją przepowiadać przyszłość. Słyszałeś może, że...

- Widziałeś smoka? - przerwał mu.

- Nie, panie.

- To dajmy spokój tym nedorzecznosciom i odjedźmy stąd.

- Panie, mnie...

Peregrine zawiesił głos, jakby bał się wyrazić swoje zdanie. Pierwszy raz mu się to zdarza, pomyślał złośliwie Reynold.

- Co chciałeś powiedzieć?

Peregrine z zafrasowaną miną spojrzał na de Burgha.

- Mnie się zdaje, że oni mówią poważnie.

- Co takiego?

- O tej bestii, panie. Wiem, że twoim zdaniem to jest sprawka pań l'Estrange, ale nie rozumiem, jak mogłyby mieć z tym coś Wspólnego. A ci ludzie rzeczywiście wydają się przerażeni.

- Dlaczego to mówisz?

- Nie poszedłem od razu za tobą, panie, i przykro mi z powodu tego tchórzliwego zachowania, powiem jednak, że ten człowiek z widłami stał tuż obok mnie - ciągnął Peregrine. - I po twoim wyjściu oni zaczęli się kłócić.

- Kto?

- Ten mężczyzna imieniem Urban i panna Sexton. On wygląda na jej sługę albo poddanego, ale i tak próbuje dyktować, co należy robić. - Peregrine obejrzał się za siebie i dodał ciszej: - Obawiam się, że on lubi stawiać na swoim.

Reynold omal nie wybuchnął śmiechem. Stali pośród pustych chat we wsi, w której zostało zaledwie kilka osób, plotących androny o smoku. Tymczasem Peregrine'a niepokoi, że jakiś człek, który ledwo widły może utrzymać, zachowuje się jak tyran. Nie trzeba było pomyślunku Geoffa, by dociec, co tak naprawdę kłopotuje chłopaka. Panna Sexton zawładnęła już jednym sercem, choć pewnie nie tym, którym zamierzyła.

- Chyba nie powinniśmy jej tu z nim zostawić - dokończył Peregrine.

- Może z nami pojechać do Bury St. Edmunds - powiedział Reynold, wzruszając ramionami.

Chłopak pokręcił głową.

- Nie pojedzie. Wygląda na dość upartą, przecież tamtego człowieka też nie chce słuchać.

Chłopak spojrzał wyczekująco na Reynolda, jakby liczył na to, że wszystko można załatwić jednym ruchem potężnego miecza.

De Burgh zmarszczył czoło. Jako kozioł ofiarny w rodzinie był przyzwyczajony do tego, że ślepią wiarę pokłada się w jego braciach, a nie w nim.

- Co więc mam zrobić?

- Proszę posłuchać - rozległ się za jego plecami głos panny Sexton.

Siła i determinacja pobrzmiewająca w tych słowach sprawiły, że Reynold się odwrócił. Stała sama w uchylonych wrotach i wyglądała jeszcze ładniej niż przedtem. Nic dziwnego, że Peregrine uległ jej urokowi. Reynold powtarzał sobie jednak, że jest od giernka starszy, mądrzejszy i o wiele bardziej cyniczny, aby ulec jej wdziękom.

- Nie możesz nas porzucić, panie - powiedziała z gniewną miną, która wcale nie odbierała jej urody. - Wzywam cię, abyś mnie wysłuchał, złożyłeś przecież rycerskie śluby. Chodźmy do mojego domu, tam posilimy się i będziemy mogli porozmawiać.

- Dlaczego mamy dzielić się naszymi nędznymi zapasami z tymi, którzy mogą nas obrabować? - spytał Urban, który nagle stanął za kobietą.

- Niewiele nam można ukraść, nawet gdyby ktoś chciał - odparła panna Sexton, nie zaszczyciwszy Urbana choćby spojrzeniem. Przez cały czas wpatrywała się skupionym wzrokiem w Reynolda, który przez to zachwiał się w swoim postanowieniu. Zdawało mu się, że słyszy napomnienie ojca, który nie pozwoliłby mu odwrócić się od kobiety będącej w potrzebie.

- Jest obcy. Nie znamy go - sprzeciwił się Urban. - I masz tylko ich słowo na to, że on jest lordem i rycerzem.

Reynold zmierzył go taksującym spojrzeniem, usiłując odgadnąć, jaką rolę odgrywa w tej intrydze. Urban wydawał się jednocześnie wystraszony i napastliwy, za to jedno było pewne: nie tylko Peregrine ulegał urokom panny Sexton. Ciekawe, czy Urban był po prostu zazdrosny o tę białogłową, czy chciał postawić na swoim, jak przypuszczał Peregrine. Tak czy inaczej, rzeczywiście miał obowiązek pomagać słabszym.

Przyszło mu do głowy, że gdyby porozmawiał z panną Sexton bez świadków, to może odkryłby prawdę. Ten pomysł jednak niebezpiecznie pobudził jego myśli. Musiał zachować zdrowy rozsądek. Nawet jeśli panna Sexton nie kłamała, to doświadczenie nauczyło go ostrożności w kontaktach z kobietami, zwłaszcza urodziwymi.

- Dobrze więc - powiedział w końcu Reynold. - Wysłucham cię, pani.

Widok ulgi malującej się na jej twarzy wprowadził go w zakłopotanie, gdy więc ruszyła w stronę domu, szedł w sporej odległości za nią. Zresztą w ten sposób łatwiej było zachować czujność, bo przecież w każdej chwili widły mogły wbić mu się w plecy.

Po drodze wzięli z Peregrine'em konie. Minęli zakręt i chwilę potem szli już prosto do niewielkiego dworu. Solidny budynek z kamienia, kryty łupkiem, w zasadzie nie różnił się niczym od wielu innych, stojących w innych wsiach, choć rosnąca dookoła wysoka trawa nadawała mu bardzo zaniedbany wygląd.

We dworze Reynolda znowu ogarnęły złe przeczucia. Jeszcze nie widział tak złowieszczo pustej wielkiej sali.

- Adele - zawołała panna Sexton. - Możesz wyjść z ukrycia, już jest bezpiecznie. Nawet mamy gości.

Z kuchni wyłoniła się kobieta, mająca przestraszoną twarz, ale na widok chłopca wydała głośny okrzyk i podbiegła.

- Alec!

Objęła go mocno i zaczęła płakać ze wzruszenia i wtedy Reynold zaczął się zastanawiać, czy to jednak nie on się myli. Zbieżność sytuacji ze słowami sióstr l'Estrange niekoniecznie musiała być przypadkowa, ale ci ludzie nie wydawali się zdolni do udawania tak długo i tak przekonująco. Reynold poczuł nawet pewne zawstydzenie swoim domniemaniem, że aż tutaj, tak daleko od Campion, de Burghowie zachowują jeszcze wpływy.

Objął wzrokiem grupkę, w której zdawali się znajdować wszyscy obecni mieszkańcy wsi: ponury mężczyzna, niezdolny chyba zadbać o własne bezpieczeństwo, a tym bardziej o bezpieczeństwo innych, chłopak młodszy od Peregrine'a, jego matka, bez wątpienia będąca służącą, i dwie inne kobiety.

Panna Sexton jakby odgadła jego myśli.

- Tyle tylko nas zostało w Grim's End - powiedziała, dumnie unosząc głowę. - Czy wysłuchasz naszej historii, panie?

Przy prostym posiłku złożonym z sera, suszonych jabłek i dania z jajek panna Sexton zaczęła opowiadać.

- Żyjemy tak od wiosny, więc niewiele udało się zasadzić, a to, co posialiśmy jesienią, nie przetrwało. Zginęły zwierzęta, a ich właściciele zostali wypędzeni.

- Ludzie się bali. Woleli zacząć wszystko od początku niż stawić czoło tej bestii - dodał Urban, Reynold nie umiał jednak ocenić, czy mężczyzna pogardza uciekinierami, czy żałuje, że się do nich nie przyłączył.

- Udajemy się do kryjówki, gdy słyszymy, że nadchodzi - powiedział Alec.

- Teraz uprawiamy tylko nieduże ogródki tu i tam, nie trzymamy ani krów, ani świń, ani wołów. A żywność, którą zgromadziliśmy jako zapasy, w końcu się wyczerpie - odezwała się znów panna Sexton.

Bez wątpienia czegoś się bali, ale zabijać inwentarz i atakować ludzi mogło jakieś dzikie zwierzę, a pożary zwykle były skutkiem iskry, która padła na wyschniętą strzechę. I nie muszą mieć nic wspólnego z ognistym oddechem.

- Skąd wziął się smok, tak nagle? - spytał Reynold.

- Ktoś go zbudził! - wtrącił się Alec.

Czy to znaczy, że spał? Reynold nie zdążył o to spytać, bo znów odezwała się panna Sexton.

- Naszą wieś, Grim's End, założył pogromca smoków. Na pewno widziałeś, panie, kopiec naprzeciwko kościoła.

Skinął głową.

- Podobno jest tam pochowany smok, więc gdy rozpoczęły się napaści, mieszkańcy wsi sądzili, że bestia się zbudziła, chociaż nikt nie zauważył, żeby trzęsła się ziemia.

Reynold bacznie przyjrzał się zgromadzonemu. Nie wyglądali na ludzi, którzy postradali rozum i ich strach był na pewno szczery. Trudno tylko dociec jego przyczyny. Nie znał wszystkich zwierząt żyjących na ziemi, jednak smok zdawał się raczej istotą z innego świata, cokolwiek twierdzili miejscowi.

Smoki, czy też robaki, jak niektórzy je nazywali, były wielkimi węzami, mającymi skrzydła, ogon i łapy z pazurami, którymi chwytaly swój łup. Mogły połykać zwierzęta i ludzi w całości, palić ognistym oddechem, zatruwać jadem albo miażdżyć ofiarę wielkim ogonem. Trudno też było je zabić, ponieważ całe ich ciało pokrywała łuska nie do przebiccia.

Reynold zachował beznamiętną minę, ale dobrze wiedział, co w tej sytuacji powiedziałby Stephen, „Czy kiedykolwiek widziałeś smoka? Czy znasz kogoś, kto go widział?” Podróżnicy i marynarze zawsze opowiadali historie o dzikich bestiach i tych, którzy twierdzili, że je widzieli, a jeszcze przed świętym Jerzym otaczano czcią jako zabójców smoków świętą Perpetuę, świętą Martę i innych. W książce Geoffa były ilustracje przedstawiające te stwory, niektóre bardzo szczegółowo.

Reynold jednak nigdy nie stanął z żadnym takim potworem oko w oko.

- Kto go widział? - spytał.

Przez chwilę wszyscy milczeli, potem Alec zaczął szczebiotać o tym i tamtym, na przykład o młodym Jemie i Henrym, synu młynarza. Zawtórował mu Urban, który wydawał się urażony postawionym pytaniem, i wdał się w długą tyradę, wyrażającą oburzenie.

W końcu Reynold uniósł rękę, by go uciszyć.

- Pytam, kto z was pięciorga widział go na własne oczy.

Wywołał tym kolejny wybuch Urbana.

- Nazywasz nas kłamcami?!

Właśnie w tej chwili włączyła się do rozmowy panna Sexton, ze spokojem i wdziękiem przejmując kontrolę nad sytuacją, zanim ta zanadto się zaogniła.

- Przyznaję, że początkowo byłam sceptyczna - powiedziała - ale nie można zaprzeczyć, że słyhać jego ryk i widać szkody. Cóż innego mogłoby je powodować?

Reynold nie odpowiedział, ale uważał, że za wszystkie napaści winę ponosił raczej jakiś wilk albo dzik, a pożary były zwykłym zbiegiem okoliczności.

Urban chciał znowu podnieść sprzeciw, ale panna Sexton uciszyła go jednym spojrzeniem.

- To nie ma znaczenia - powiedziała, pochylając się naprzód, by zmierzyć Reynolda posępnym spojrzeniem. - Ważne jest tylko to, że musisz nam pomóc, lordzie Burgh.

W wielkiej sali zapadła cisza, wszyscy czekali na odpowiedź. Reynold wiedział, że nie może odmówić. Honor rycerza i jego nazwisko były dostatecznym zobowiązaniem, by w potrzebie pomagał słabszym. A Grim's End rzeczywiście cierpiało z powodu jakiejś

plagi, nawet jeśli miałyby to być tylko wyjątkowo krwiożerczy wilk, który porywa zwierzęta.

Niejedno tutaj wydawało się pozbawione sensu. Trudno było powiedzieć na przykład, dlaczego senior nie przysłał już dawno ludzi, żeby zabili takie niebezpieczne zwierzę. Mimo wszystko Reynold nie miał wątpliwości, że ciąży na nim obowiązek.

- Wspomnisz moje słowa, pani, z tymi dwoma będą kłopoty - powiedziała Ursula, gdy kobiety przygotowywały się do spoczynku. - To tak, jakbyś wpuściła drugiego koguta do kurnika.

- Ursulo!

Sabina poczuła, że twarz jej płonie. Koguta wpuszczało się do kurnika, żeby pokrywał kury, porównanie wydało jej się więc zupełnie niestosowne. Była przecież panną i nie miała zamiaru płodzić dzieci z lordem Burghiem. Na samą myśl o tym całkiem ją zatkało i na wszelki wypadek nadała myślom inny kierunek.

- Mylisz się - odpowiedziała spokojnie.

Ursula przyjrzała jej się badawczo i Sabina musiała przyznać, przynajmniej przed sobą, że Urban sprawia trudności. Jako pełnomocnik jej ojca był ślepo wierny Sextonom, wiedziała więc, że działa w jej najlepiej pojętym interesie. Po śmierci ojca naciskał na nią, by opuściła Grim's End, i obiecywał, że zawiezie ją wszędzie, gdzie tylko będzie mogła znaleźć schronienie. Ona jednak odmówiła opuszczenia domu i swojego dziedzictwa. Sextonowie, potomkowie budowniczego kościoła, byli podobno spokrewnieni również z założycielem wsi. Jak mogłaby porzucić to miejsce?

- Sama jesteś temu winna, pani - powiedziała Ursula, jak zwykle bezpośrednio.

Sabina zmarszczyła czoło. Może jej towarzyszka miała rację. Sabina podejrzewała, że zanadto oparła się na Urbanie po śmierci ojca i przez to pozwoliła mu wywierać stopniowo coraz większy wpływ na jej decyzje. Co innego jednak miała zrobić? Przecież w Grim's End nie został w końcu nikt oprócz trzech kobiet i chłopca. I jednego dorosłego mężczyzny, który siłą rzeczy uzyskał bardziej eksponowaną pozycję.

- Jeśli oddasz mężczyźnie władzę nad sobą, możesz już nigdy jej nie odzyskać - ostrzegła Ursula.

- Urban raczej nie będzie moim panem - powiedziała Sabina.

- Nie, ale ciekawe, jak on sam o sobie mówi. To jest istotne pytanie.

- Nie wyobrażam sobie, żeby podawał się za mojego pana - odparła Sabina.

Nie wyobrażała sobie w tej roli nikogo z wyjątkiem ojca, chociaż lord Burgh sprawiał takie wrażenie, jakby mógł stać się panem wszystkiego i wszystkich, jeśli tylko sobie zażyczy.

- Urban po prostu przyzwyczał się do tego, że jest jedynym mężczyzną we wsi, jedynym doradcą, opiekunem i dostarczycielem potrzebnych rzeczy. To nie ma nic wspólnego ze mną.

- Skoro tak twierdzisz, pani... - powiedziała Ursula i skłoniła głowę, choć ton zdradzał, że jest zgoła inaczej. - Mimo wszystko chyba jednak rozumiesz, dlaczego Urban niezbyt dobrze znosi obecność człowieka, który uzurpuje sobie prawo do zajęcia jego miejsca.

- Lord Burgh wcale nie ma go zastąpić. Wyświadczy nam przysługę, a kiedy się z tego wywiąże, wszystko wróci do normy.

Sabina miała nadzieję, że się nie myli. Urban mógłby wtedy pojechać do sąsiednich wsi, znaleźć byłych mieszkańców i zachęcić do powrotu razem z rodzinami, żeby Grim's End znowu tętniło życiem.

- Skoro tak twierdzisz, pani...

Sabina spojrzała przenikliwie na towarzyszkę.

- Co więc mi doradzasz?

Urban miał oczywiście rację, że do obcych należy odnosić się nieufnie, ale Sabina desperacko potrzebowała pomocy i rycerz wydawał się odpowiedzią na jej modlitwy.

- Ja radziłabym wyjechać - ponownie powtórzyła Ursula.

- A dokąd miałabym pojechać, ja, niezamężna kobieta, mająca niewiele oprócz ziemi, do której porzucenia mnie namawiasz?

- Jest człowiek, który chciałby cię za żonę, pani, gdybyś tylko go odnalazła - przypomniała Ursula.

Sabina poderwała głowę i mocniej zacisnęła dłoń na rączce szczotki, którą nadała połysk włosom.

- Julian Fabre nie żyje.

- Nie możesz być tego pewna - powiedziała cicho Ursula. - Nawet jego ojciec tego nie wie.

- Nie żyje - powtórzyła Sabina.

Odłożyła szczotkę i wstała, dając tym znak, że rozmowa dobiegła końca. Ursula westchnęła, ale zaakceptowała wolę pani.

- Nadzieję pokładamy teraz w lordzie Burghu i bardzo cię proszę, abyś traktowała go z szacunkiem - oznajmiła Sabina i położyła się do łóżka.

Rozumiała, dlaczego Ursula i Urban nie mają zaufania do tego człowieka. Lord Burgh był wysoki, silny, pewny siebie, a przy tym dość posępny. Wydawał się nie tylko godnym przeciwnikiem dla bestii, lecz również śmiertelnym wrogiem dla każdego, kto stanie mu na drodze.

Ursula zdawała się podążać za jej myślami, bo przesłała jej podejrzliwe spojrzenie.

- Miejmy nadzieję, pani, że nie naraziłaś nas na coś dalece bardziej niebezpiecznego niż spotkanie ze smokiem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Reynold leżał z ramieniem wsuniętym pod głowę i próbował docenić wygodę owego miejsca. Nocował w Sexton Hall w czystej pościeli, a przez okno do niedużej izby wlewała się księżycowa poświata. Nie mógł jednak się odprężyć. Złowieszcza atmosfera we wsi mogła wzbudzić niepokój nawet u najbardziej zahartowanego wojownika. Reynold nie wiedział, czy nazajutrz zbudzi się i przekona, że to był tylko sen, czy raczej przyjdzie mu się zmierzyć z zionącym ogniem potworem.

Gdy służąca Adele pokazywała mu izbę, przyznała, że pozostali mieszkańcy wsi często śpią w piwnicy z obawy przed nocnymi atakami. Tego wieczoru jednak wszyscy udali się na spoczynek w swoich łóżkach, jakby sama obecność Reynolda stanowiła dostateczną ochronę. Taki przejaw zaufania krępował go, nigdy bowiem nie dźwigał na swoich barkach takiej odpowiedzialności. Owszem, brał udział w rozmaitych bitwach i potyczkach, ale zawsze z którymś z braci. Nie gdy nie był sam.

Teraz, gdy miał czas spokojnie pomyśleć, uznał, że powinien przekonać pannę Sexton i jej towarzyszy do opuszczenia Grim's End. Tym sposobem nie tylko zwiększyliby swoje bezpieczeństwo, lecz również pozwoliliby mu w pełni oddać się dochodzeniu. Z drugiej strony jednak, jeśli rzeczywiście czyhała na nich jakaś bestia, to mogła po prostu pójść ich śladem.

Zerknął w mrok, gdzie przy drzwiach przygotował sobie posłanie Peregrine. Chłopak od dłuższego czasu milczał. Ciekawe, czy zajmowały go rozmyślenia o panie Sexton, czy raczej był na siebie zły, że namówił pana, by jej wysłuchał.

- Już żałujesz, chłopcze, że się tu zatrzymaliśmy?

- Nie, milordzie - odparł Peregrine. - Zastanawiam się jednak, w jaki sposób pomożesz tym biednym ludziom.

Czyżby giermek wyczuwał jego zainteresowanie panną Sexton? - zastanowił się de Burgh i dopiero po chwili zorientował się, że mowa jest o smoku. Odetchnął z ulgą.

- Nie sądzę, żeby było z czym walczyć.

- Mimo wszystko powinniśmy się przygotować. Temu trudno było zaprzeczyć, a rada wydawała się słuszna w każdej sytuacji.

- To zaiste prawda - przytaknął, wyczuwając, że giermek chce poznać jego plan na wypadek, gdyby smok rzeczywiście zaatakował. - Co proponujesz?

- Święci po prostu je wypędzali, zwykle na pustynię. - Ciekawa uwaga, ale zgadzisz się chyba co do tego, że nie jestem świętym - stwierdził oschle Reynold. - Czy jednak święty Jerzy nie przebił smokowi szyi włócznią?

- Tak...

Peregrine zawiesił głos, jakby nie miał ochoty rozwijać tego tematu.

- O co chodzi?

- Do tego potrzeba mnóstwa siły i niemałej celności - stwierdził. - Poza tym skąd wiadomo, że to bydlę nie stopi włóczni swoim oddechem?

Reynold wbił wzrok w ciemność. Nigdy dotąd nie zajmował myśli sposobami na zabicie smoka i żałował, że nie może zasięgnąć rady braci. Oni nie zastanawialiby się nad tym godzinami, bez względu na to, czy uznaliby opowieści mieszkańców za wiarygodne. Geoffrey zaproponowałby różne sprytne i niekonwencjonalne rozwiązania, Simon postawiłby na brutalną siłę, a Stephen oświadczyłby, że mało go to interesuje. Pierwszy raz od wyjazdu z Campion Reynold zaczął się zastanawiać, czy nie powinien wrócić do domu. Tylko co potem?

- Znasz jakieś inne historie, panie? - spytał Peregrine i Reynold wysilił pamięć.

- Czy przypadkiem ktoś nie pokonał smoka uderzeniem maczugi? - spytał po chwili.

Nastąpiło długie milczenie. Peregrine zdawał się gruntownie zastanawiać.

- Nie sądzę, żeby ta bestia zechciała spokojnie usiąść. Przecież może w każdej chwili odfrunąć, nie wspomnę już o jej ogonie i oddechu.

Reynold burknął coś pod nosem, ale musiał przyznać mu rację. Co gorsza, nikt nie wiedział, czy którakolwiek z historii o smokach jest prawdziwa. Ilu pogromców smoków przeżyło swoje walki? A ile takich bohaterskich czynów miało miejsce w obecności świadków?

- Słyszałem historie, w których bohater kopie fosę i chowa się w niej, żeby zaatakować brzuch bestii - powiedział Peregrine. - To jednak kosztowałoby nas wiele czasu i pracy, zwłaszcza że nie mamy nikogo do pomocy. Może zwykły dół wystarczy?

Reynoldowi trudno było sobie wyobrazić, że kuca w świeżo wykopanym dole, czekając na okazję do ataku na słabą stronę kogokolwiek i czegokolwiek, nie wykluczając dzikiej bestii. To jednak była bez wątpienia taktyka, jaką zaleciłby Geoff, a Simon odrzuciłby jako tchórzowską.

- Trzeba tylko mieć pewność, że brzuch smoka naprawdę jest wrażliwy. Nie wszyscy są co do tego zgodni - dodał Peregrine. - Oczywiście, potrzebowałbyś, panie, specjalnego stroju, który by cię chronił.

Reynold miał ze sobą tylko krótką kolczugę i rękawice, ale nie tarczę i hełm, nie wspominając o pełnej zbroi. Gdyby zamierzał wziąć udział w bitwie, zabrałby z sobą Willa i cały rycerski rynsztunek.

- Zrobienie spodni z futra i nasączenie ich smołą chyba nie powinno sprawić wiele kłopotu - powiedział Peregrine.

Spodnie z futra? Gdyby włożył coś takiego, a dowiedzieliby się o tym bracia, nie byłoby dnia, żeby nie robili sobie z niego żartów.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli posunąć się aż tak daleko - odparł stanowczo.

- Są też opowieści o początkach Grim's End, w których miejscowy bohater zabija smoka i zostaje za to wynagrodzony wielkimi połaciami ziemi - powiedział Peregrine. - W jednej z nich ten człowiek wcisnął smokowi do paszczy wielki głaz.

- A jak tego dokonał? - zainteresował się Reynold.

Na to Peregrine nie miał odpowiedzi, ale po chwili dodał:

- Inni posłużyli się trucizną.

To wydawało się bardziej użyteczne, ale potrzebna byłaby wielka ilość zabójczej substancji, a na tym Reynold się nie znał. Za to jego giermek po raz kolejny zaskoczył go wiedzą.

- Gdzieś ty słyszał wszystkie te opowieści? Umiesz czytać? - spytał Reynold.

- Naturalnie, milordzie. Panie l'Estrange szkoliły mnie do stanu rycerskiego.

No tak, pomyślał. To mogło tłumaczyć, dlaczego wysłały go razem z nim w tę podróż. Pewnie miały nadzieję, że Peregrine podniesie swój status.

- Poza tym można też posłużyć się magią - powiedział chłopak.

- Oczywiście - stwierdził sarkastycznie Reynold.

Przynajmniej nie było tu z nim tych dwóch zdziwaczałych kobiet. Wyobrażał sobie, jak przyglądają się jego walce z wielką bestią i piskliwymi głosami wykrzykują różne pouczenia.

- Obawiam się, że żaden z nas nie ma takich zdolności - powiedział Reynold i zamyslił się.

Do tej pory rozmowa z giermkim przekonała go tylko o jednym. Nie ma sprawdzonych sposobów walki ze smokami. Wskazówki czerpali tylko ze sprzecznych relacji i legendy.

- A co zrobił Beowulf? - spytał.

- Hm, jemu nie wyszło to na dobre, prawda? - odpowiedział Peregrine, dyskretnie przypominając Reynoldowi, że bohater został w tej walce śmiertelnie ranny. - Nie zabiłby jednak smoka bez pomocy swojego wiernego giermka.

A więc o to chodzi, pomyślał de Burgh. Biedny Peregrine prawdopodobnie sądzi, że podczas walki ze smokiem on także będzie musiał wykazać się bohaterstwem. Reynold przesłał chłopakowi ukradkowe spojrzenie i powiedział krzepiącym tonem:

- Nie sądzę, żebym potrzebował twojej pomocy w walce.

W każdym razie miał taką nadzieję. Zamknął oczy, kładąc kres tej dziwacznej rozmowie. Niewiele brakowało do tego, by do następnej bitwy pojechał na jednorożcu. W tym celu, jeśli wierzyć bestiariuszom, musiałby jednak odnaleźć miejsce, gdzie to zwierzę żyje, i wywabić je z kryjówki, podsuwając mu dziewicę. Omal nie wybuchnął śmiechem, kiedy pomyślał, że może panna Sexton zgłosiłaby się na ochotnika.

Nie! Nie wolno mu było się zapominać, bo inaczej łatwo mógł paść ofiarą wdzięków panny Sexton. Na wszelki wypadek przywołał w myśli wizytę złożoną przed laty w Longacre. De Burghowie odwiedzili tam pewną arystokratyczną rodzinę. Prawdopodobnie Champion pragnął zapoznać synów z domostwem, w którym większość stanowią kobiety. Hrabia jednak pożałował, że wpadł na taki pomysł, kiedy dziewczęta zaczęły uwodzić chłopców, a Stephen został przyłapany in flagranti, co wzbudziło gniew gospodarza i omal nie zepsuło reputacji de Burghów.

Reynold pamiętał te dziewczęta. Ciche, o jasnej cerze, z wysokimi głosami i olśniewającymi uśmiechami. Wydawały mu się bardziej egzotyczne niż najbardziej wyszukane słodycze. A Amice doprawdy go oczarowała. Była piękna, tak jak panna Sexton.

Może nawet podobała mu się jeszcze bardziej, bo przecież był wtedy młodszy, a serce wrażliwsze na niewieście wdzięki. Chodził za nią jak szczeniak, a ona tolerowała to, bo miała nadzieję, że w ten sposób zbliży się do jego braci.

Kiedyś podsłuchał rozmowę, która potwierdziła te przykre domysły.

- Podobasz mu się, wszyscy to widzą. Jak ci się podoba ów Reynold?

- Reynold? Jest chromy. Dlaczego miałabym się kimś takim interesować? - spytała ze śmiechem Amice. - Jest dobry dla jakiejś przybłedy. Mnie wpadł w oko inny de Burgh.

Tak było, odkąd sięgał pamięcią. Jeśli nawet spotykał dobrze urodzoną kobietę, zawsze wolała kogoś z braci... albo nawet ojca.

Reynold miał nadzieję, że jeśli opuści dom, przestanie być wreszcie porównywany do braci. Z czasem uświadomił sobie jednak, że nie zmieni tego, kim jest.

Następnego ranka Sabina pierwszy raz od dłuższego czasu siedziała u szczytu stołu, w miejscu, z którego widać było dużą część wielkiej sali, wypełnionej przez mieszkańców dworu i krzątającą się służbę. Ostatnimi czasy jednak w Grim's End zbierano się na posiłki gdzie indziej: w kuchni, piwnicy albo w opuszczonych chatkach. Każdego dnia przenoszono się, żeby uniknąć napaści, i znoszono tę niewygodę w przekonaniu, że chroni ona ich życie.

Sabina miała nadzieję, że teraz sytuacja się zmieni, choć wiedziała, że nie może zapewnić gościowi wszystkiego, czym dwór dysponował w przeszłości. Wprawdzie lord Burgh nie wyglądał na człowieka, na którym robi to wrażenie, ale zapewne był przyzwyczajony do większych wygód.

Powtarzała sobie, że nie różni się od innych mężczyzn i rycerzy, których do tej pory poznała, więc nie budzi w niej żadnych gorętszych uczuć. Jednak gdy tylko pojawił się w wielkiej sali, uświadomiła sobie, że to nieprawda. Reynold de Burgh nie przypominał nikogo ze znanych jej ludzi. Był wysoki, poważny, szczupły i przystojny, więc

można byłoby mu wybaczyć nawet dozę arogancji, tym bardziej że zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak interesująco wygląda.

Pierwszy raz od dawna zapało jej dech w piersiach. Miała nadzieję, że teraz nie będzie już nerwowo podskakiwała przy byle skrzypnięciu i zapanuje nad paniką, która zdawała się czyhać na nią niemal w każdej chwili. Jeśli bowiem ktokolwiek mógł pokonać bestię i przywrócić życie do normalności, to właśnie ten człowiek.

Gdy się zbliżył, Sabina stwierdziła, że minę ma dość ponurą, a Ursula opisała jego twarz jako srogą. Uznała to jednak za oznakę nieustępliwości i doświadczenia w licznych bojach. Wydawał się bowiem człowiekiem, który wiele przeżył i zobaczył znacznie więcej niż ktokolwiek w Grim's End.

Poprzedniego dnia wyglądał jak bohater legend, o nadludzkiej sile i zdolnościach. Zapragnęła go bliżej poznać i dowiedzieć się, w ilu strasznych bitwach brał udział, że walka ze smokiem wydała mu się drobiazgiem. Obawiała się go jednak urazić nadmierną ciekawością.

Rzeczywiście, przywitał się chłodno, a gdy Sabina wskazała mu miejsce u szczytu stołu, pokręcił głową. Usiadł na ławie z boku, starając się przy tym znaleźć jak najdalej od panny Sexton.

Sabina, nie odbierając tego jako obelgi, poleciła Adele przynieść coś do jedzenia i picia. Ursula poszła do kuchni pomóc w przygotowaniu posiłku, ale wtedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zza parawarm wyłonił się Urban, tak jakby specjalnie czekał na nadejście lorda Burgha.

Sabina skinęła mu głową wdzięczna za czujność i ochronę.

- Panno Sexton - powitał ją lord Burgh.

Jego mina naprawdę nie wróżyła niczego dobrego i Sabinę ogarnęła nagła obawa, że Reynold nie dotrzyma słowa. Może po prostu skorzysta z ich gościny i wyruszy w dalszą drogę, a ich zostawi własnemu losowi? - pomyślała.

- Słucham - odpowiedziała z niepewnością.

- Przemyślałem waszą sytuację. Chciałbym cię stąd zabrać, pani. Chętnie będę ci towarzyszył do najbliższej wsi, do krewnych, których zapewne gdzieś masz, do majątku

seniora albo nawet do mojego domu - powiedział, zaskoczony tą ostatnią propozycją nie mniej niż Sabina.

- Ona nigdzie z tobą nie pojedzie - wtrącił się Urban, ale lord Burgh w ogóle nie zwrócił na niego uwagi.

Wpatrując się w Sabinę, kontynuował:

- Chcę stąd zabrać was wszystkich.

To zamknęło usta Urbanowi, który chciał tego od wielu miesięcy. Sabina jednak nie zamierzała wyjeżdżać. Poczula się zdradzona. Przecież lord Burgh obiecał im pomoc!

- Bylibyście bezpieczni w czasie, gdy będę wykurzał stąd... tę bestię - dodał.

Sabina poczuła wątplą nadzieję, choć wołała zachować ostrożność. Pragnęła wierzyć w słowo rycerza. Wiedziała jednak, że różnie bywa. Poza tym jak dowiedziałyby się, że udało mu się pokonać smoka, gdyby sama nie była tego świadkiem? I jak mogłaby pozostawić ziemię swoich przodków w rękach obcego człowieka?

- Nie - powiedziała spokojnie. - Możesz, panie, wyprowadzić stąd innych, jeśli będą chcieli, ale ja zostaję.

- Nie zostawię cię, pani, samej - oświadczył gniewnie Urban.

- Jak sobie życzysz... - odparł de Burgh.

Wtedy pojawiła się Adele, niosąc jabłka, ser i piwo, i po chwili wszyscy skupili się na posiłku. Sabina jadła w milczeniu, starając się nie spoglądać na rycerza, siedzącego pośrodku stołu. Żałowała swych ostrych słów, zrozumiała bowiem, że z obcym należy postępować delikatniej. Przecież to ona go potrzebowała, a nie on jej.

Po skończeniu skromnego posiłku wstała i zwróciła się do gościa.

- Chodźmy, panie, pokażę ci mój dom, może wtedy zrozumiesz, dlaczego Grim's End ma dla mnie tak wielkie znaczenie.

Wziął jabłko i wstał od stołu.

- Proszę prowadź, pani.

- A dokąd to? - spytał Urban.

Sabina zerknęła na niego zaskoczona tak zuchwałym tonem. Przez chwilę nie mogła pojąć przyczyny, potem nagle uświadomiła sobie, jak dalece zapomniała o regułach, które wcześniej obowiązywały w jej życiu.

Mieszkańcy Grim's End zawsze trzymali się razem, ale ich liczba stopniowo topniała. Ci, którzy pozostali, stali się sobie bliscy jak rodzina. Nie przestrzegano już tak zwyczajów towarzyskich i Sabinie często zdarzało się przebywać sam na sam z Urbanem, który nigdy jeszcze nie zaprotestował.

Domyśliła się po chwili, że chodzi mu o zachowanie pozorów.

- Może pójdzie z nami Ursula - powiedziała Sabina i skierowała się do kuchni, by zawołać towarzyszkę.

Urban znowu parsknął, jakby i tym razem chciał się sprzeciwić, więc Sabina zrugowała go spojrzeniem. Jako pełnomocnik ojca przyzwyczył się do tego, że sprawuje nad nią opiekę, teraz jednak nie spodobała jej się jego interwencja, bo nie widziała najmniejszego powodu do niepokoju. Lord Burgh bez wątpienia był uczciwy i odważny. Zresztą gdyby miał nieczne zamiary, mógł je wprowadzić w życie, gdy spali.

Pomyślała, że z chęcią uwolniłaby się od Urbana, i natychmiast odezwało się jej sumienie. Wszyscy byli bardzo wdzięczni Urbanowi, bo bez niego nie mogliby pozostać we wsi. Tyle że jego ponure usposobienie i nieustanne poczucie strachu kładły się cieniem na ich życiu. Sabina już nie pamiętała, kiedy ostatnio chodziła po okolicy bez lęku przed zagrożeniem ani kiedy rozmowa nie dotyczyła tego, jak przetrwać.

Kiedy już miała zaprosić Urbana, by się przyłączył, zjawiała się Ursula i powiedziała, że Adele potrzebuje go w kuchni.

Mężczyzna przesłał im gniewne spojrzenie i znikł.

Bez Urbana, który przypomniałby o zasadach ostrożności, Sabina ani nie wyjrzała najpierw zza drzwi, ani nie próbowała nasłuchiwać smoczego ryku. Po prostu wyszła z domu i natychmiast uznała, że jest pięknie. Niebo było niemal czyste, tylko gdzieś snuły się po nim bielutkie pierzaste chmury. Głęboko odetchnęła i uśmiechnęła się. Nogi same ją poprowadziły po znajomych ścieżkach. Poszli na tyły domu, gdzie zaczynało się łagodne zbocze pagórka.

- Staramy się dbać o ogród. Ten i inne, rozrzucone po całej wsi - oznajmiła panna Sexton, chociaż dookoła rosły tylko chwasty.

Ludzi niestety było bardzo mało, a pracy mnóstwo. Sabina postanowiła jednak teraz o tym nie myśleć. Gdy szli przez sad, próbowała sobie wyobrazić, że ten spacer od-

bywa się w zupełnie innych okolicznościach, a serca nie przygniata jej ciężar smutku i niepokoju.

Jedno spojrzenie na towarzysza przywróciło ją jednak do rzeczywistości. Reynold de Burgh nie był postacią z romansu. Nie wyobrażała sobie, żeby przed damą przyklęknął albo recytował wiersze. Uśmiechnęła się ironicznie na tę myśl. Lord Burgh był mężczyzną twardo stąpającym po ziemi i gdyby nie prośba o pomoc, z pewnością nie zwróciłby na nią, Sabinę Sexton, najmniejszej uwagi.

- Co stało się z twoim bydłem, pani? Z końmi? Z owcami? - spytał, zaglądając do mrocznego wnętrza szopy, w której oprócz wozów i uprzęży były tylko jego konie.

- Pozabijane, a reszta znikła bez śladu - powiedziała.

Wolała nie myśleć o przeszłości, więc ruszyła naprzód. Obeszła kępy wysokiej trawy na brzegu stawu, gdzie bawiła się jako dziecko. Skierowali się ku drodze, gdy zawołała ich Ursula. Sabina obróciła się i zobaczyła, że jej towarzyszka usiadła na kamieniu granicznym.

- Idźcie dalej, ja stąd na was popatrzę - powiedziała.

Sabina zrobiła zdziwioną minę, bo Ursula zawsze bała się wychodzić na dwór, a teraz nagle zapragnęła posiedzieć chwilę w samotności. Pamiętając o obawach służącej, Sabina nie oddaliła się zanadto, ale wyszła na drogę i pokazała Reynoldowi dawną chatę piekarza i kuźnię. Potem przeszli na drugą stronę i wędrowali przez pewien czas wśród pól i opuszczonych chat. Tu nastrój Sabiny znacznie się pogorszył.

- Co tam było? - spytał lord Burgh, wskazując przeciwległą stronę drogi.

Sabina osłoniła dłońią twarz przed słońcem i zatrzymała wzrok na stosie kamieni.

- Tyle zostało z pierwszego kościoła, chociaż podobno zbudowano go na miejscu innego, który był jeszcze starszy. W każdym razie obecny na pewno widziałeś, panie - powiedziała i nie bez dumy poprowadziła go w tamtą stronę. - To Sextonowie ufundowali kościoły w Grim's End. Zarówno ten, który widzisz, jak i ten, który przed laty został zniszczony.

De Burgh obszedł budowlę. Na chwilę przystanął, by przyjrzeć się pięknemu rytowi na ścianie od strony drogi.

- Dość niezwykły motyw jak na kościół, czyż nie? - zapytał.

- Jestem pewna, że w wielu kościołach można znaleźć podobne sceny świętych zabijających smoki, zwłaszcza Jerzego - odrzekła Sabina.

- Tu jednak przedstawiono tylko smoka, bez pogromcy.

Wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, że również smoka nazywano grimem, więc przypuszczam, że nazwa wsi wiąże się z jakimś bohaterskim czynem towarzyszącym jej założeniu.

Czyżby potem czujność mieszkańców osłabła? Sabina nie potrafiła znaleźć powodu, dla którego smok mógłby się zbudzić. Chyba że...

Zatopiona w myślach poruszyła się dopiero po dłuższej chwili, gdy przypomniała sobie, że nie jest sama. Lord Burgh stał jednak cierpliwie w pobliżu, a jego milczenie nie było w najmniejszym stopniu krępujące. Cisza panująca teraz wydawała jej się wręcz przyjazna, nie tak jak w poprzednich dniach i miesiącach.

Gestem zaprosiła go do kościoła, którego mury chroniły przed słonecznym żarem. Obeszła dobrze znane wnętrza, co podziałało na nią kojąco. Ksiądz jednak dawno przeniósł się w bezpieczniejsze miejsce. Jego zdaniem za kłopoty odpowiadał ktoś z parafian, kto miał związek ze złem, a może nawet zawarł pakt z diabłem. Od tej pory mieszkańcy zaczęli podejrzliwie spoglądać na swoich sąsiadów, więc Sabina nie żałowała odejścia księdza.

Zwróciła się ku lordowi Burghowi, który w skupieniu oglądał ścianę, na której znajdował się podobny wizerunek jak na zewnątrz, tylko mniejszy. Sabina nagle pomyślała o swoim gościu bardzo ciepło. Jechał przecież do Bury St. Edmunds, by zobaczyć wielkie opactwo, bez wątpienia był też w innych katedrach, wznoszących się pod samo niebo i bogato i pięknie zdobionych. A jednak zdawał się doceniać nawet to skromne dzieło.

- „Żałujcie i wypatrujcie swojej nagrody” - przeczytał swoim niskim głosem, który brzmiał bardzo poważnie, ale działał na Sabinę krzepiąco. - To napomnienie dla smoka czy dla wiernych? - spytał, posyłając jej wymowne spojrzenie.

Sabina roześmiała się i nagle zamilkła. Ile czasu minęło, odkąd czuła się dostatecznie beztrosko, by pozwolić sobie na śmiech? Zapragnęła rzucić się rycerzowi w ramiona,

ale on znowu miał kamienną twarz i zaraz się odwrócił. Ciekawe, czy zdarzało mu się kiedykolwiek roześmiać?

Serce Reynolda wypełniał smutek i Sabina chętnie zdjęłaby z niego ten ciężar. Co jednak mogłaby zaoferować takiemu mężczyźnie słaba kobieta, sama będąca w tarapatach?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ursula czekała na nich przy drodze do dworu. Reynolda zaskoczyło, jak długo był sam na sam z piękną kobietą. Przedtem w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy. O dziwo, w towarzystwie panny Sexton czuł się całkiem swobodnie, pewnie dlatego, że jasno określiła, czego od niego chce. Dała mu do wykonania zadanie. Nie chodziło jej o nic więcej.

Gdy wrócili do wielkiej sali, Reynold omal nie wybuchnął śmiechem na widok Urbana i Peregrine'a, którzy mieli podobne miny. Obaj byli naburmuszeni i nie ulegało wątpliwości, że woleliby towarzyszyć pannie Sexton. Cieszył się, że umie ukrywać uczucia, bo gdyby je okazał, z pewnością zostałyby wykpione.

- Chodź tu, giermku, pokaż, że jest z ciebie pożytek - odezwał się Reynold tonem nieco bardziej szorstkim niż zwykle.

- Dokąd idziesz? - spytał Urban.

- Trochę się rozejrzę.

- Myślałem, że już to zrobiłeś.

Jego słowa zabrzmiały dość wyzywająco, zupełnie jakby każdy krok Reynolda budził jego podejrzenia. Simon, który wśród de Burghów miał najbardziej wybujały temperament, rzuciłby już pewnie Urbanem raz czy dwa o ścianę. Na szczęście dla niego Reynold nie był Simonem, więc tylko pokręcił głową.

- Panna Sexton z łaski swojej pokazała mi część wsi, ale muszę teraz rozejrzeć się sam i poszukać śladów smoka.

Panna Sexton raptownie poderwała głowę.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie pomyślałam o tym. Jestem niemądra, że po prostu...

Nie dokończyła, ale popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i Reynold po raz pierwszy uświadomił sobie ich urok. Przerwał pannie Sexton uniesieniem dłoni.

- Teraz znam już drogę, więc wolę rozejrzeć się sam.

- Pójdę z tobą - zaofiarował się Urban, chociaż nie wydawał się uszczęśliwiony tą perspektywą.

Reynold pokręcił głową. Nie chciał, by ktokolwiek mówił mu, co tu zaszło. Wolał samodzielnie wyciągnąć wnioski.

- Wezmę z sobą tylko giermka. Może uda nam się coś znaleźć.

Nikt nie wydawał się zadowolony z tej decyzji. i Urban, i panna Sexton wyglądali tak, jakby chcieli mu towarzyszyć, natomiast Peregrine tęsknym wzrokiem śledził panią domu.

- Chodź, giermku - powiedział Reynold tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wyszli na drogę, a potem kluczyli między chatami, szukając śladów napaści. Dostrzegł kilka zaczerwienionych miejsc, ale niewielkich, jakby ktoś pilnował, żeby ogień się nie rozprzestrzenił. Reynold zbadał jednak dokładnie te miejsca, dotykał opalonych krawędzi i cedził w dłoniach zebrany z ziemi popiół.

- Co to jest? - spytał Peregrine.

- Piasek - odpowiedział, zerkając ku oceanowi, do którego z Grim's End było niedaleko.

Na obrzeżach wsi znaleźli wypalone pola, tak jak mówiła panna Sexton. Dalej jednak nie było już żadnych śladów. Ani gnijącej padliny, ani bielejących kości, ani też niezwykłych kawałków futra czy ekskrementów. W lesie natknęli się na kilka zajęcy i ptaki łowne, w tym gołębice, które mogły kiedyś należeć do kogoś w Grim's End. Reynold postanowił spytać pannę Sexton, czy utrzymywała gołębnik.

Pokręcił głową. Niektórzy jego bracia mieli za żony silne kobiety, ale żadna nie przypominała panny Sexton. Nie tylko była panią we dworze, lecz również gospodarowała całą wsią. Przy tym była piękna i urokliwa.

Zmarszczył czoło. Mniejsza o jej urodę, miał przecież dowiedzieć się, co lub kto zagraża tej pięknej kobiecie i mieszkańcom Grim's End. Do tej pory jednak nie poszczęściło mu się w poszukiwaniach. Często przystawał i badał, wysokie trawy, poszycie i zarośla, a nawet przyklękał na ziemi. Wprawdzie nie umiał tropić tak, jak jego brat Dunstan, ale zauważył ślady stóp. Znalazł ich jednak niewiele, bo ostatnio nie padały deszcze, a o tym, że ktoś szedł, świadczyły przeważnie tylko połamane gałęzie i łodygi. Śladów dzika ani niedźwiedzia nie dostrzegł. Czyżby coś umykało jego uwagi?

Teren był lekko nachylony, a naprzeciwko kościoła wznosił się niewielki pagórek. Właśnie z jego szczytu Reynold zobaczył ocean, odgradzony od wsi szpalerem drzew. Może należało poszukać również tam, pomyślał, chociaż nie było to bezpośrednie otoczenie wsi, a jemu zaczynała dokuczać noga. Nie chciał, aby ktokolwiek zobaczył go, jak kuleje.

Pragnął też wyrzucić z myśli pannę Sexton. Spojrzał w górę, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź na swoje pytania. Niebo było czyste i błękitne jak jej oczy.

- Co tam? - spytał Peregrine.

- Nie co, tylko gdzie - odburknął Reynold, rozglądając się. - Gdzie jest ten smok?

Lord Burgh zaczynał się niecierpliwić. Sabina widziała to w jego twarzy, ruchach i w sztywności chodu. Ursula, siedząca obok niej przy długim stole w wielkiej sali, trąciła ją łokciem.

- Nasz przybysz z każdym dniem wygląda lepiej, prawda? - szepnęła.

Sabina musiała przyznać jej rację. Wprawdzie de Burgh nie był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego widziała, ale bez wątpienia przykuwał uwagę. Jego ostre rysy twarzy dodawały mu powagi, a przecież nie był arogancki ani okrutny. Przeciwnie, uderzały u niego łagodność i życzliwość, znacznie ważniejsze niż uroda.

Prawdę mówiąc, Sabinie nie zależało na tym, by polubić tego rycerza. Kiedy zobaczyła go pierwszy raz na drodze, pomyślała, że oto ktoś, kto może im pomóc, bardziej bohater niż człowiek z krwi i kości. W miarę upływu dni czuła do niego coraz większą sympatię.

- Lordzie Burgh - zawołała Ursula, wstając.

Starsza towarzyska Sabiny bez wątpienia zmieniała stosunek do Reynolda. Początkowo zachowywała się nieufnie, teraz dbała o niego ponad wszelką miarę. Kto zresztą mógłby ją winić, skoro nikt nie zawitał w te strony od dawna?

Ursula jednak nie poprzestała na powitaniu.

- Chodź, panie, usiądź obok Sabiny - zachęciła go. - Znalazłam poduszkę, więc będzie ci wygodniej.

Podeszła do wolnego miejsca obok Sabiny i zaprosiła go gestem. Panna Sexton omal się nie wzdrygnęła. Jednak lord Burgh pokręcił głową i usiadł na długiej ławie, ciągnącej się wzdłuż stołu. Wiedział, że te dwa krzesła były przeznaczone dla gospodarzy, i nie zamierzał ich zajmować.

- Lord Burgh jest naszym gościem, Ursulo. Może siedzieć gdzie tylko mu się podoba - oznajmiła tonem łagodnej reprimendy.

Sabina postanowiła rozmówić się z Ursulą, bo zaczęła odgrywać rolę swatki, co w zaistniałych okolicznościach było nie na miejscu. Początkowo Sabina przymykała na to oko, ponieważ cieszyło ją, że Ursula ma lepsze samopoczucie, ale stwierdziła, że czas ustalić granice.

Trudno było zresztą interpretować sytuację bardziej fałszywie niż Ursula. Przez cały tydzień lord Burgh zachowywał się, jak przystało na rycerza, ale pozostawał chłodny i niedostępny. Sabina nie widziała u niego żadnych oznak zainteresowania zalotami. Przecież mógł poślubić kobietę ze znamienitego rodu, która ma niewyobrażalnie więcej bogactw i ziemi. Tu spełnia po prostu swój obowiązek, choć bez wątpienia przez cały czas tęskni za domem i swoim codziennym życiem.

Sabina odchrząknęła, kryjąc zakłopotanie.

- Dzień dobry, panie - powiedziała. - Zjesz z nami śniadanie?

Chociaż go zaprosiła, wiedziała, że na stole nie stoi nic szczególnie kuszącego. Lord Burgh był prawdopodobnie przyzwyczajony do wytwornych dań, choćby mięs z egzotycznymi przyprawami, których w Sexton Hall nie było nawet za najlepszych czasów, a tym bardziej teraz, kiedy dojadali resztki zapasów.

- Może napiję się trochę piwa - odparł, zerkając na skromnie zastawiony stół.

Sabina splonęła rumieńcem. Poprzedniego wieczoru ich gość obszedł okolicę i wrócił z kilkoma zajacami upolowanymi na kolację.

- Musisz więcej jeść, panie, bo inaczej stracisz siły - odezwała się familiarnym tonem Ursula.

Panna Sexton spojrzała na nią z niechęcią. Obawiała się, że takie zachowanie zniechęci Reynolda do dalszej pomocy.

- Adele, przynieś, proszę, trochę piwa i sera. A może jest jeszcze wino? - spytała w chwili, gdy weszli do wielkiej sali Urban z Alekiem, a za nimi Peregrine.

Lord Burgh pokręcił głową.

- Chciałbym, pani, abyśmy porozmawiali - oznajmił.

Sabinie zamarło serce, ale dzielnie wytrzymała jego spojrzenie.

- Naturalnie, panie. O czym?

Zanim zdążył odpowiedzieć, odezwała się Ursula:

- Chodź, Urbanie, musisz mi pomóc.

Sabina spojrzała koso na służącą. Czyżby zdawało jej się, że lord Burgh chce tak poufałej rozmowy? Każdy widział, że jest znużony swoim zadaniem. A przecież chodziło o poważne sprawy, od niego zależała teraz przyszłość Grim's End.

- Zostań - zwróciła się Sabina do Urbana i skinęła głową lordowi Burghowi, chociaż obawiała się tego, co za chwilę usłyszy.

- Pani, obeszliliśmy całą wieś wzdłuż i wszerz. Nie znaleźliśmy ani śladu żadnego groźnego zwierzęcia, a tym bardziej smoka.

No i padły słowa, których nie chciała usłyszeć i na które nie miała odpowiedzi. W sali zapadło niezręczne milczenie.

- Może chowa się w nadbrzeżnych jaskiniach? - wyrwało się chłopcu.

- Alec! - syknęła Ursula. - Chyba nie chodziłeś po klifach, co?

- Nie, i nie pójde go szukać, ale skoro lord Burgh tu jest, może powinien tam zajrzeć.

- Może lord Burgh nie chce aż tak bardzo się oddalać bez wynagrodzenia za swoje trudy - podsunął Urban.

Ursula znów syknęła, ale spojrzenie Sabiny zmusiło ją do milczenia. Urban po prostu wyraził wątpliwość, której do tej pory nikt nie ważył się przedstawić, więc nie było powodu go uciszać. Tylko de Burgh mógł odpowiedzieć na taki zarzut, więc Sabina zwróciła się do rycerza. Podobnie jak Ursula nie chciała uwierzyć, że ich gość kieruje się chęcią zysku, ale była skłonna zapłacić za pomoc.

- Mogę obiecać ci, panie, dziesięcinę z jednego roku, kiedy już mieszkańcy wsi wrócą do swoich chat - powiedziała.

Nie miała majątku, więc niczego więcej zaproponować nie mogła.

- Czy to aby wystarczy? - spytał kwaśno Urban. - Może będzie chciał więcej, zwłaszcza gdy usłyszysz o skarbie Sextonów?

Sabina spojrzała na Urbana zaskoczona. Rzadko ktoś wyciągał na światło dzienne tę zapomnianą już pogłoskę, więc jak mógłby dowiedzieć się o niej wędrujący rycerz? Jeśli jednak o niej usłyszał, to z pewnością czekało go rozczarowanie.

- Urbanie, wiesz równie dobrze jak ja, że w tej starej opowieści nie ma ani krzty prawdy.

Mężczyzna wzruszył ramionami, a panna Sexton skrzywiła się zła na niego, że powtarza takie niedorzeczności. Teraz musiała się wytłumaczyć przed gościem.

- Panie, ludzie gadają o tym od lat, ale nikt w to naprawdę nie wierzy. Jeden z moich przodków oddał na kościół złotą monetę i stąd wzięła się opowieść, że Sextonowie mają ukryty skarb, który zostanie rozdany, gdy wieś znajdzie się w potrzebie. Sam jednak widzisz, że żyjemy bardzo skromnie, i zawsze tak było - oznajmiła, szerokim gestem pokazując mu wielką salę. - A gdybym miała pieniądze, to wydałabym je na pogromcę smoków już wiele miesięcy temu.

- Nie chcę zapłaty - powiedział lord Burgh. - Jednakże nie mogę u was mieszkać bez końca. Mija tydzień i do tej pory nie widziałem ani śladu bestii.

- Może się stąd wyniosła - podsunął Alec.

Sabina pozwoliła sobie na chwilę nadziei.

- Jeśli smok już nie zagraża wsi, to może powinniśmy nakłonić do powrotu tych, którzy uciekli?

- Jak ich znajdziemy? - spytał Urban. - I jaki dowód mamy na to, że bestia nie wróci? Jak na razie wiemy tylko, że ostatnio się nie pokazywała.

- A gdzie się podziali ci, którzy odeszli? - spytał de Burgh.

- Któż to wie? - zadumała się Sabina. - Pewnie są w pobliskich wsiach. Na północ leży Sandborn, na południe Baderton, na wschód Ballinghoo, a jeszcze dalej Bury St. Edmunds.

- Skąd wiadomo, że oni się przeprowadzili, a nie zostali zabici po drodze? - zainteresował się Peregrine.

Sabinę przeszył dreszcz. Sama zadawała sobie często pytanie, ilu z jej poddanych jeszcze żyje. Smok zazwyczaj nie pozostawiał żadnych szczątków.

- Urban był w Sandborn i rozmawiał z kilkoma uciekinierami, próbując ich namówić do powrotu,

Sama kazała mu to zrobić, ale skutku żadnego to nie przyniosło.

- Nie chcieli mnie słuchać - powiedział Urban. - Za bardzo bali się smoka.

- A widzieli go? - spytał lord Burgh.

- Jedni tak, inni nie - odparł Urban i wzruszył ramionami. - Nieważne. To tchórze.

- Ale niektórzy naprawdę go widzieli?

- Naturalnie - odparł burkliwie Urban.

Alec zaczął wymieniać mieszkańców wsi, którym udało się przeżyć atak, a tymczasem Sabina przyglądała się lordowi z zaciekawieniem i lękiem zarazem. Chociaż z jego twarzy mogła wyczytać niewiele, zauważyła, że jest mocno zniecierpliwiony. On nam nie wierzy, pomyślała.

Już sądziła, że go przekonali, ale teraz pojawiły się nowe wątpliwości. Zastanowiła się, czy sama wierzyłaby w smoka, gdyby nie miała za sobą tylu złych doświadczeń? Gdyby nie słyszała odgłosów, nie widziała martwych zwierząt, nie czuła gorąca i nie widziała zwęglonych szczątków? Przecież jej ojciec też zginął...

- Porozmawiam z tymi, którzy widzieli potwora - oznajmił lord Burgh i tym uciszył pozostałych. - Wiecie, gdzie oni są?

- Mogą być wszędzie - odpowiedział Urban, kręcąc głową.

- Dobrze, zacznę zatem od Sandborn.

Wstał z bardzo stanowczą miną, ale Ursula zaczęła go błagać:

- Milordzie, nie rób tego, bez ciebie nie jesteśmy tutaj bezpieczni.

Nie zatrzymał się, a Sabina milczała. Wiedziała, że nie ma sensu dyskutować.

De Burgh skinął na Peregrine'a i już podążał do drzwi.

- Powinniśmy dotrzeć do sąsiedniej wsi i zdążyć z powrotem przed zapadnięciem zmroku - powiedział.

Jego słowa nie brzmiały jednak krzepiąco. Co będzie z nimi, zanim rycerz wróci? A jeśli wcale nie wróci?

Panna Sexton wstała i ruszyła za nim.

- Pamiętaj, panie, że jesteś ostatnią nadzieją Grim's End - powiedziała i dłonią musnęła jego ramię.

Był to zupełnie odruchowy gest, mający wzmocnić siłę stwierdzenia, ale ten przelotny kontakt podziałał na Sabinę porażająco. Zalało ją gorąco, serce zabiło jej szybciej i nagle zabrakło jej tchu. Zaniepokojona cofnęła się. Zauważyła zresztą, że lord Burgh się wzdrygnął.

Po krótkiej chwili wahania skinął głową i odszedł, a Sabina została na progu. Patrzyła śladem dwóch przybyszów i zastanawiała się, czy przypadkiem nie tracą ostatniej szansy na ratunek.

Urban, który stanął obok niej, wyraził te obawy wprost na głos:

- Wspomnisz moje słowa - powiedział. - Oni już nie wrócą.

Reynold uznał, że musi odpędzić od siebie niepożądane myśli, i skupił uwagę na wierzchowcu. Miał ochotę puścić się galopem, by zostawić daleko za sobą Grim's End i wszystko, co się z tym miejscem łączy. Wiedział jednak, że nie należy ulegać odruchom, więc jechał stępa i bacznie obserwował, czy nie dostrzeże czegoś nieoczekiwanego. Bestia mogła przecież się pokazać w każdej chwili. Nie zauważył jednak niczego, choć znów miał poczucie, że jest obserwowany. Na takim pustkowiu było to wrażenie złowieszcze.

Gdy mijali kościół, Reynold nie był pewien, czy nie odezwą się dzwony, tak samo jak wtedy, gdy przyjechali. Panowała jednak cisza. Mimo to wciąż czuł się nieswojo. Kiedyś słyszał opowieść o nawiedzanej wsi, której mieszkańcy zjawiali się i znikali w

okamgnieniu. W dodatku wzięli przybyszów. Zastanawiał się, kiedy i oni natkną się na jakieś niebezpieczeństwo.

Nic ich jednak nie zatrzymywało. Spojrzał jeszcze raz na chaty, stojące wzdłuż drogi, i pokręcił głową. Nagle naszło go podejrzenie, że całą tę historię ze smokiem i piękną damą w tarapatach po prostu sobie wymyślił.

Wspomniał jeszcze raz jej zachowanie. Reynold nie potrafił powiedzieć, czy wyciągnięcie ręki przez Sabinę było całkiem niewinnym gestem, czy celową zachętą. Wiedział jednak, że gdy poczuł jej dotyk, zaparło mu dech w piersiach. Ona jednak szybko cofnęła rękę przejęta niechęcią.

To było dla niego przypomnienie, żeby ani na chwilę nie tracić czujności. Nie należało pozwalać obcym ludziom na żadne próby zbliżenia. A jednak nie mógł wyrzucić tego zdarzenia z pamięci. Uczucie rozczarowania było jeszcze zbyt świeże. W głębi duszy Reynold żywił bowiem nadzieję, że panna Sexton różni się od innych kobiet.

Zerknął z ukosa na swojego towarzysza. Peregrine wydawał się nieszczęśliwy z powodu wyjazdu. Czyżby tęsknił za panną Sexton? Reynold z trudem powstrzymał się od pouczenia chłopca o nieszczerości kobiet.

- Chcesz się dąsać przez całą drogę? - spytał ostrzej, niż zamierzał, i naraz przypomniał sobie słowa ojca: „Nie wyładowuj się na chłopcu. To nie jego wina, że jesteś taki, a nie inny”.

- Przepraszam, panie, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego wyjeżdżamy - powiedział Peregrine.

- Szukamy świadków- wyjaśnił Reynold. - Musimy dowiedzieć się więcej o tym smoku.

To była zresztą prawda. Chociaż panna Sexton i jej nieliczni towarzysze bali się napaści, Reynold wcale nie był bliżej wyjaśnienia przyczyny tych zdarzeń niż w dniu swego przyjazdu do Grim's End. Aczkolwiek zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że coś więcej kryje się za opowieścią o zionącym ogniem smoku.

Peregrine zamilkł, więc Reynold zmarszczył czoło.

- A co twoim zdaniem należy zrobić? - spytał. - Tkwić tutaj, póki nie skończą im się zapasy?

Peregrine spojrział na niego wymownie. Chciał pewnie dać mu do zrozumienia, że nie ma powodu czynić inaczej. Nic tak naprawdę nie goniło ich do Bury St. Edmund, nikt nigdzie ich nie oczekiwał. A jednak Reynold nie chciał zapaść tu korzeni, mimo że panna Sexton miała nieodparty urok. Może zresztą właśnie dlatego.

- Czemu jej nie ufasz, panie?

Pytanie, tak bliskie biegowi jego myśli, kompletnie go zaskoczyło.

- Co? - odburknął.

- Nie ufasz panie Sexton, prawda?

- Nie jestem taki łatwowierny jak ty - odparł Reynold, znów zerkając na młodzieńca z ukosa.

Peregrine zaczerwienił się, przypomniał sobie bowiem epizod z pielgrzymami.

- Z mojego doświadczenia wynika, że damy w większości są zepsute, samolubne i nieszczerze, a im piękniejsze, tym gorsze - stwierdził Reynold. - Może dobrze urodzone kobiety po prostu odbierają takie wychowanie, ale mój ojciec nie znosi intrygowania. Woli uczciwe i proste przyjemności, a jego synowie cenią sobie silne ramię trzymające miecz i dobrego konia.

- Ale lady Joy i lady Marion nie są takie, jak mówisz, panie - sprzeciwił się Peregrine.

- To prawda, nie są - przyznał Reynold.

Żony de Burghów nie były rozpieszczonymi dworakami. Chyba nie musiały się też wstydić swojej urody, chociaż Reynold się nimi nie zachwycił. Za to od panny Sexton nie mógł oderwać wzroku. Złapał się nawet na tym, że zwraca uwagę na różne drobiazgi, takie jak kształt jej nadgarstka, smukłość szyi czy złote wstążki we włosach. Zupełnie jakby podziwiał dzieło sztuki.

- Poza tym panna Sexton nie jest szlachetnie urodzona - dodał Peregrine. - Nawet jeśli przyszła na świat we dworze, nie należy do znamienitego rodu.

Może nie, ale jest piękniejsza od wszystkich szlachetnie urodzonych dam, jakie poznał, pomyślał Reynold.

- Nie jest też zepsuta ani samolubna. Zawsze myśli o innych. I nawet pracuje w ogrodzie - kontynuował Peregrine.

De Burgh sztywno skinął głową. Panna Sexton niewątpliwie była przyzwyczajona do tego, że radzi sobie sama. A kiedy chciał zwrócić uwagę Peregrine'a na jej wady, na przekór sobie pomyślał, że jest życzliwa, szczodra i dzielna, a do tego pełna gracji.

- Myślę, że byłaby dobrą żoną - zakończył Peregrine, czym nagle wyrwał Reynolda z zamyślenia.

- Za stara jest dla ciebie, chłopcze - burknął Reynold.

Peregrine zbladł i otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale de Burgh uciszył go jednym spojrzeniem. Miał serdecznie dość tej rozmowy.

Uroczą, silną i obdarzoną wieloma zaletami panną Sexton z pewnością dobrze nadawała się na żonę lorda. Gdyby Reynold był jednym ze swoich braci, może nawet poświęciłby uwagę tej kwestii. Jednak jej reakcja tego ranka boleśnie przypomniła mu, że nigdy taki jak bracia nie będzie.

Był sobą, mężczyzną, który nigdy się nie ożeni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Chociaż Reynold cieszył się, że odpocznie od złowieszczej atmosfery Grim's End, to zaniepokojenie nie opuszczało go ani przez chwilę, bo droga, którą jechali, wydawała się równie opustoszała jak sama wieś. Nie spotkali ani człowieka, ani wozu, ani owcy. Choć więc nie rozmawiał na ten temat z giermkim, to czuł się coraz bardziej nieswojo. Zaczął podejrzewać, że oprócz wyludnionych chat Grim's End nic tu nie ma i wkrótce droga zawiedzie go w to samo miejsce, z którego wyruszył.

Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie ujrzeli przed sobą ślad życia i usłyszeli jakieś odgłosy. Jakby obudził się ze złego snu, z radością powitał pierwsze oznaki gwarnej wsi, która wydawała się bardzo gęsto zaludniona, być może dzięki nowym mieszkańcom. Chociaż Sandborn nie było dużo większe od Grim's End, leżało na samym wybrzeżu. W niedużej miejscowej gospodzie Reynold z Peregrine'em pożywili się świeżymi rybami.

Małżeństwo właścicieli było przyjazne i gadatliwe, póki Reynold nie wspomniał o Grim's End. Miał nadzieję znaleźć kogoś, kto dostarczy tam zapasy żywności, ale karczmarze zgodnie odmawiali i wyraźnie zapragnęli nagle pozbyć się swoich gości.

- Widzisz, panie? Wszyscy wiedzą o smoku - odezwał się Peregrine, gdy już znaleźli się na dworze.

- Wszyscy wiedzą o jakimś niebezpieczeństwie - poprawił go Reynold, przyglądając się niebu, które znów było czyste i błękitne jak oczy znajomej damy. - Tylko o jakim?

Na szczęście, o jednego z byłych mieszkańców zapytali, zanim jeszcze wymienili nazwę samej wsi. Udali się więc we Wskazane miejsce, gdzie ów mieszkał razem z żoną. Zastali kobietę, zajętą uprawianiem przydomowej działki.

- Githa? Githa Smalle? - spytał Reynold.

Zagadnięta wyprostowała się i zmierzyła ich nieufnym spojrzeniem.

- Chcę wam zadać kilka pytań o Grim's End - powiedział.

Na samą wzmiankę o wsi kobieta zbladła i rozejrzała się dookoła, jakby szukała drogi ucieczki.

- Nie skrzywdzimy was - uspokajał Reynold. - Chcemy tylko się dowiedzieć, dlaczego opuściliście wieś.

- Nie będę o tym mówić! - odparła i uciekwszy do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi. Peregrine chciał podążyć za nią, ale Reynold pokręcił głową.

- Ci ludzie się boją, więc nie chciałbym, żeby cała wieś uznała nas za wrogów.

Giermek skinął głową i razem zaczęli szukać męża kobiety. Znaleźli go na polu, więc trudno byłoby mu uciec. On także nie miał jednak zamiaru rozmawiać.

- Dlaczego się wynieśliście i zamieszkaliście tutaj? - zapytał chłop o twarzy ogorzałej, naznaczonej bruzdami czasu i ciężkiej pracy.

- Każdy ma prawo żyć i mieć bezpieczny dom.

Uniósł głowę, jakby oczekiwał sprzeciwu, ale Reynold tylko skinął głową.

- Naturalnie, ale co was stamtąd wyгнаło?

Mężczyzna wsparł się na długim kiju.

- Ten potwór, sami wiecie.

- Jaki potwór? - spytał Reynold. - Widzieliście go na własne oczy?

- Nie, ale nie trzeba widzieć diabła, żeby wiedzieć, że jest w pobliżu.

Odwrócił się do nich plecami i znowu wziął się do pracy.

- Skoro to wszystko, powiedzcie chociaż, kto jeszcze się z wami wyniósł?

Mężczyzna zawahał się, jakby nie chciał nikogo wydać, w końcu jednak wskazał kościstym palcem nowo zbudowaną chatę. Pasły się przed nią krowa i świnia, które Reynold musiał wyminąć, by dotrzeć do drzwi.

Otworzył mu niski, krępy mężczyzna wyglądający jak ktoś, kto niczego się nie boi, więc Reynold poczuł nadzieję, że wreszcie czegoś się dowie.

- Tak?

- Przyszedłem spytać, co wiecie o Grim's End.

- Jeśli zamierzacie się tam osiedlić, zabierając naszą dawną ziemię i zajmując dawne domy, to uważajcie na pradawną klątwę - powiedział i przeżegnał się.

- Dlaczego opuściliście tę wieś?

- Nie mówcie o tym, panie - odparł mężczyzna cicho. - Chcecie przywabić to tutaj?

- Co przywabić? - spytał Reynold i pokazał mężczyźnie monetę.

Mężczyzna wziął ją z bardzo nieufną miną.

- Lepiej wydawajcie swoje pieniądze gdzie indziej. Możecie osiedlić się w Sandborn albo bardziej na wschód, bo tam są żyzne ziemie.

- Czego się obawiacie?

Mężczyzna pochylił się i odpowiedział szeptem:

- To lata w powietrzu. Niszczy wszystko, co spotka na swojej drodze. Tyle wiem.

- Widzieliście to sami?

- Nie.

- To skąd wiecie, co to jest? Mężczyzna gniewnie potrząsnął głową.

- Człowiek nie musi patrzeć śmierci w twarz, żeby ją rozpoznać. Słyszałem jego straszny ryk! Widziałem ognisty oddech! Podpalił mój dom! Nie czekałem, żeby zobaczyć z bliska jego podbrzusze - wykrzyknął i zatrzęsął im liche drzwi przed nosem.

Reynold poczuł wyrzuty sumienia. Może zasłużył sobie na takie traktowanie. To, że nikt nie widział napastnika, nie oznaczało, że ludzie nie ucierpieli... z jakiegoś powodu. Postanowił o tym nie zapominać.

Spojrzał w niebo, ale znowu niczego nie dostrzegł, a słońce zaczynało się już obniżać.

- Powinniśmy wracać - mruknął pod nosem.

Chociaż nie chciał tego przyznać, wyprawa okazała się stratą czasu. Nie dowiedział się niczego z wyjątkiem tego, że ludzie, którzy opuścili Grim's End, są nie mniej przerażeni niż ci, którzy tam zostali.

- Może powinniśmy spróbować jeszcze w innej wsi - podsunął Peregrine, jakby nie chciał pogodzić się z porażką.

Reynold pokręcił głową.

- Wszędzie będzie tak samo.

Cokolwiek napadło na Grim's End, czy to samotny wilk, czy rabuś podkradający zwierzęta i zapraszający ogień, czy jeszcze co innego, zjawiało się tam niepostrzeżenie i nie dało się złapać. Tylko jak smok mógł pozostać niezauważony? Jak duży był ten potwór?

- Halo! Panie!

Reynold odwrócił się tam, skąd dochodził głos, i zobaczył kuśtykającego ku nim człowieka, który wymachiwał rękami. Widok starego kaleki sprawił, że Reynold się wzdrygnął.

- Co tam?

- Szukacie potwora? - spytał stary.

Miał oblęd w oczach i cuchnął piwem, ale uśmiechał się szeroko, nie zważając na braki w uzębieniu.

- To znaczy?

- Słyszałem, jak rozmawiacie. Pytacie o Grim's End. Reynold skinął głową.

- Jestem Gamel. Mieszkałem tam wiele lat i mogę powiedzieć wam wszystko, co chcecie wiedzieć, w zamian za pożywne jadlo.

- Kto jest dzierżawcą wsi? - spytał na początek. Nie zamierzał wyrzucać pieniędzy i płacić jakiemuś włóczędze za opowieści wysane z palca.

Mężczyzna zarechotał, jakby ucieszyła go ta kontrola.

- O ile wiem, to ostatnio panna Sexton. Reynold sztywno skinął głową i dał staremu monetę.

- Opowiedzcie nam teraz, dlaczego opuściliście swój dom. I chcę usłyszeć dosyć, żeby uwierzyć, że warto było wydać pieniądze.

Stary gorliwie przytaknął.

- Naturalnie, panie, naturalnie. To z powodu smoka wszyscy uciekliśmy. Ktoś zbudził go ze snu - dodał, pochylając się do Reynolda. - Zabił go Grim Ponury, wiecie panie, pierwszego robaka, tego wielkiego.

- Zdawało mi się, że to właśnie tę bestię nazywano grimem.

Gamel wzruszył ramionami.

- Podobno widok był taki, że na grzebanie potwora zeszli się ludzie z całej okolicy. I potem już tam zostali, osiedlili się wokół tego kopca, w którym go pochowano. Mówi się, że pierwszy dwór wybudowali potomkowie Grima, chociaż minęło odtąd wiele czasu.

Reynold zmarszczył czoło, skonsternowany, ale stary gadał dalej.

- Tam stoi teraz Sexton Hall, prawie jak strażnik kopca. Kościół po jednej stronie, dwór po drugiej - powiedział, wyciągając sękatą dłoń ku Grim's End. - A po dwóch pozostałych stronach nie ma nic, tylko trawa i drzewa. Może właśnie stamtąd przyszedł ktoś, kto go zbudził.

- Jak? - spytał Reynold.

Gamel wzruszył ramionami i znów zarechotał.

- Kto to wie? Ale teraz potwór nie śpi. Słyszeliśmy jego ryki i czuliśmy zapach oddechu, który wkrótce zaczął niszczyć wszystko dookoła.

- Widzieliście go? - spytał Reynold, ściskając starego za ramię. - Czy osobiście widzieliście smoka?

Gamel wyszczerzył resztkę zębów.

- Czyż nie obiecałem wam powiedzieć wszystkiego, co chcecie wiedzieć? - spytał. - Niezwykła to stwora, ma trochę z jaszczura, trochę z ptaka, a w brzuchu ten piekielny ogień. Może połknąć człowieka w całości albo zatłuc ogonem.

Reynold poczuł dreszcz biegnący po plecach. Czy stary mówił prawdę, czy koloryzował? Może widział to coś jedynie z daleka? A może dopiero wtedy, gdy wypił odpowiednio dużo piwa?

- Jak duże to jest? - spytał spłoszony Peregrine.

- O takie - powiedział mężczyzna, wskazując dom wielkości kościoła w Grim's End, bez wątpienia większy niż największe zwierzęta, jakie Reynold kiedykolwiek widział.

Przyjrzał się uważnie uśmiechniętemu staruchowi, rozmyślając, o co jeszcze go zapytać. Wreszcie znalazł kogoś, kto widział potwora. Nie był tylko pewien, czy można było mu wierzyć.

- Usłyszeliście już dość? Dostanę kolację?

Reynold zawahał się, a potem skinął głową i puścił starego. Ten wydał radosny okrzyk i włócząc nogą, szybko się oddalił. Spoglądał za nim, usiłując poskładać w sensowną całość jego słowa.

De Burgh zamyślił się. Czy Gamel jest niespełna rozumu? A może naprawdę istnieje taka stwora? A jeśli istnieje, to w jaki sposób można coś takiego zabić?

Gdy zbliżali się do wsi, słońce chowało się za linią horyzontu.

- Zdążymy do Grim's End przed zapadnięciem zmroku? - spytał Peregrine z niepokojem.

- Tak, już niedaleko - odrzekł Reynold. - Spieszno ci z powrotem do panny Sexton?

Giermek zmieszał się, a Reynold mruknął coś pod nosem i ukłuł boki konia. Jechali dość szybko, mimo że wieźli z sobą sporo zapasów.

Droga była jednakowo wyludniona, a wokół panowała taka sama złowroga cisza. De Burgh przez chwilę pożałował, że nie wziął ze sobą krowy, bowiem porykiwanie bydła byłoby miłym urozmaiceniem. Mieszkańcy Sandborn, a pewnie i innych okolicznych wsi zdawali się unikać nie tylko samego Grim's End, lecz również prowadzącego tam szlaku. Cisza była tak głęboka, że kiedy Reynold nagle usłyszał jakiś odgłos w pobliskich krzakach, niespokojnie drgnął. Zerknął w tamtą stronę, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego.

- Czy to smok? - spytał drżącym głosem Peregrine.

Zanim Reynold zdążył odpowiedzieć, coś wyskoczyło z gęstwiny i rzuciło się prosto na niego. Nie był to smok, lecz zakapturzony jeździec, bez wątplenia mający wrogie zamiary. Reynold przeklął swój brak uwagi i wyciągnął miecz. Wprawdzie Sirius potrafił zdystansować niemal każdego konia, ale Peregrine, mający mniejszego wierzchowca, zostałby z tyłu i stał się łatwym łupem, gdyby rabuś nie pognał za pierwszym jeźdźcem.

- Zaniechaj! - zawołał Reynold, ale napastnik zamachnął się i uderzył.

De Burgh sparował cios, ale tamten przejechał bokiem i zrobił nawrót, by zaatakować ponownie. Sirius był dobrze wyćwiczony, więc usunął się z drogi i Reynold odbił również drugi cios. Próbował się przyjrzeć zbójowi, ale już zmierzchało, a kaptur zasłaniał większą część twarzy.

Przeciwnik miał słabszego konia i mniejszy miecz, ale był zwinny, umiał walczyć, a niewykluczone, że popychała go naprzód desperacja, dająca siłę nawet miernym wojownikom. Reynold usiłował poprowadzić Siriusa tak, by znaleźć się za plecami przeciwnika, nagle jednak do walki wmieszał się Peregrine, który podjechał do napastnika i pociągnął go za płaszcz.

Co u diabła?!

Reynold usłyszał jęk i krzyk, potem Peregrine runął na ziemię. Napastnik stracił na chwilę panowanie nad koniem, co wykorzystał de Burgh i zajechał go od drugiej strony. Zamachnął się mieczem, zanim jednak z impetem wyprowadził cios, zakapturzony jeździec zawył z bólu. Zamiast bronić się przed Reynoldem próbował uderzyć na odlew do tyłu, jakby ktoś go stamtąd zaatakował. Rozległ się łoskot, potem jeździec zawrócił i rzucił się do ucieczki. Chwilę potem znikł w ciemnym lesie.

Przez chwilę Reynold zastanawiał się, czy mimo zapadającego zmroku nie ruszyć w pogoń. Zignorował jednak urażoną dumę i podszedł do wciąż leżącego nieruchomo Peregrine'a. Przykląkł i zaczął delikatnie dotykać giermka, szukając ran, ale nie zauważył krwi i nie wydawało mu się, by któraś kość była złamana. Lekkomysłny chłopak, pomyślał. Odważny, ale lekkomyślny.

- Peregrine - powiedział.

Był zły, że niewiele wie o opatrywaniu ran. Pozostawało mu przerzucić chłopaka przez koński grzbiet i ruszyć do wsi z nadzieją, że napastnik nie wróci za chwilę w towarzystwie swoich kompanów, obozujących gdzieś w lesie.

- Słucham, panie - odpowiedział giermek, unosząc powieki.

Zamrugał i chciał się podnieść, Reynold mu jednak nie pozwolił.

- Poczekaj, chłopcze. Czy jesteś ranny?

- Nie - odpowiedział Peregrine takim tonem, jakby chciał sam siebie o tym przekonać. I nagle usiadł. - Wysadził mnie z siodła! - dodał po chwili z oburzeniem.

- Myślałem, że sam spadłeś - powiedział Reynold.

Widząc złość chłopaka, poczuł ulgę i pomógł mu wstać.

- Chyba rzeczywiście - przyznał Peregrine i zaczął się otrzepywać.

Po chwili schylił się po długi nóż, który odebrali złodziejom.

- Dźgnąłem go w nogę - dodał z uśmiechem.

- Dobra robota, ale ruszajmy, bo on może wrócić.

Peregrine przestał się uśmiechać.

- Mój koń! - powiedział, spoglądając wzdłuż pustej już drogi.

Reynold gwizdnął i karosz kłusem wrócił. Dosiedli koni i szybko wyjechali z lasu, bo zrobiło się już całkiem ciemno.

- Szkoda, że nie umiem rzucać nożem jak tamten kaleka - rzekł Peregrine. - No, tamten, który tak naprawdę kaleką nie był. W każdym razie wiedziałem, że tego nie umiem, więc starałem się podjechać jak najbliżej, żeby dźgnąć go w pierś.

- Dlatego ciągnąłeś go za płaszcz?

- Tak, i dźgnąłem go, panie. Tyle że nóż odskoczył tak samo, jak wtedy, gdy trafił milorda. On też musiał mieć pod spodem kolczugę.

Reynoldowi trudno było w to uwierzyć, ale chłopak z pewnością nie kłamał. Uderzył napastnika nożem, spadł z konia, podniósł się i uderzył znowu, tym razem w nogę. I został jeszcze raz powalony.

- Może też był rycerzem - domyślił się Peregrine i zadumał się nad swoimi słowami. - Ale to niemożliwe, rabuś napadający podróżnych...

- Rycerzowi też zdarza się zejść na złą drogę, jak każdemu - powiedział Reynold i zerknął na chłopaka. - Utrzymanie dobrego konia, rynsztunku i giermka dużo kosztuje. O tym akurat w romansach nikt nie wspomina.

- Może był wyjęty spod prawa?

- Może - zgodził się Reynold, bardziej jednak interesowała go ich obecna sytuacja niż snucie domysłów co do tego, kim był napastnik.

Na traktach zawsze było niebezpiecznie, zwłaszcza na odcinkach biegnących przez las. Do tej pory Reynold sądził, że w walce potrafi stawić czoło każdemu. Teraz nie był już tego pewien. Może nawet poradziłby sobie z napastnikiem, ale jego giermkowi groziło poważne niebezpieczeństwo. A gdyby napastników było więcej? Zafrasowany Reynold pokręcił głową. Na szczęście, zbliżali się już do celu.

Wtedy usłyszeli cichy, niski pomruk, który słyszany z bliższej odległości mógłby zapewne zostać nazwany rykiem. Zwątpienie Reynolda przemieniło się w zwyczajny strach, który odczuł chyba pierwszy raz w życiu. Jeszcze nie dotarli do pierwszych chat, a tymczasem panna Sexton mogła być w niebezpieczeństwie. Reynold pożałował swojego nieprzemyślanego wyjazdu ze wsi, ale było za późno na żal. Zaciął więc konia, by jak najszybciej znaleźć się w Grim's End.

Robiło się późno i Sabina to wiedziała, raz po raz wyglądała bowiem przez wąskie, wysokie okna i widziała, że dzienne światło gaśnie. Dwór pogrążał się w mroku. Odkąd wyjechał lord Burgh, nawet znajome miejsca wydawały się złowieszcze i budziły lęk.

Sabina przyjęła propozycję Ursuli, aby zająć się cerowaniem ubrań i pościeli, zadowolona, że będzie miała zajęcie odrywające ją od niepożądanych myśli. Te nadzieje okazały się jednak płonne. W dodatku Urban potęgował atmosferę lęku i poczucia zagrożenia. Przez ostatnią godzinę nerwowo chodził tam i z powrotem i zapowiadał kataklizm.

Twierdził z przekonaniem, że de Burgh nie wróci, a chociaż Sabina postanowiła, że nie pozwoli zachwiać się w wierze, zaczynała coraz bardziej się niepokoić. Zrobiło się prawie ciemno, a rycerz wciąż jeszcze nie nadjeżdżał. Mimo to była pewna, że to właśnie na lorda Burgha czekała przez długie, ponure miesiące. Jego przybycie wydawało się nieprzypadkowe, jakby stanowił on odpowiedź na jej modlitwy. Byłaby gotowa zaręczyć za szczerść jego słów. Chyba nie pozostawi ich własnemu losowi?

- Jeśli on rzeczywiście jest lordem, tak jak twierdzi, to ma lepsze zajęcia niż siedzieć tutaj z nami - powiedział Urban. - Niektórzy arystokraci mieszkają w zamkach, które wielkością mogą się równać z opactwem Bury St. Edmunds, i mają mnóstwo służby, spełniającej każdą ich zachciankę. Mają też eleganckie stroje, znakomite jedzenie i wina, polują, hodują sokoły i biesiadują tak wystawnie, że król mógłby im pozazdrościć.

Urban nie musiał nawet zwracać uwagi na wygląd dworu w Grim's End, żeby Sabina zauważyła, jak bardzo jej domostwo nie pasuje do tego opisu. Kryli się przed smokiem w mrocznym wnętrzu, podczas gdy dom de Burghów prawdopodobnie lśnił światłem i był pełen muzyki i tańca. Sabina próbowała sobie to wyobrazić, ale widziała wtedy przede wszystkim szlachetnie urodzoną kobietę w bogatym odzieniu podbitym futrem i ozdobionym klejnotami, czekającą na pewnego rycerza...

- Słyszałam, że arystokraci nawet nie kąpią się sami, tylko są myci przez służące - dodała Ursula.

Sabina gwałtownie poderwała głowę. Czyżby lord Burgh oczekiwał tutaj takiego traktowania? Nie mieli dość służby, by napełnić choćby najmniejszą wannę gorącą wodą, a co dopiero mówić o innych udogodnieniach. Na myśl o myciu Sabina wzdrygnęła się.

Nie widziała nagiego mężczyzny od czasu, gdy była dzieckiem i natknęła się na chłopców ze wsi, kąpiących się w sadzawce.

Lord Burgh nie był jednak chłopcem, tylko mężczyzną, w dodatku najbardziej rośłym, jakiego widziała, wołała więc sobie nie wyobrażać jego szerokich ramion, muskularnej klatki piersiowej, potężnego ciała... Głośno nabrała tchu na myśl o wodzie i ciepłe... Nagle jednak przypomniała sobie poranne zachowanie gościa i jej wizja w jednej chwili uleciała.

- Lord Burgh nie lubi być dotykany - oznajmiła.

- Co? - spytał z naciskiem Urban.

- Co? - zawtórowała mu Ursula piskliwym głosem.

Sabina pokręciła głową i postanowiła natychmiast uwolnić się od podejrzeń.

- Dziś rano wzdrygnął się, gdy dotknęłam jego ramienia.

Urban wydał się uspokojony tym wyjaśnieniem, a Ursula rozczarowana. A może on nie lubi, kiedy to ja go dotykam? - pomyślała z żalem Sabina. Może jest wierny damie, która na niego czeka, i tęskni do kąpieli w jej obecności.

- Jeśli naprawdę jest rycerzem, kobiet mu nie zabraknie - powiedział Urban. - Zwłaszcza na turniejach, gdzie konkurenci starają się wzajemnie pozabijać, byle tylko zaimponować damom dworu.

Panna Sexton zmarszczyła czoło. Lord Burgh z pewnością nie był mężczyzną tego rodzaju. Nie popisywał się i tym bardziej nie chełpił swoimi umiejętnościami. Nie ubierał się jak paw i nie oczekiwał, że będzie obsługiwany. Przecież on i jego giermek sami przynieśli do Sexton Hall upolowaną zwierzynę i pomagali, gdy tylko mogli.

- Wspomnisz moje słowa, on już jest w pół drogi do domu - upierał się Urban.

Sabina zaczęła się zastanawiać, gdzie de Burgh ma dom. Czy to taki wspaniały zamek, jak w opisie Urbana, czy jakaś mniej okazała budowla i co najważniejsze, kto jeszcze z nim mieszka?

De Burgh mówił mało i nie lubił opowiadać o sobie, więc ciekawość Sabiny rosła.

- Po co miałyby wracać do domu? - spytała Ursula. - Są z giermkim na pielgrzymce do Bury St. Edmunds.

- Właśnie - wsparła ją z nadzieją Sabina. - Nie sądzę, żeby rycerz chciał złamać śluby.

- Nie wszyscy pielgrzymi kierują się wiarą - zwrócił uwagę Urban. - W istocie większość po prostu chce obejrzeć nowe miejsca i nacieszyć się towarzystwem innych, a nie szukać pomocy świętego. Chociaż ten człowiek rzeczywiście może tam podążać, żeby prosić o uzdrowienie nogi.

Sabina znowu poderwała głowę, tym razem by spojrzeć na Urbana, on jednak wyglądał przez okno i był odwrócony do niej plecami. Ursula, pochylona nad robótką, stała się nagle dziwnie małomówna.

- Co chciałaś przez to powiedzieć? - spytała po chwili. - Co złego jest z jego nogą?

- Skąd mam wiedzieć? - spytał Urban. - Nie zwierza mi się, ale to jasne, że coś jest nie tak. Nie zauważyłaś, że kuleje, zwłaszcza pod wieczór?

Sabina wytrzeszczyła na niego oczy. Owszem, widziała, że czasem lord Burgh chodzi dość sztywno, ale nie sądziła, że jest to skutek jakiejś dolegliwości.

- Może właśnie dlatego odjechał - ciągnął Urban, jakby cieszył się jej zakłopotaniem. - Wiedział, że nie potrafi podjąć zadania, ale nie chciał się do tego przyznać.

Sabina usłyszała syknięcie Ursuli. Sama też była oburzona niefrasobliwymi słowami potępiania wypowiedzianymi przez Urbana. Jakkolwiek los doświadczył lorda Burgha, był on z pewnością dzielnym mężczyzną i niejednego potrafił dokonać. Może przesadziła, widząc w nim bohatera z legendy, niezwyciężonego i pozbawionego ludzkich słabości, ale nawet Sabina uważała, że nic nie odwiedzie go od wybranego celu. Przecież nigdy nie widzieli, by lord Burgh na coś narzekał lub uchylał się od obowiązku.

- Nie - zaprzeczyła stanowczo.

Spojrzała Urbanowi w oczy i czekała, aż zacznie się z nią spierać. Chociaż od dnia śmierci jej ojca nieraz się z nim poróżniła, nigdy nie była na niego zła tak jak teraz. Bez względu na to, co sądzi, nie powinien zapominać o manierach i zwykłej grzeczności.

Nie dane jej było jednak poznać reakcji Urbana, bo właśnie w tej chwili ciszę zakłócił znajomy odgłos i nagle zapanował chaos.

- Na dół! Do piwnicy! - krzyknął Urban przerażony.

Kto zresztą mógłby go winić? Przez ostatnie dni, gdy rycerz mieszkał we wsi, potwór się nie pojawiał i ich czujność została uszpiota. Nawet zaczęli żyć w sposób przypominający im dawne czasy. Rzadziej rozglądali się dookoła i nasłuchiwali smoczego ryku.

Teraz zapłacili za to cenę. Ursula rzuciła na ziemię robótkę i zerwała się z krzesła, a Adele chwyciła za rękę Aleca i pospieszyła ku schodom prowadzącym z wielkiej sali na dół do piwnicy. Sabina jednak podbiegła do okna. Po drodze wyrwała się Urbanowi, który próbował ją zatrzymać, i dzięki temu zobaczyła płomienie, które strzeliły w górę całkiem niedaleko.

- Pali się niedaleko stawu - powiedziała. - Jeśli się pospieszymy, zdążymy zgasić ogień, zanim się rozniesie.

- Smok może wciąż tam być - jęknęła Ursula, ale Sabina nie zwróciła na nią uwagi i pobiegła do drzwi.

- Wiadra - krzyknął Alec, wyrrywając się matce.

Pobiegł do pobliskiego wózka, gdzie trzymali wszystkie naczynia na wodę, i wyciągnął go na dwór, podążając za panną Sexton.

Wkrótce stali gotowi do walki z ogniem, a chociaż Sabinie mocno biło serce, nie zawahała się ani na chwilę. Była zdecydowana walczyć. Od ciężarów omdlewały jej ramiona, ale nie ustawała w pracy i podawała kolejne wiadra.

Sabina nie miała pojęcia, jak długo już pracują, gdy przez trzask ognia i nawoływania towarzyszące ich wysiłkom przebił się głośny krzyk. Naraz pojawił się lord Burgh, który powściągnął konia i natychmiast zeskoczył z siodła. Tak ją to ucieszyło, że nie była w stanie ukryć swoich uczuć.

- Milordzie!

Rzuciła puste wiadro, podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję, a gdy objęły ją mocne męskie ramiona, zapłakała z poczucia ulgi. Wtuliła twarz w jego pierś, nie zważając na to, że pod tuniką jest twarda kolczuga. Przynajmniej wiedziała, że ma przed sobą wojownika.

- Jesteś, panie - szepnęła. - Wróciłeś.

Czy odpowiedział? Sabinie zdawało się, że usłyszała szept, zaraz jednak obejmujące ją ramiona opadły, de Burgh się odsunął, a ona ciężko odetchnęła, dotknięta nagłym poczuciem odrzucenia. Tłumaczyła sobie, że to wina niebezpieczeństwa i napięcia, ale patrzyła prosto w twarz rycerza z nadzieją, że znów zechce ją objąć.

Tymczasem opanowano pożar. De Burgh, wykorzystując ostatnie rozżarzone węgle, rozpalił kawał drewna, który spadł z chaty. Trzymając tę pochodnię w górze, obszedł powoli chatę ze spaloną strzechą, jakby chciał się dowiedzieć czegoś o śmiercionośnych wyziewach smoka. Nawet głośno wciągał powietrze w nozdrza.

Wreszcie zwrócił się do brudnej i mokrej grupki.

- A więc to w ten sposób radzicie sobie z ogniem.

- Tak - powiedziała Sabina z nutą dumy. - Przygotowaliśmy już wiele miesięcy temu wiadra i wszystkie inne naczynia, w których można trzymać wodę.

- Z plaży przywieźliśmy cały wóz piachu! - dodał Alec.

- Woda, piach, ziemia. Gasimy wszystkim, co akurat się nada - powiedziała Sabina.

- To tłumaczy, dlaczego znalazłeś, panie, piasek w pogorzeliiskach - stwierdził Peregrine, a Reynold skinął głową. Potem chłopak znów spojrzał na ociekające wodą szczątki. - To coś uderza nocą? - zainteresował się. - A kiedy śpi?

- Spało wiele dni - odpowiedział mu Alec.

Przy tych znaczących słowach zgasła pochodnia. De Burgh ujął wodze swego krzepkiego wierzchowca i mimo ciemności poprowadził wszystkich z powrotem do Sexton Hall tak, jakby się tam urodził. Nie bał się ani mroku, ani potwora i Sabina rozmarzyła się, że idzie obok niego otoczona mocnym ramieniem i czuje ciepło promieniujące od jego ciała. Zaskoczyła ją siła tego pragnienia, choć zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego je odczuwa. Lord wrócił de Grim's End wbrew temu, co mogło na niego czekać gdzie indziej. To musiało jej wystarczyć. Nie mogła domagać się niczego więcej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Reynold nie mógł zasnąć. Zawsze miał z tym kłopot w odróżnieniu od swoich braci, którzy często spali snem sprawiedliwego oparci o pień drzewa i chrapali albo, tak jak Stephen, upijali się do nieprzytomności. Zdarzało się, że winna była boląca noga. Kiedy indziej nachodziły go natrętne myśli. Tego wieczoru cierpiał z obu powodów jednocześnie.

Jako dziecko bardzo starał się dorównać braciom lub zdobyć aprobatę ojca i nie zwracał uwagi na dokuczliwy ból. Jednak w ostatnich latach już tylko zamiar opuszczenia domu budził go do życia. Teraz miał na swoich barkach bezpieczeństwo panny Sexton, a że już raz ją zawiódł, nie chciał zrobić tego ponownie.

Gdy tak leżał w ciemności, wszystko sobie powoli przypominał. Gorączkowe bicie serca, gdy ujrzał łunę w oddali, i lęk o jej bezpieczeństwo, który gnał go naprzód. Nieraz bywał w tarapatach. Brał udział w bitwach, zdarzało mu się też ucierpieć dla dobra rodziny, nigdy jednak nie odczuwał takiego przerażenia jak dziś.

I tylko siebie samego mógł za to winić. Od czasu ich przyjazdu dni wlokły się w nużącym rytmie, trudno więc było uwierzyć w to, co mówili mieszkańcy. Poza tym ciążyła mu złowieszcza atmosfera opustoszałej wsi i coraz bardziej chciał się uwolnić od widoku opuszczonych chat, kurczących się zapasów żywności i pięknej damy, o której myślał stanowczo zbyt często. Sam nie był pewien, czy w Sandborn szukał odpowiedzi, czy raczej okazji, by uciec od coraz silniejszego uczucia.

Teraz wyprawa do Sandborn wydawała mu się jedynie pretekstem, niebezpiecznym kuszeniem losu, które mogło zakończyć się tragicznie. Przeszył go dreszcz, gdy pomyślał o tym, co mogło się stać pannie Sexton podczas jego nieobecności. Przed potworem nie było obrony.

Wprawdzie do Urbana Reynold odczuwał silną niechęć, musiał jednak docenić jego troskę. Zawsze jej pilnował i spieszył z pomocą w razie zagrożenia. To, co kiedyś zdawało się Reynoldowi przejawami zazdrości, teraz zaczynało nabierać w jego oczach innego wymiaru. Mimo to Urban nie mógł obronić panny Sexton przed smokiem i nie

wiedział, czy on sam zdołałby odnieść zwycięstwo w takim starciu. Przynajmniej jednak umiał posługiwać się mieczem.

I tak Reynold uznał za swój obowiązek sprawowanie pieczy nad panną Sexton. Pierwotnie zamierzał wrócić do lasu, na miejsce, gdzie został zaatakowany, żeby poszukać śladów, teraz jednak uznał, że nie jest to aż tak ważne. Samotny jeździec mógł być wyjętym spod prawa rzezimieszkiem, który napadał i znikał, by ponownie uderzyć zupełnie gdzie indziej. Wydawało się to tym bardziej prawdopodobne, że na niemal nieuczęszczanej drodze nie bardzo było na kogo napadać.

De Burgh miał jednak pilniejsze sprawy w Grim's End. Im więcej zastanawiał się nad zagrożeniem, tym częściej zadawał sobie pytanie, czy nie należy lepiej strzec panny Sexton. Może powinien spać pod jej drzwiami albo nawet w jej izbie... Te zdradliwe myśli doprowadziły go do zupełnie niepożądanego konkluzji, zaczął bowiem przypominać sobie widok panny Sexton na tle łuny ognia.

Ulżyło mu, gdy przekonał się, że panna Sexton żyje i nic jej się nie stało. A gdy podbiegła do niego, odruchowo chwycił ją i objął. Znalazła się tak blisko niego, że jej złociste włosy muskały go po twarzy. I nagle przestał czuć gryzącą woń dymu, bo owionął go kwietny aromat. Największe wrażenie zrobiło jednak na nim co innego. Jeszcze nigdy kobieta nie wydawała się tak ucieszona jego widokiem.

To z pewnością wyłącznie z powodu tego, co obiecał zrobić, powtórzył sobie w duchu i wbił wzrok w sufit. Nie mógł o tym zapominać. Powitała go jako pogromcę smoków, a nie Reynolda de Burgha. A jednak nie umiał uwolnić się od wyobrażeń, wspomnień, uczuć... zupełnie jakby śnił.

- Milordzie, nie śpisz? - rozległ się szept Peregrine'a.

- Nie.

Reynold był chłopakowi wdzięczny za oderwanie go od czczych rozmyślań. Nie zdziwiło go, że giermek też nie może zasnąć, bo prawdopodobnie obawiał się kolejnego ataku. Opowieść starca w Sandborn mogła zaniepokoić każdego.

- Co zrobimy? - spytał Peregrine. - Chodzi mi o smoka.

- Mam dość siedzenia z założonymi rękami i czekania, aż uderzy - odpowiedział Reynold z nagłym zdecydowaniem. - Musimy zastawić na niego pułapkę.

- Jak?

- Może posłużymy się siecią jak rybacy z Sandborn.

- On na pewno potrafi przepalić liny.

- Pewnie tak - przyznał Reynold.

Zastanowiło go, czy liny utrzymają potwora dostatecznie długo, by można było mu zadać śmiertelny cios.

- Gdybyśmy mogli zrobić sieć z czegoś podobnego do twojej kolczugi, panie, wtedy smok nie mógłby uciec - dodał Peregrine.

- Za długo trwałoby robienie takiej sieci. Zresztą kto by ją uniósł? - spytał Reynold.

- Może wystarczyłby łańcuch, zwłaszcza gdybyśmy zdołali owinąć go bestii wokół szyi, żeby ją udusić. Przecież taki potwór też chyba musi oddychać jak każde zwierzę.

- Nie wiem - szepnął Peregrine tak, jakby uważał, że zwierzę o cechach nadprzyrodzonych jest niezniszczalne. - Ten łańcuch musiałby być bardzo gruby. I kto by go zarzucił?

- Może nawlekielibyśmy ten łańcuch na coś, a potem tylko go zacisnęli i złamali bestii kark - myślał głośno de Burgh, coraz bardziej przekonany do tego pomysłu.

- To też wymagałoby bardzo dużej siły, zwłaszcza gdyby bestia się rzucała i próbowała uciec. Kto byłby w stanie ją powstrzymać?

De Burghowie. Jego rodzina potrafiłaby to zrobić, tego Reynold był pewien. Często próbował się z braćmi w przeciąganiu liny, niekiedy nad błotnistym wybiegiem dla świń. Jego braci jednak tu nie było, a on nie miał sposobu przekazania im wiadomości, chyba że wysłałby do nich giermka. Tego odważnego, ale lekkomyślnego chłopaka, który cechował się stanowczo nadmierną łatwowiernością.

- To może zrobimy pętlę, taką jak na szubienicy, i powiesimy potwora - powiedział po chwili Reynold.

Peregrine długo milczał, jakby rozważał tę koncepcję, i w końcu nie zgłosił sprzeciwu.

- Jakiej przynęty użyjemy? - spytał.

De Burgh znów wbił wzrok w ciemność.

- Musimy kupić zwierzę, takie żeby potwór miał na nie apetyt. Krowę albo świnię. A najłatwiej byłoby postarać się o owcę z pobliskiej trzody, zwłaszcza gdybyśmy nie musieli wybierać się po nią aż do Sandborn. Co ty na to, chłopcze?

Chociaż Peregrine nie sprzeciwił się wprost, nieufność wobec pomysłu pobrzmiwała w jego tonie.

- Będziemy potrzebowali wszelkiej pomocy i owych spodni z futra.

Sabina odwróciła się, słysząc odgłos kroków, i zaskoczona zobaczyła lorda Burgha, a krok za nim giermka. Sama dopiero co pojawiła się w wielkiej sali tego ranka i nie spodziewała się, że rycerz również przyjdzie o tak wczesnej porze. Przyjrzała mu się z dużym zainteresowaniem, ale ponieważ niczego z jego twarzy nie potrafiła wyczytać, splonęła rumieńcem i odwróciła głowę.

Kiedyś beznamiętna mina de Burgha była dla niej źródłem pokrzepienia, ale od niedawna Sabina nie mogła jej znieść. Chciała zobaczyć coś więcej, wiedzieć więcej, mieć więcej... Chociaż nigdy nie poddawała się łatwo kaprysom, teraz poczuła nagle zniecierpliwienie. Szybko jednak postarała się nad nim zapanować.

Bezskutecznie, bowiem lord Burgh stał się dla niej kimś więcej niż tylko obcym, który ma uwolnić ją od niebezpieczeństwa. Sabina skrzywiła się na myśl o tak nieoczekiwanym rozwoju wypadków i podeszła do szczytu stołu. Zajęła swoje miejsce i zaraz potem zobaczyła, jak de Burgh ją mija, by spocząć na ławie jak najdalej od niej.

Ta pozycja nabrała dzisiejszego ranka nowego znaczenia, tak w każdym razie uznała Sabina, gdy wspominała ostatni wieczór. Czerwieniąc się na wspomnienie swojej śmiałości, uznała, że rycerz najwidoczniej nie chce, aby znowu rzuciła mu się na szyję. Ta myśl bardzo ją zawstydziła.

Życzliwy i mocny lord Burgh nigdy nie odwróciłby się od potrzebującego człowieka. Pokrzepił ją, ponieważ o to prosiła, po prostu przyjął na siebie bez słowa sprzeciwu jeszcze jeden obowiązek. Nic dziwnego, że miał taką chłodną minę.

- Urban nie jest chyba kowalem, prawda? - odezwał się nagle.

- Urban? - Sabina z trudem ukryła uśmiech, bo trudno jej było wyobrazić sobie kogoś, kto mniej nadawałby się na kowala. - Nie, on był rządcą mojego ojca.

- Mieliśmy kowala - powiedział Alec, który wielkimi kęsami pochłaniał jabłko. - Nazywał się John Fabre, ale już go nie ma.

Sabina zmarszczyła czoło, Fabre'owie od zawsze lojalnie służyli jej ojcu, a mimo to John należał do pierwszych ludzi, którzy opuścili Grim's End. Załamał się, gdy zaginął jego syn, i nie mógł znieść tego, co potem wygadywano we wsi. Wyglądało to tak, jakby smok posłużył mu jako pretekst, by przenieść się gdzie indziej i zacząć służyć komu innemu.

- Potrzebujemy kowala, żeby wykuć solidny łańcuch - oświadczył de Burgh. - Proste naprawy umiem zrobić sam, ale do takiej ciężkiej pracy nie mam ani narzędzi, ani materiałów.

- Łańcuch? - powtórzyła Sabina.

- Na smoka? - spytał podniecony Alec.

- To na razie tylko pomysł - de Burgh ostudził entuzjazm chłopca.

Nic to nie dało. Alec ledwie mógł usiedzieć na miejscu, gdy mężczyźni wdali się w rozmowę o szansach złamania potworowi karku.

Sabina rzadko się odzywała, bo plan nie był taki, jakiego się spodziewała. Chociaż ślepo wierzyła w to, że Reynold potrafi uwolnić ich od smoka, nigdy właściwie nie zastanawiała się, w jaki sposób tego dokona. Mgliste wyobrażała sobie rycerza dobywającego miecza z wysadzanej klejnotami pochwy i jedną ręką ścinającego smokowi głowę, tak jak czynią to bohaterowie podań. Dopiero teraz zorientowała się, jakie będzie to trudne.

Rozmowa o przynęcie i fortelach tylko nasiliła zakłopotanie Sabiny. Pierwszy raz, odkąd zwróciła się do lorda Burgha z błaganiem o ratunek, zaczęła się zastanawiać, czy nie naraziła go na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

Wiedziała, jak zabójczą moc ma ten potwór, a mimo to bez wahania poprosiła rycerza o pomoc. Teraz spoglądając na człowieka, który był gotów zaryzykować dla niej życie, poczuła wyrzuty sumienia. I coś jeszcze - lęk o jego bezpieczeństwo.

W tej chwili zjawili się pozostali mieszkańcy. Adele przyniosła jedzenie, a Ursula usiadła obok swej pani. Sabina usiłowała skupić myśli na kwestii ich bezpieczeństwa i przyszłości Grim's End, ale targały nią wątpliwości, jakich przedtem nie miała. Jadła bez

apetytu, a tymczasem Urban rzucił kąśliwą uwagę na temat nieobecności de Burgha we wsi podczas napaści smoka.

- Mimo wszystko nie pojechaliśmy do Sandborn całkiem na próżno, rozmawialiśmy tam bowiem z człowiekiem z Grim's End, który widział potwora - powiedział de Burgh.

Zaczął opisywać coś znacznie gorszego, niż jawiło się Sabinie w najstraszniejszych wizjach, nic więc dziwnego, że zadrżała. Ursula głośno syknęła i nawet Alec szerzej otworzył oczy.

- Czyli wreszcie uwierzyłeś, panie - powiedział zadowolony z siebie Urban.

- Kto to był? Kto ci to powiedział? - spytała Sabina.

- Miał na imię Gamel - odpowiedział Peregrine.

- Gamel? Gamel Grim? - zdziwił się Alec. - To tylko stary człowiek, który ma nie po kolei...

- Alec! - skarciła chłopca Adele.

Sabina poczuła, że napięcie ją opuszcza, bo Gamela trudno było uznać za wiarygodnego świadka.

- To nie jest zły człowiek - odezwał Alec. - Wszystkie dzieci go lubiły, bo opowiadał różne historie. Ale całkiem niestworzone. O piratach i innych rabusiach, którzy przybywali zza morza, i o dawnych królach pochowanych razem z ich skarbami.

Ursula wydała się zaskoczona, a Sabina zwróciła się w jej stronę.

- Czy przypadkiem nie łączy cię z Gamelem pokrewieństwo? - spytała.

- W najlepszym razie bardzo dalekie - odrzekła pogardliwie służka.

- Mogę pokazać, gdzie pracował kowal - zaofiarował się Alec, który wyraźnie lekceważył opowieści Gamela.

Wkrótce wszyscy mężczyźni opuścili wielką salę. Tylko Urban został w środku i chwyciwszy pokaźny kawał sera, podszedł do okna, tak jakby chciał mieć oko na to, co dzieje się na zewnątrz, zbytnio nie ryzykując.

Gdy tylko rządca odsunął się od stołu, Ursula pochyliła się do swojej pani.

- Słyszałam dziś rano kroki de Burgha przed naszymi drzwiami - szepnęła.

- Co? - spytała Sabina zmieszana.

- Przystanął przed naszą izbą. Musiał czekać na ciebie, pani, i zaraz po tobie zszedł do wielkiej sali.

Ursula oparła się wygodniej, jakby powiedziała coś bardzo ważnego, a Sabina tego nie doceniła. Służąca pochyliła się więc do niej ponownie, nieco rozdrażniona.

- Właśnie dlatego zeszłam trochę później. Chciałam wam dać kilka chwil na osobności. - Uśmiechnęła się przebiegle do Sabiny. - No i jak? Coś zaszło?

Nic nie zaszło, pomyślała z goryczą, i nic nie zajdzie, ale mimo to splonęła rumieńcem. Nadszedł czas położyć kres swataniu.

- Ursulo, musisz skończyć z tym niedorzecznym zachowaniem. Pora, kiedy lord Burgh wstaje, nie ma żadnego znaczenia. Niepotrzebnie snujesz jakieś domysły. Nie muszę rozmawiać z nim sam na sam.

Ursula jednak nie zmieniła tematu.

- To przystojny mężczyzna, rycerz i lord, a ty, pani, jesteś piękną młodą kobietą. Wybacz, że staram się pomóc losowi.

Sabina pokręciła głową.

- Przez ciebie czuję się niezręcznie, a naszemu gościowi to przeszkadza. On przecież nie ma obowiązku nam pomóc.

Ursula parsknęła urażona.

- Phi! Nie widziałaś, pani, jak on wodzi za tobą wzrokiem. Jak wygłodzony wilk za jagnięciem.

Sabina drgnęła zaskoczona, ale odparła pokusę, by dowiedzieć się więcej. Ona nie zauważyła żadnych wygłodzonych spojrzeń de Burgha, a Ursula lubiła upiększać fakty, chociaż nie aż tak jak jej krewny Gamel.

- O ile mi wiadomo, gdzieś czeka na niego narzeczona, a może nawet żona i dzieci - powiedziała Sabina, chociaż te słowa ledwie przeszły jej przez gardło.

- Phi! Nie wierzę w to, ale zapytam jego giermka.

- Ursulo, ani mi się waź! - ostrzegła ją Sabina.

Brakowało jeszcze tylko tego, żeby do uszu de Burgha doszła wiadomość o nieustannych intrygach Ursuli.

- Jak sobie życzysz, pani - odparła urażona i skłoniła głowę. - Ale nie jesteś już taka młoda, a Juliana Fabre'a nie ma od bardzo dawna.

Sabina głośno westchnęła. Zabroniła przecież Ursuli wspominać o tym człowieku.

- On nie żyje - powiedziała stanowczym tonem, żeby zakończyć rozmowę.

- Tak czy inaczej, czas, żebyś zainteresowała się, pani, kim innym - dodała na koniec służka.

Sabina spiorunowała ją wzrokiem i tym razem uciszyła na dobre, ale myśl została zasiana. Co więcej, musiała przyznać przed samą sobą, że nigdy żaden mężczyzna nie wzbudził jej zainteresowania... do czasu, gdy pojawił się lord Burgh.

Reynoldowi nie w smak był wyjazd czekający go tego ranka. Poprzedniego dnia ustalili, że kuźnia wciąż nadaje się do pracy, ale nie ma w niej żelaza. Ponadto wiedział, że rozmiar tego przedsięwzięcia wymaga kogoś z odpowiednimi umiejętnościami, bo inaczej kucie trwałoby zbyt długo, a poza tym w decydującym momencie ogniwa mogłyby nie wytrzymać.

Nie miał wyboru, musiał zlecić wykonanie łańcucha kowalowi, a to oznaczało opuszczenie Grim's End. Stanowczo nie miał na to ochoty. Jak mógł strzec panny Sexton, nie będąc w pobliżu?

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wziąć z sobą wszystkich, odrzucił jednak ten pomysł jako niewykonalny i zbyt ryzykowny. Mógł wysłać Peregrine'a, ale nawet gdyby dzielny chłopak potrafił dogadać się z kowalem, to mógłby łatwo pomylić drogę, stracić sakiewkę albo wpaść w jeszcze większe kłopoty. Reynold z niechęcią przyznał więc w duchu, że widzi tylko jedno rozwiązanie. Musiał jechać sam, a giermka zostawić na straży. Postanowił też, że wyruszy bladym świtem, aby uniknąć ewentualnych sprzeciwów i krępujących pożegnań.

Wyrwał Peregrine'a ze snu i cicho przedstawił mu swoje zamierzenia. Chłopak podniósł się z posłania i nieśmiało próbował oponować:

- A co z moją przysięgą?! Obiecałem siostrze l'Estrange, że zawsze będę ci towarzyszył, panie.

- I tak będzie, giermku, ale nie dzisiaj - powiedział Reynold. - Ktoś zaufany musi pilnować panny Sexton na wypadek, gdyby podczas mojej nieobecności pojawił się smok.

Młodzieniec z powagą skinął głową.

- Nie wyjawiaj jednak, dokąd się udałem, bo zaniepokoisz kobiety - dodał Reynold. - Nie pozwól też, żeby szukały mnie po całej wsi. Jesteś za nie odpowiedzialny.

Peregrine znów skinął głową, a Reynold po cichu wyszedł na korytarz. Sexton Hall opuścił dużo łatwiej niż swoje rodzinne Campion. Nie było służby, kręcącej się po korytarzach, ani stajennego, który pilnowałby koni.

Zastanawiał się nad powrotem do Sandborn, trochę bowiem już poznał tę wieś, ale wspomnienie napaści sprawiło, że się zawahał. Tamten zbój zapewne pojechał dalej, ale mimo wszystko nie chciał ryzykować straty czasu, gdyby natknął się na kolejnego. Należało zachować siły na walkę z największym niebezpieczeństwem.

Skierował się więc na południe i wkrótce stanął w Baderton, gdzie bez trudu znalazł kowala. Udało mu się kupić hełm, tarczę i kilka rzeczy dla giermka. Zamówił też łańcuch.

Kowal, spokojny człowiek, któremu bardzo spodobał się widok pieniędzy Reynolda, nie interesował się, po co łańcuch z wielkimi ogniwami, chociaż poradził, by po jego odbiór przyjechać solidnym wozem. Jednak pytanie, kto podniesie taki łańcuch, pozostało bez odpowiedzi.

Załadowawszy zakupy na grzbiet Siriusa, Reynold stał w miejscu, niepewny co dalej. Nikt tutaj nie wiedział, że przyjechał z Grim's End, więc nie śledziły go podejrzliwe ani lękliwe spojrzenia. Jako de Burgh mógł zaś odwiedzić miejscowy dwór i poznać powody, dla których senior zaniedbuje Grim's End. Mógłby też wysłać z zamku kogoś z wiadomością do Campion.

Reynold nie wiedział jednak, czy powinien skontaktować się z rodziną. Nie wiedział też, co mógłby napisać... Że w trakcie pielgrzymki trafił do wsi nękananej przez smoka?

Uśmiechnął się na myśl o reakcji braci. Część rodziny z pewnością podejrzewałaby go o to, że postradał zmysły, ale Simon znalazłby się tutaj w okamgnieniu z nadzieją, że zdąży sam zabić bestię.

Reynold w końcu uznał, że najlepiej napisać do Robina lub Stephena, oni bowiem wydawali się najrozsądniejsi.

Podjąwszy decyzję, ruszył w kierunku miejscowego dworu. Mrużąc oczy, widział już staroświecki budynek w oddali, Sirius wyraźnie się niepokoił, a Reynold wciąż jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji. Będąc w tej dziwnej wsi, bardzo tęsknił za braćmi, za ich towarzysztwem, mądrością i pomocą. Nie wątpił też, że mając wsparcie de Burghów, mógłby pokonać każdego potwora i w ogóle dokonać wszystkiego, czegokolwiek by zapragnął. Nikt jeszcze nie okazał się od de Burghów silniejszy.

Mimo to nadal się wahał. Wyjechał z Campion z określonego powodu. Gdyby teraz napisał do braci, następnym razem ucieczka nie udałaby mu się tak łatwo. Nie chciał też, by bracia zostawili swoje rodziny, by podjąć się niebezpiecznej misji. Siostry l'Estrange zresztą także uważały, że to jego brzemię i powinien nieść je sam. Chociaż Reynold nie nazwałby wyprawy w ten sposób, to wołał samemu stawić czoło niebezpieczeństwu, czymkolwiek by nie było.

W końcu okazało się, że jego rozważania nie miały znaczenia, bo został zawrócony sprzed bram dworu, w którym mieszkał niejaki lord Cyppe, baron, którego sprawy wieśniaków nic a nic nie interesowały. Gdy Reynold kierował się z powrotem ku Grim's End, odczuł ulgę, że do walki stanie jednak samotnie.

Naraz, ku swojemu zaskoczeniu, odczuł samotność. Zatęsknił za radością życia Peregrine'a, bo droga z Baderton też okazała się bezludna i opuszczona, zwłaszcza gdy coraz bardziej zbliżał się do celu. Może chłopak nie był tak wprawny w boju jak Will, jego dotychczasowy giermek, ale Reynold dostrzegł w nim inne zalety.

Jak mogło mu się kiedyś zdawać, że Peregrine jest niemową? Przez ostatnie dni buzia mu się nie zamykała. Wciąż zadawał pytania i miał mnóstwo pomysłów, na które Will z pewnością by nie wpadł.

Gdy Reynold dotarł na obrzeża wsi, otoczyła go złowieszcza cisza, jakby wszystkie zwierzęta i ptaki z okolicy zostały przepędzone przez smoka. Wyczuwał coś niesamowi-

tego w powietrzu i znów miał wrażenie, że jest obserwowany. Przystanął i zaczął się rozglądać.

Za nim droga była pusta, a przed nim rozciągało się Grim's End. Po prawej stronie widział w oddali morze, a z lewej łąki. Kiedy nie dostrzegł niczego podejrzanego, porzucił ścieżkę i zaczął okrążyć wieś oraz wysokie trawy obrastające staw. Nie zauważył jednak żadnego śladu zwierzęcia czy człowieka. Spojrzał nawet w niebo na wypadek, gdyby smok obserwował go z góry. Na niebie jednak nie było ani jednej chmury i jego błękit przypominał mu kolor oczu panny Sexton.

Reynold ścisnął więc boki wierzchowca, by jak najszybciej zostawić go w stajni i wrócić do dworu. Oddawszy Siriusa pod opiekę Peregrine'a, ruszył ku wejściu. Na pierwszy rzut oka nie wydawało się, by cokolwiek było nie w porządku. Było cicho, nie dostrzegł ognia i nie wyczuł zapachu dymu. Mimo to wiedział, że nie zazna spokoju, póki nie ujrzy panny Sexton całej i zdrowej. Przemknął po cichu przez kuchnię, przed wejściem do wielkiej sali na moment przystanął i uspokoił się dopiero wtedy, gdy zobaczył błysk jej złocistych włosów.

Wszyscy siedzieli razem i trwali w smutnym milczeniu. Urban wyglądał przez okno, a kobiety siedziały wokół stołu.

- Wrócił! - zawołał Alec.

Reynold jednak skupił całą uwagę na pani domu. Na jego widok lekko uniosła się z krzesła i wydała cichy okrzyk; Zaraz jednak opanowała się i ponownie zajęła swoje miejsce.

Radość z tego, że panna Sexton jest bezpieczna, przygasła nieco po tym powitaniu. Czego jednak się spodziewać? Że znowu rzuci mu się w ramiona? Tamtego wieczoru wieśniacy gasili pożar, a teraz panował niezmacony spokój.

Chociaż nic nie ucieszyłoby Reynolda bardziej niż powitalny uścisk, nie próbował do niego doprowadzić. Podczas gdy Urban i Alec zasypywali go pytaniami, panna Sexton ahi razu się nie odezwała, tylko przyglądała mu się swoimi wielkimi oczami, mając dłonie splecione na kolanach. Po udzieleniu kilku zdawkowych odpowiedzi Reynold dał znak Peregrine'owi i ruszył w stronę kuchni.

- Dokąd idziesz, panie? - spytała panna Sexton, która wreszcie odzyskała głos.

- Do stajni zająć się koniem - odpowiedział, nie zatrzymując się.

Przez cały dzień tęsknił za tym, by znaleźć się z powrotem we wsi, teraz jednak atmosfera wielkiej sali wydawała mu się niemiłosiernie duszna i pragnął odetchnąć.

- Co się stało? - spytał Peregrine, starając się nadażyć za Reynoldem. - Znowu cię napadnięto, panie?

- Nie. Pojechałem do Baderton i nic się po drodze nie działo. Zamówiłem łańcuch i przywiozłem kilka rzeczy, które pomożesz mi wyładować.

Peregrine skinął głową, chociaż wciąż spoglądał na Reynolda bardzo podejrzliwie.

- To dla ciebie - powiedział, wyciągnąwszy pierwsze pakunki z juk. - Najwyższy czas, żebyś się nauczył co z tym robić.

- Ależ milordzie - sprzeciwił się Peregrine, choć z jego głosu bił zachwyt. - To jest piękny miecz, odpowiedni dla rycerza.

Spojrzał na Reynolda ze wzruszeniem, a ten też poczuł lekkie wzruszenie.

- A jak mam niby sam walczyć z tym, co zagraża Grim's End? - spytał. - Nie ufam Urbanowi i jego widłom.

Chłopak wybuchnął śmiechem, ale dość niepewnie, więc Reynold klepnął go po plecach.

- Włóż teraz hełm, to czegoś cię nauczę.

Peregrine skinął głową. Najwyraźniej pierwszy raz od tygodni zapomniał języka w gębie.

Ucząc chłopaka, jak posługiwać się mieczem, Reynold miał w pamięci lekcje, które sam brał od braci. Często nie brakowało przy tym docinków i kpin, ale i tak cenił sobie tę naukę. Teraz Reynold z radością powitał znajomy ciężar w dłoni, broń stała się niemal przedłużeniem jego ramienia. Wprawnie dzierżył miecz i precyzyjnymi ruchami rozciął gęstniejący mrok. Nagle zapomniał o pannie Sexton, a nawet o jedzeniu.

To było coś, na czym się znał. To było jego życie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Reynold przykląkł obok panny Sexton, starając się nie wdychać zapachu jej pachnidła i skupić uwagę raczej na zapachach ogrodu. Zastanawiał się, w jaki sposób znalazł się nagle tutaj tylko z nią, w ustronnym miejscu, otoczonym przez wysokie krzewy.

Ursula i Adele pielili ogród za dworem, Alec i Peregrine poszli zastawić sieć na ryby w stawie, a Urban zniknął. Reynold domyślał się, że rządcą poczuł się rozdrażniony jego ciągłą obecnością. Cieszył się jednak z jego nieobecności. Teraz bowiem mógł rozmawiać z panną Sexton do woli. Chciała wypielić niewielką grządkę pomiędzy opuszczonymi chatami, a on przecież nie pozwoliłby jej iść tam bez ochrony. Słuchał więc teraz, jak opowiada mu o swoim dzieciństwie i kochanym ojcu. Mimowolnie zamarzył, że i o nim kiedyś będzie opowiadać takim ciepłym tonem. Zaraz jednak skarcił się w duchu za te niedorzeczne myśli.

Ten rodzaj bliskości był bowiem niebezpieczny. Sprzyjał nadziejom i pragnieniom, których nie należało żywić. Reynold zorientował się, że nie potrafi obronić się przed wdziękami panny Sexton, zwłaszcza gdy jest tak blisko niej. Nie chcąc zaś brać przykładu ze swojego giermka i rządcy, którzy wciąż wodzili za nią wzrokiem, próbował wykazać hart ducha. Za nic jednak ni umiał odnosić się do niej z taką rezerwą jak wobec innych.

Próbował się skupić na pracy, ale wcale nie było to łatwe. Najpierw panna Sexton pokazała mu, jak odróżnić pożyteczne rośliny od chwastów, a potem jeszcze jak stwierdzić, czy coś już dojrzało i nadaje się do zbierania. Tłumaczyła cierpliwie, dotykając roślin mlecznymi dłońmi, które przyciągały wzrok Reynolda jak słodysz kwiatu pszczołę.

W pewnej chwili Reynold zadarł głowę i zerknął w niebo, ale tylko przypomniało mu ono o błękitach oczu panny Sexton, więc parsknął zirytowany. Gdyby ona zrobiła cokolwiek, by potwierdzić jego teorię o kobietach, gdyby besztła służbę, marnowała żywność, kłamała... Ale nie.

Mimo to nie chciał przyjąć do wiadomości, że nie jest tak zepsuta, dwulicowa i egoistyczna jak inne piękne kobiety, które poznał wcześniej i obdarzył uczuciem.

Panna Sexton wydawała się wolna od tych przywar, dlaczego więc pozostała samotna i nie miała żadnego obrońcy oprócz przejezdnego rycerza?

- Jak to możliwe, pani, że chociaż jesteś niezamężna, przewodzisz swemu gospodarstwu domowemu i całej wsi? - spytał nagle.

Najwyraźniej zaskoczona taką obcesowością panna Sexton spłonęła rumieńcem.

- Sextonowie od dawna zamieszkują te ziemie. Mój ojciec odziedziczył je po swoim ojcu, ale sam nie miał rodzeństwa, które przeżyłoby dziecięce lata, a za żonę wziął szlachetnie urodzoną, lecz osieroconą kobietę. I mieli tylko jedno dziecko, czyli mnie.

- Twój ojciec, pani, na pewno pozostawił jakieś dyspozycje...

Reynold nie dodał, że chodzi mu o znalezienie mężczyzny, który zapewniłby jej byt i bezpieczeństwo.

- Jestem jego dziedziczką, chociaż ojciec bez wątpienia oczekiwał, że będzie żył znacznie dłużej. I zasłużył na to. Ale przebudzenie smoka wszystko zmieniło - powiedziała panna Sexton i opuściła wzrok.

- Smok? To smok go zabił? - spytał nagle zainteresowany Reynold.

- Tak. Smok powalił go na ziemię - odpowiedziała. - Usłyszeliśmy ryk, więc Urban poradził wszystkim, by zeszli do piwnicy, tylko ojciec nie chciał. Wybiegł z domu, potrząsając pięścią ku niebu i nagle upadł. Byłam w środku, więc dokładnie nie wiem, jak to się stało, ale gdy się przy nim znalazłam, trzymał się za pierś i ledwo dyszał. Powiedział jeszcze kilka słów od rzeczy. Może umarł ze strachu.

- Przykro mi - szepnął.

Chciał jakoś ulżyć jej cierpieniu tej kobiety. Sam był bardzo mały, gdy zmarła jego matka, więc właściwie nie odczuł straty, ale później brakowało mu opiekunki. Pewnie wiódłby szczęśliwsze życie, gdyby umiał znaleźć w sobie więcej radości.

Panna Sexton odpowiedziała na te wyrazy współczucia skinieniem głowy. Przez chwilę milczeli, aż w końcu Reynold zorientował się, że nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie. Czyżby w tej okolicy nie było nikogo godnego jej ręki, czy też ojciec za bardzo ją cenił i nie chciał się z nią rozstać?

- Czy ojciec nie chciał widzieć cię zamężną, pani? Sabina drgnęła, jakby to pytanie ją zaskoczyło.

- Była o tym mowa, ale on... nie żyje - powiedziała.

- Przykro mi z powodu i tej straty.

- Niepotrzebnie - odparła bagatelizującym tonem. - To było dawno.

Reynold miał kolejny powód, dla którego zapragnął dowiedzieć się o pannie Sexton więcej. Paliła go ciekawość, co to był za alians i jakie miał znaczenie.

- Myślę, że wystarczy - powiedziała.

Wstała i strzepnęła ziemię z rąk. Reynold omal nie zamknął ich w uścisku, ale panna Sexton schyliła się po koszyk i bez słowa ruszyła z powrotem. Czy to możliwe, że sama wzmianka o ślubie tak ją rozstroiła?

Reynold patrzył na jej rozkołysane biodra, a potem dogonił ją. Dzień był ciepły i pogodny i jego myśli szybko zmieniły kierunek. Nad stawem zatrzymali się, by zobaczyć, ile ryb udało się złowić Alecowi i Peregrine'owi. Przyglądając się żartom panny Sexton z chłopcami, pomyślał, że wcale niespieszno mu do rozwikłania zagadki smoka z Grim's End.

Musiał jednak dotrzymać słowa, a gdy to nastąpi, wyjedzie. Coraz częściej jednak zastanawiał się, czy taki musi być koniec tej znajomości? Ciekawe, co powiedzieliby bracia... Oni nie ustawiali w staraniach o damy, które pokochali. Simon przekopał tunel do dworu swojej przyszłej żony. Stephen podjął się eskortowania Bridgid do rodziny. Również Dunstanowi polecono odwiedzić Marion w jej rodzinne strony.

Zaskoczony kierunkiem swoich myśli Reynold powiedział sobie, że historia braci nie ma znaczenia, ale pierwszy raz w życiu czuł się w obecności kobiety tak swobodnie.

Reynold wczesnym rankiem, jak nieraz, postanowił wybrać się na objazd wioski. Gdy zszedł do wielkiej sali, panna Sexton dogoniła go i uprosiła, by pozwolił jej się przyłączyć. Nagle dobrze znane i nieco nużące zadanie pierwszy raz nieoczekiwanie zamieniło się w przyjemną przejażdżkę.

Reynold nieraz widział swojego ojca z Joy, wybierających się w świetnych humorach na objazd włości. Bracia Reynolda też wybierali się razem z żonami na przejażdżki.

Nigdy nie czerpał przyjemności z jazdy konnej i dopiero kobiece towarzystwo zmieniło jego punkt widzenia. Panna Sexton bowiem z dużą swadą wskazywała mu swoje ulubione miejsca, gdzie rosły różne piękne kwiaty, ptaki miały gniazda, wrzosiwisko ciągnęło się aż po horyzont albo słychać było w oddali krzyki mew i czapli.

Reynold chciał, by mogli tak jeździć bez końca, chociaż wiedział, że to niemożliwe. Gdy łańcuch zostanie wykuty, będzie można zastawić pułapkę. I nawet jeśli nie uda mu się niczego złapać, to przecież nie przetrwają tutaj zimy bez zapasów.

Może powinien zabrać pannę Sexton do Champion, gdzie byłaby bezpieczna? Ona i cała reszta. Tylko co potem? Czy znów odjechałby w dal, czy raczej został w rodzinnym majątku i przyglądał się, jak kto inny bierze ją za żonę? Nie wydawała się dużo starsza od Nicholasasa. Reynold zaczął się zastanawiać, czy nie jest mu pisane znaleźć żonę dla młodszego brata. Wzdrygnął się i ku swojemu zaskoczeniu poczuł ukłucie zazdrości. Zerknął na uroczy profil panny Sexton, która z zachwytem obserwowała krajobraz dookoła, i doszedł do wniosku, że nie przekonałby jej do tego. Zresztą, czy ona mogłaby znaleźć szczęście gdzie indziej? Reynold pokręcił głową.

- Powinniśmy wracać - powiedział szorstko.

- To prawda - przyznała, choć wyraźnie się zasmuciła. - Za długo już nas nie ma. Inni zaczną się zastanawiać, co się z nami stało. Poza tym nie jadłeś, panie, śniadania.

Mówiła szybko, jakby chciała przeprosić, że pozwoliła sobie na tę chwilę szczęścia.

Gdy dojeżdżali do stajni, panna Sexton milczała, a Reynold wciąż dumał, dlaczego chciał wracać. Przecież nie czekało tu na nich nic oprócz opustoszałego dworu, Urbana z kąśliwymi uwagami i Ursuli, która nieustannie paplała o niczym. Zsiadając z konia, zauważył, że panna Sexton mierzy go zatroskanym wzrokiem.

- Coś się stało? - spytała.

Reynold pokręcił głową. Nie stało się nic, chociaż wszystko budziło jego niepokój i czuł się przez to nieswojo. Ponieważ nie miał konkretnej odpowiedzi na zadane pytanie, mógł jedynie wrócić do kwestii, która ich łączyła.

- Gdzie on jest? - spytał, raz jeszcze mierząc wzrokiem horyzont. - Gdzie ten smok? Jak coś tak dużego może być ciągle niewidoczne? I dlaczego tak rzadko atakuje?

Panna Sexton przybrała zadumaną minę.

- Niewiele łupów tu znajduje. Nie ma zwierząt, nie ma ludzi, mało co przyciąga jego uwagę. Może gdzie indziej znalazł lepsze miejsce dla siebie?

Nieraz już słyszał tę opinię, więc nie przywiązywał do niej wagi. Zeskoczył z siodła i odruchowo chciał pomóc w zsiadaniu pannie Sexton. Gdy objął ją w talii, ogarnęła go wielka tęsknota. Mocniej zacisnął dłonie i zauważył na twarzy Sabiny zaskoczona minę.

Szybko postawił ją na ziemi, odwrócił się i odszedł zdecydowany zaraz odszukać Peregrine'a. Należało wyszczotkować konie i jak najszybciej zapomnieć o tym poranku, pomyślał.

Nie poczekał na pannę Sexton, więc szła kilka kroków za nim, gdy naraz usłyszeli ogłuszający ryk. Reynold natychmiast się odwrócił, pociągnął ją za sobą na ziemię i przykrył swoim ciałem. Długo leżał w ten sposób, ale nic się nie działo, mimo że spodziewał się poczuć na plecach żar ognia. W końcu podniósł głowę i spojrzał w niebo.

Było tak samo czyste i pogodne jak chwilę wcześniej, tym razem wrażenia absolutnego spokoju nie zakłócał nawet zabłąkany ptak. Należało się pospieszyć i jak najszybciej odprowadzić pannę Sexton do dworu, stwierdził. Odwrócił się, by jej to zakomunikować, i spojrzał prosto w oczy. Różowe wargi panny Sexton były nieznacznie rozchylone.

Chociaż przewrócił ją całkiem znienacka, nie wydawała się przestraszona i nie zrobiła najmniejszego ruchu, by wstać. Po prostu odwzajemniała jego spojrzenie, a w końcu zaczęła się bacznie przyglądać jego ustom. Reynold znów nie znalazł czasu, by pomyśleć. Po prostu pochylił się i ją pocałował.

Gdy poczuł pod sobą ruch jej ciała, poderwał głowę, wstrząśnięty swoim zachowaniem. Czyżby niczego się nie nauczył w ciągu tych ostatnich dni?

Zanim jednak zdążył ją puścić, panna Sexton objęła go za szyję i pocałowała nie mniej bezwstydnie niż on ją przed chwilą. Słodycz, delikatność, ciepło... wszystkie te doznania pokonały go w jednej chwili i całkiem się w nich zatracił.

Kosmyk jej włosów przyjemnie łaskotał go w policzek, a ruchy kształtnego ciała budziły go do życia. Wtulił twarz w szyję panny Sexton, upajając się delikatnym zapachem jej włosów.

- Pani? Lordzie Burgh?

Na głos Aleca Reynold gwałtownie się poderwał. Był tak zdezorientowany, że odruchowo sięgnął do rękojeści miecza. Na szczęście, chłopiec nie zdążył ich zobaczyć. Gdy dobiegł, Reynold zdążył już stanąć wyprostowany, a panna Sexton właśnie podnosiła się z ziemi.

- Czy ktoś jest ranny? - spytał Alec.

- Nie - odparł Reynold. - Padliśmy na ziemię, kiedy usłyszeliśmy ryk.

- Dlaczego jesteś tutaj? - spytała panna Sexton. - Adele będzie się martwić.

- Peregrine i ja szliśmy sprawdzić sieci, kiedy to usłyszeliśmy.

Wtedy nadbiegł giermek z obnażonym mieczem w dłoni.

- Był tutaj? Widziałeś go, panie? - spytał nie bez strachu.

To proste pytanie sprawiło, że do Reynolda dotarła nagle powaga sytuacji. Wcale nie próbował ruszyć za potworem, a nawet go nie zobaczył. Był zanadto pochłonięty pieścizotami panny Sexton.

- Nie - mruknął.

- Lord Burgh przez cały czas mnie osłaniał - powiedziała lekko zdyszana panna Sexton.

Reynold wiedział jednak, że to kłamstwo. Gdy tylko poczuł jej bliskość, opuściła go wszelka czujność. Zupełnie zapomniał o swoich obowiązkach, w dodatku leżał na niej w takim miejscu, że z dworu każdy mógł go zobaczyć. Ciekawe, jak daleko posunąłby się gdyby nie nadszedł Alec. Zamiast strzec Sabiny, naraził na szwank jej reputację.

Aż bał się na nią spojrzeć, odszedł więc w kierunku dworu. Panna Sexton też milczała i bez wątplenia spieszo jej było do swojej izby.

Reynold rozumiał swoje słabości, choć naturalnie nie był z nich dumny. Dlaczego jednak panna Sexton, zamiast odsunąć się od niego, tak jak kiedyś, ochoczo odwzajemniła pocałunek?

Bez względu na przyczynę wiedział, że jest zgubiony. Wbrew rozsądkowi, który przez lata zawsze dobrze mu służył, zakochał się.

Sabina podeszła do krzesła w wielkiej sali. Wyglądała na spokojną i opanowaną, ale jej myśli galopowały, a serce biło jak szalone. Urok tamtej chwili porwał ją bez reszty, teraz jednak znów odezwał się rozsądek. Należało się zastanowić nad konsekwencjami swojego zachowania.

Zajęła swoje zwykłe miejsce, a Adele postawiła przed nią jedzenie. Sabina machinalnie kroić jabłko, ale myślami była bardzo daleko. Tłumaczyła sobie, że nie ma powodu do paniki. To był tylko pocałunek, dla niej przecież nie pierwszy. Za to na pewno najważniejszy. Poruszył ją bowiem do głębi.

Zastanowiwszy się, doszła do wniosku, że samym pocałunkiem nie była zaskoczona. Przynajmniej nie tak, jak swoją reakcją. Musiała przyznać przed samą lubą, że szykowało się to od dawna. Przystojny, obcy mężczyzna, rycerz i lord, mroczny i pewny siebie, i w dodatku obiecał ich chronić i zabić smoka. Nawet Ursula uległa jego urokowi.

Dlaczego musiało paść akurat na lorda Burgha? - pomyślała Sabina i omal gorzko się nie roześmiała. Żaden mężczyzna nie zrobił na niej takiego wrażenia. I to właśnie od jego miecza zależała jej przyszłość.

- Skaleczyłaś się, pani - rozległ się głos Ursuli, który wytrącił ją z zamyślenia.

Sabina zobaczyła, że służąca podchodzi do niej z kawałkiem materiału, żeby owinać jej palec.

- To nic takiego - mruknęła.

- Chyba wiem, co cię trapi, pani - powiedziała z przebiegłym uśmiechem Ursula. - Kiedy Adele powiedziała mi, że wybrałaś się na przejażdżkę z lordem Burghiem, bardzo mnie to zaciekawiło. - Zniżyła głos.

- A potem wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że się całujecie!

Wyprostowała się z triumfalną miną, ale zmieszana Sabina tylko pokręciła głową.

- Nie dziwnego, że jesteś, pani, oszołomiona, nie można mieć o to pretensji. Taki przystojny mężczyzna... - Ursula zaczęła wachlować dłonią płonące policzki Sabiny. - Pamiętaj jednak, że musisz szybko dojść do siebie i zręcznie zaplanować, co będziesz robić i mówić dalej.

Sabina gapiała się na służącą, kompletnie jej nie rozumiejąc.

- Widzisz, pani? Niepotrzebnie się martwiłaś. A na wypadek gdybyś miała jeszcze wątpliwości, ostrożnie wypytałam Peregrine'a. Powiedział, że lord Burgh nie ma dzieci, żony, narzeczonej ani nawet damy serca.

Znakomicie nadaje się więc na męża! Chłopak twierdzi zresztą, że rodzina de Burghów jest bardzo bogata. Czy to nie wspaniała wiadomość?

Sabina pokręciła głową, bo bogactwa zupełnie jej nie interesowały. Chciała tylko jednego, ale teraz...

Ursula kontynuowała,

- Chyba nie sądzisz, pani, że to mężczyzna, który sobie pozwala na zbyt wiele? Nie wydaje mi się, żeby był zdolny skompromitować szlachetnie urodzoną damę, a potem ją porzucić. Z drugiej strony, warto wywrzeć na niego pewien nacisk, żeby jak najszybciej się oświadczył.

- Nie! - panna Sexton wreszcie zdobyła się na odpowiedź. - Nie mogę do tego dopuścić.

- Dlaczego? - spytała Ursula, krzywiąc się z dezaprobatą. - Zamierzasz pozwolić, żeby ot tak cię całował, jakbyś była córką mleczarza, a on kowalczykiem?

Sabina wzdrygnęła się, jakby Ursula oblała ją kubłem zimnej wody.

- On nie jest kowalczykiem.

- Wiem, moja miła - szepnęła służka. - Przepraszam. Nie chciałam...

- Nie będziesz więcej poruszać tego tematu.

- Dlaczego?

- Bo to, o czym mówisz, jest niemożliwe - odparła Sabina.

- Nie rozumiem...

- Musisz mi uwierzyć, Ursulo - przerwała jej znowu - bo nie wszystko ci powiedziałam.

- A czego nie powiedziałaś, pani? - spytała Ursula, przygaszona reprimendą, ale Sabina tylko jeszcze raz pokręciła głową. Było bowiem coś, o czym nie chciała nikomu wspominać, o złożonej przed laty przysiędze.

Odwróciła głowę i westchnęła. Spowił ją mrok nowych trosk.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Panna Sexton była wyraźnie czymś zafrasowana, a Reynold przeczuwał, że nic dobrego to dla niego nie wróży. Wnioskował to z zaciętej miny i gniewnych błysków w oczach.

Ponieważ od wczoraj nie powiedziała więcej niż kilka słów, Reynold nie potrzebował geniuszu swojego brata Geoffa, by zrozumieć, że to, co zaszło między nimi, nie budzi jej entuzjazmu. Mimo że poprzedniego dnia wydawała się bardzo zadowolona.

Czy jednak na pewno? - nawiedziły go nowe wątpliwości. Po długiej, bezsennej nocy Reynold zaczął mieć wątpliwości, co wydarzyło się naprawdę, a co tylko sobie wyobraził.

Pomyślał, że panna Sexton dobrze wybrała moment na rozmowę. W wielkiej sali byli tylko we dwoje, więc nie groziło im, że ktoś podsłucha. Miała cechy urodzonej przywódczyni i wiedziała, że nie należy karcic podwładnych przy świadkach. Reynold spodziewał się więc, że będzie musiał wysłuchać upokarzającej reprimendy.

- Chciałabym porozmawiać, panie - powiedziała, stając przed nim ze splecionymi dłońmi.

- Wedle życzenia, pani. - Reynold zamiast czekać na atak postanowił szybko załatwić sprawę. - Jeśli chodzi o pocałunek, to bardzo przepraszam. Więcej się to nie powtórzy.

Panna Sexton wydała zduszony odgłos i wyraźnie zbladła, a zaraz potem oblała się pąsem. Czyżby to wspomnienie było dla niego zbyt przykre, by o nim rozmawiać? Reynold obrócił się na pięcie i podszedł do okna. Do diabła! - przeklął w duchu. Czy nie dlatego opuścił Champion, żeby uniknąć niejasnych sytuacji?

- Zwalniam cię, panie, z danego słowa.

Naraz obrócił się.

- Co?

Wydawała się zaskoczona cierpkim tonem, ale właśnie powiedziała mu, że ma opuścić Grim's End. Musiała spodziewać się jego gwałtownej reakcji. Czyżby wolała mieć do czynienia ze smokiem niż z zalotami rycerza?

- Zrozumiałam, że poprosiłam cię o zbyt wiele - wyjaśniła i Reynold zauważył, że panna Sexton unika jego wzroku. - Nie mogę wymagać, abyś dla mnie, dla nas ryzykował życie.

Skrzywił się pogardliwie. Aż do wczoraj ta kobieta była całkiem zadowolona z ich umowy i jego obecności. Czyżby uznała, że zażąda od niej więcej, niżby mogła mu dać?

- Obawiam się, że to niemożliwe. Złożyłem przysięgę - odpowiedział spokojnie. - Co stało się, pani, z twoją troską o mieszkańców? Chyba nie chcesz, żeby potwór zwyciężył?

- Nie - przyznała. - Ale nie chcę też, by stała ci się krzywda.

- Czyżbyś miała do mnie tak mało zaufania? Nie jestem tchórzem!

- To jest zbyt niebezpieczne! - krzyknęła, puszczając mimo uszu jego pytanie.

Reynold spojrzał jej w oczy.

- Od wczoraj nic się nie zmieniło. Dlaczego chcesz mnie zwolnić z danego słowa właśnie dzisiaj?

Panna Sexton odwróciła głowę. Reynold mruknął gniewnie pod nosem, uzyskał bowiem potwierdzenie swoich podejrzeń.

- Wobec tego dotrzymam obietnicy - oświadczył.

Spojrzała na niego tak, jakby chciała się spierać, ale przeszkodził jej w tym hałas z zewnątrz. Reynoldowi wydało się, że brzmi inaczej niż poprzedniego dnia. Nie chcąc powtarzać błędów, podbiegł do drzwi, Otworzył je szarpnięciem i wypadł na dwór w porę, by ujrzeć ognisty zygzak przelatujący w powietrzu i trafiający w opuszczoną chatę. Strzecha natychmiast zajęła się ogniem.

Trzymając dłoń na rękojeści miecza, zaczął przeszukiwać wzrokiem niebo, ale nie zauważył ani nie usłyszał niczego, dopóki za jego plecami nie rozległy się krzyki panny Sexton. Obrócił się i zobaczył, że nie zważając na potwora, ciągnie ona wózek z wiadrami.

Reynold raz jeszcze zerknął na puste niebo i jej pomógł.

Gdy ostatnie płomienie przygasły, zmierzył spojrzeniem przemoczonych i brudnych mieszkańców Grim's End. dzielnie walczyli z ogniem i Reynold doceniał ich od-

wagę. Teraz rozumiał, dlaczego większość wieśniaków uciekła. Spojrzał na dymiące zgliszcza, jakby mógł znaleźć tam odpowiedź.

- Widzisz? - spytał Urban, wskazując spaloną chatę. Ubranie miał czarne od sadzy i popiołu, nie ulegało więc wątpliwości, że włożył w gaszenie pożaru nie mniej wysiłku niż inni. - Myślisz, że łańcuch wystarczy, by nas ochronić?

- Widziałem pożar, nie smoka - odparł Reynold.

- Słyszeliśmy go - powiedział rozgorączkowany Alec. - Akurat sprawdzaliśmy sieci.

- Tak, ja też coś słyszałem, ale latający potwór wciąż pozostaje niewidzialny.

Zaczynał już rozumieć, dlaczego nikt nie widział tej bestii oprócz pomyłonego staruszka, którego opis można było spokojnie odrzucić.

- A łuna ognistego oddechu? - spytała Sabina.

- Mogłaś zginąć, pani - powiedział Urban. - Tak się kończy wychodzenie z domu. Stajemy się coraz łatwiejszym łupem dla tego potwora.

Jego oskarżycielskie spojrzenie nie uszło uwagi Reynolda.

- Nie będę tchórzliwie siedzieć w piwnicy w czasie, gdy lord Burgh ryzykuje dla nas życie - odparła stanowczo.

Zaskoczony Reynold zerknął w stronę pani tych włości i zobaczył jej dumnie uniesioną głowę. Urban pewnie próbowałby się z nią spierać, ale właśnie w tej chwili zawołała go Ursula.

- Przyjrzyjmy się dokładniej - powiedział, zapraszającym gestem wzywając swego giermka.

- Nie skończyliśmy rozmowy - rozległ się cichy głos panny Sexton.

De Burgh pokręcił głową. W jego ocenie nie było o czym rozmawiać, a w tej chwili miał ważniejsze sprawy do załatwienia.

Sabina nie chciała jednak dać za wygraną. Podeszła i położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie chcę, panie, żebyś został ranny lub zabity.

Pragnął jej wierzyć, a to spojrzenie błękitnych oczu wydawało się absolutnie szczere. Nie wolno mu było jednak okazać słabości.

- Nie ma potrzeby obawiać się, że smok mnie zabije - uspokoił ją Reynold.

- Czyli zamierzasz jednak wyjechać, panie - stwierdziła, kiwając głową, ale jej głos nie brzmiał radośnie.

Pokręcił głową, a jego usta ułożyły się w ponury uśmiech.

- Nie wydaje mi się, żeby to smok zagrażał waszej wsi, chyba że jest niewidzialny.

- Ale ten ryk - sprzeciwiła się. - Sam słyszałeś. Wzruszył ramionami.

- Ten dźwięk może wydawać cokolwiek. Na przykład inne zwierzę albo, co bardziej prawdopodobne, róg lub inny przyrząd zrobiony przez człowieka.

Ryk słyszany wczoraj brzmiał znajomo, chociaż Reynold nie potrafił go zidentyfikować.

- Co z ognistym oddechem? - spytał Peregrine. - Sam widziałem i popatrz, panie, jakie są skutki.

- To co innego - stwierdził Reynold, mrużąc oczy, by spojrzeć w niebo. - Płomie- nie rzeczywiście lecą w powietrzu, tyle że nie widzimy ich źródła. Gdybyś nie spodzie- wał się zobaczyć smoka, jak mógłbyś wyjaśnić coś takiego, chłopcze?

Peregrine zamyślił się.

- Może ognistą strzałą wystrzeloną z kuszy? Reynold skinął głową.

- Nawet nieduża strzała może być skuteczna, jeśli owinąć ją sznurkiem nasączo- nym smołą i podpalić.

W dawnych latach ćwiczył się nawet z braćmi w tej umiejętności. Ostra rywaliza- cja trwała, dopóki przypadkiem nie podpalili kurnika i ojciec położył kres ich ekspery- mentom.

- Nie uwierzę, że ktoś lub coś ostrzeliwuje nas płonącymi strzałami - powiedziała panna Sexton. - Musiałyby zbyt daleko lecieć. Poza tym co ze zwierzętami? Dlaczego zniknęły?

- Wszystko po kolei - uspokoił ją Reynold. - Tymczasem zastanówmy się, czym jeszcze można miotać ogniste pociski...

Panna Sexton wydawała się całkiem zmylona, ale Peregrine marszczył czoło w skupieniu. W końcu jednak i on bezsilnie pokręcił głową. Przynajmniej raz nie potrafił odpowiedzieć na pytanie.

- Zamek Campion nigdy nie był oblegany, ale mimo to wszyscy musieliśmy poznać zasady taktyki oblężniczej - rozmyślał Reynold na głos.

- My? - zainteresowała się panna Sexton.

- Moi bracia i ja - wyjaśnił.

- Cała siódemka - dodał Peregrine.

- Masz siedmiu braci, panie? - zdziwiła się Sabina.

- Nie. Siódmy jestem ja sam. Nasz ojciec to hrabia Campion - powiedział z niejaką dumą i nagle przypomniał sobie, co uszło jego uwagi. - Rodzinnym uczonym jest mój brat Geoffrey, więc on wiedziałby o tym więcej. Przypominam sobie jednak, jak opowiadał mi kiedyś, że król Ryszard odkrył za granicą istnienie jakiejś broni, której potem sam używał w walce.

Geoffrey nazywał tę broń ognistym dzbanem i czytał o niej w starych księgach. Zdaje się, że dzbany leciały z głośnym hukiem.

- Ale jak ktoś mógłby wystrzelić coś takiego w powietrze? - spytał Peregrine.

Reynold wzruszył ramionami.

- Choćby z katapulty. Geoff próbował jednego i drugiego.

- Co takiego? - Pannie Sexton oczy omal nie wyszły z orbit.

- Wszyscy pomagaliśmy mu w tych eksperymentach - wytłumaczył. - Niektórzy twierdzili, że to prawie alchemia, ale Geoff bronił tej praktyki. Twierdził, że jest naukowa i że nie ma nic złego w zgłębianiu wiedzy. Rzeczywiście, nie było, póki ktoś nie przypalił sobie włosów. Wtedy Campion położył kres również tym eksperymentom.

Panna Sexton wpatrywała się w niego tak, jakby niczego nie rozumiała, więc Reynold się uśmiechnął.

- Siedmiu chłopaków zawsze nabroi.

- A wasz ojciec?

- Dawał sobie radę.

Reynold uświadomił sobie, że powiedział prawdę. Campion potrafił zaradzić wszystkiemu, no może prawie wszystkiemu, bo na krzywą nogę syna nie miał lekarstwa. Westchnąwszy głośno na to wspomnienie, de Burgh pochylił się i zaczął badać zgliszcza.

Teraz było łatwiej, wiedział bowiem, czego szuka. Wkrótce, wygrzebał kijem niewielki przedmiot, który błysnął w świetle.

- Widzisz to? - spytał.

Peregrine skinął głową.

- To mógł być fragment dzbana - powiedział Reynold.

Giermek spojrzał na swego pana z uznaniem.

- Widziałem już podobne skorupki w okolicy, ale nie uznałem, że to coś ważnego.

- Może powinniśmy wysłać wiadomość do Geoffa - mruknął.

Nie miał ochoty odciągać brata od domu i rodziny, ale wiedział, że Geoffa zaintrygowałyby zagadki Grim's End, a jego wiedza pozwoliłaby łatwiej je rozwikłać.

Peregrine był jednak innego zdania.

- Nie potrzebujemy pomocy. Świetnie dajesz sobie radę, panie. Prawda? - spytał, zwracając się do panny Sexton.

Zaskoczył ją, ale skinęła głową.

- Naturalnie.

Reynold wyprostował się i roztarł chorą nogę. Zesztywniała mu od wysiłku, czuł też w niej znajomy ból.

- Może powinnaś to jeszcze przemyśleć, pani. Mój ojciec jest potężnym hrabią. Może wyrzucić nacisk na twojego seniora, żeby ten otoczył opieką wasali, którzy przysięgli mu lojalność. Może też osobiście udzielić ci pomocy.

Panna Sexton wyglądała na zdumioną.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Czy twoim zdaniem, panie, to jakiś człowiek ponosi odpowiedzialność za ataki na wieś?

Reynold skinął głową.

- Człowiek albo ludzie. Możliwe, że jakaś banda wyrzutków, zbyt tchórzliwych, by walczyć z żołnierzami. De Burghowie mogą wystawić zarówno piechotę, jak i konnych w dowolnej ilości.

Sabina pokręciła głową.

- A jak Grim's End miałyby utrzymać to całe wojsko? Przecież zapasów ledwie starcza nawet dla nas. I z kim ci ludzie mieliby walczyć? Przecież bestia, wszystko jedno

czy w zwierzęcej, czy ludzkiej postaci, nigdy się nie pokazuje. Atakuje i znika, czasem na wiele dni.

- Można tu zakwaterować oddział - zaproponował Reynold.

- Nie chcę tutaj obcych. Zgodziłeś się, panie, zabić smoka, a ja zwolniłam cię z danego słowa. Jeśli jednak nadal chcesz nam pomóc, bez względu na to, co zagraża wsi, będziemy wdzięczni. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Ty, panie, a nie oddział żołnierzy.

- Ona ma rację, milordzie - wtrącił się Peregrine.

- To jest twoja wyprawa. Tak powiedziały siostry l'Estrange.

Mimo wątpliwości postanowił wciąż działać samodzielnie. Dzięki temu jeszcze przez pewien czas będzie miał pannę Sexton tylko dla siebie.

Zawrócił do dworu, a Sabina i Peregrine udali się za nim. Gdy mijali kościół, odezwał się:

- Może nigdy nie było żadnego smoka...

Panna Sexton wydała się tak oburzona tym pomysłem, że Reynold wybuchnął śmiechem.

- Co o tym myślicie? - nie rezygnował Peregrine.

- Przecież może tak być. Wspomnijcie Uthera Pendragona, ojca króla Artura.

- Jesteś niesamowicie odczytany jak na giermka.

- Dziękuję, milordzie. Panie l'Estrange szkolili mnie do stanu rycerskiego.

- Mówiłeś już o tym - zwrócił mu uwagę Reynold. - Myślę, że szkolili cię nie tylko w tym celu.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

- Przyznaję, że kładły szczególny nacisk na opowieści o smokach, abym mógł okazać się przydatny w twojej wyprawie, panie.

Reynold pokręcił głową. Jeszcze nie nastawił się na walkę z nowym wrogiem, ale bardzo mu ulżyło, gdy zrozumiał, że nie będzie musiał się zmagać z wielkim skrzydlatym potworem.

- Kim są panie l'Estrange i co wiedzą o naszym smoku? - zainteresowała się panna Sexton.

- Wiedzą raczej niewiele - powiedział Reynold. - Inaczej nie traciłyby czasu na zapoznanie Peregrine'a ze starymi legendami i opowieściami o egzotycznych stworach.

- Tego akurat nie żałuję. Lepiej być przygotowanym - oświadczył dumnie Peregrine i znów szeroko się uśmiechnął. - Teraz jednak przynajmniej nie będziesz musiał, panie, wdziawać tych futrzanych spodni.

Sabina weszła do domu w towarzystwie Peregrine'a i Reynolda. Mimo że oni wydawali się być w świetnych humorach, ona czuła się całkiem zgnębiona wydarzeniami ostatnich dwóch dni. W dodatku kiedy próbowała uporządkować myśli, tym bardziej wracała do tej jednej chwili. Wciąż czuła wilgoć trawy pod plecami i miły ciężar na sobie oraz widziała piękną twarz de Burgha. Nigdy nie czuła się tak bezpieczna i wolna od strachu, a jednocześnie tak ożywiona i pełna... właśnie... nie umiała nawet nazwać tego uczucia.

Cieszyła się jego bliskością i delektowała pocałunkiem. Bez wahania skorzystała z okazji, objęła go za szyję i odwzajemniła pieśczętę. Zrobiło jej się gorąco, porwały ją całkiem nowe doznania i chciała, by trwały bez końca.

Za szybko nadszedł koniec. Mimo to spędziła noc bezsennie, bo nie mogła pogodzić się z prawdą. Ta zaś była taka, że obcy rycerz zaczął dla niej znaczyć więcej niż jej własny dom, ziomkowie, życzenie ojca. Wstrząsnęło to nią do głębi.

Zwolnienie de Burgha z danego słowa przyszło jej z wielkim trudem, o wiele łatwiej byłoby odwołać własne przyrzeczenie, i nie spodziewała się jego odmowy. Niezbyt rozumiała też to, o czym później rozmawiali. Wspomniała jego niedorzeczne opowieści o ogniu w dzbanie, o wielkich wojskach, jakie może przywołać skinieniem dłoni, i o tym, że smok nie jest smokiem.

Opadła na krzesło i nawet nie zadała sobie trudu zmiany sukni. Siedziała mokra i brudna, a czuła się tak zmęczona, że najchętniej zasnęłaby w ubraniu.

Ursula, siedząca w pobliżu, pochyliła się ku niej z żywym niepokojem i zapytała:

- Co się stało?

Początkowo Sabina po prostu pokręciła głową, bo wyjaśnianie czegokolwiek wydawało jej się zbyt męczące. W końcu odezwała się jednak, ale uwagę skupiła nie na

swoich osobistych problemach, lecz na tym, co wydawało się najważniejsze dla wszystkich.

- Nie ma smoka - stwierdziła, jakby wypowiedzenie tych słów na głos uczyniło je bardziej przekonującymi.

- Co takiego? - zdumiała się Ursula.

- Co?! - Urban przysunął się bliżej i wydawał się znacznie bardziej przestraszony niż zwykle.

- Nie ma smoka - powiedział tym razem lord Burgh.

Sabina poczuła się nieco pewniej. Zamieniła się więc w słuch, a tymczasem de Burgh przedstawił wszystkim krótszą wersję tego, co wyjaśniał wcześniej.

Jak zwykle najbardziej sceptyczny był Urban.

- A jak wytłumaczyć napaści na zwierzęta? Widzieliśmy szczątki tych, które zostały pożarte - powiedział i inni skinęli głowami.

De Burgh nie wydawał się zbity z tropu.

- Może to sprawka jakiegoś zwierzęcia lub ktoś celowo zostawił szczątki...

- Co to znaczy „celowo”? - spytał z niedowierzaniem Urban.

- Ktoś mógł celowo napuścić dzikie zwierzę, wilka albo niedźwiedzia - odpowiedział de Burgh. - Ten sam ktoś mógł sam zabić zwierzęta.

- Masz, panie, na myśli kogoś w rodzaju wilkołaka? - spytał podniecony Alec.

- Nie. Kogoś z nożem albo toporem, jakiegoś włóczęgę albo szaleńca, który mógłby nazwać się Smokiem.

Mieszkańcom Grim's End odebrało głos. Nic dziwnego. Od miesięcy żyli w strachu przed latającym potworem, który zabija i spopiela ognistym oddechem, i nagle usłyszeli, że niczego takiego nie ma. Sabina próbowała sobie przypomnieć, kto pierwszy przypisał te napaści smokowi, ale pamięć ją zawodziła. Może jednak rzeczywiście ktoś sprytnie połączył kilka różnych zdarzeń?

Głęboko odetchnęła. Uświadomiła sobie, jak szybko uwierzyła w te słowa. Podejrzewała nawet, że ktoś mógł obudzić smoka, zakłócając jego spoczynek...

- Co teraz zrobisz, panie? - spytał Alec.

- Na pewno nie musimy czekać, aż łańcuch będzie gotowy - odpowiedział lord. - Możemy objechać okolicę i sprawdzić, czy nie znajdziemy jakiegoś obozowiska.

- Może być więcej niż jedno - powiedział Alec. - Może to cała banda zbójów, którzy próbują nas stąd wypędzić, żeby zająć wieś.

- To możliwe - przyznał de Burgh.

Sabina nie umiała powiedzieć, czy rycerz chce sprawić przyjemność chłopcu, czy sam słyszał już o takim przypadku. Niewiele wiedziała o świecie, wydawało jej się jednak, że zbóje mogą szukać miejsca, które leży na uboczu, i raczej nie zadaliby sobie tyle trudu. Z drugiej jednak strony, może nikt nie zlekceważyłby takiej przemocy równie łatwo, jak zlekceważono wieści o smoku.

- Czy macie jakieś pomysły, dlaczego ktoś chciałby was stąd wypędzić?

Zaskoczona pytaniem Sabina spojrzała na de Burgha i przekonała się, że z posępną miną wodzi wzrokiem po twarzach obecnych. Wszyscy kręcili głowami, tak samo jak ona. Kto mógłby chcieć czegoś takiego?

- Nie mogę uwierzyć, że przez cały czas baliśmy się potwora, którego nie ma - powiedział z przejęciem Alec.

Urban pokręcił głową, jakby wciąż nie był przekonany, ale zanim otworzył usta, odezwała się Adele.

- Potwór jest - powiedziała cicho. - Nawet jeśli wina spoczywa na człowieku, to jest on potworem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Reynold zsunął się z grzbietu Siriusa i omal nie upadł. Cicho zaklął, wściekły na swoją bolącą nogę, która wyjątkowo źle znosiła ciągłe zmiany pozycji. Tego dnia nie dość, że dużo jeździł konno, to jeszcze często zsiadał i wiele razy kładł się na ziemi. Wyruszył o brzasku, aby poszukać śladów obozowisk, sam, chociaż Peregrine chciał mu towarzyszyć. Świadomość, że to wcale nie smok zagraża mieszkańcom wsi, kazała jednak Reynoldowi zostawić giermka na straży, żeby miał wszystkich na oku.

Ten młody człowiek nie miałby wielkich szans przeciwko latającemu smokowi, ale ćwiczył się w walce na miecze i uczył rzucać nożem. Reynold liczył, że to wystarczy, by zapewnić bezpieczeństwo pannie Sexton. Ta myśl naszała go również wtedy, gdy już szedł z powrotem do dworu. I pierwszy raz od czasu opuszczenia Campion tęsknił za wygodami, a najbardziej za wanną z gorącą wodą, w której można wymoczyć obolałe ciało.

Tu było to niemożliwością. Adele na pewno podgrzałaby wodę, ale kto by ją przyniósł? Urban prawdopodobnie tylko skrzywiłby się pogardliwie i poradził mu popływać w stawie. Można by zaprząć do takiego obowiązku Aleca i Peregrine'a, ale obaj i tak mieli co robić, bez dogadzania cudzym kaprysom. Poza tym Reynold nie chciał zwracać uwagi na siebie i swoją niesprawność.

Zadumany omal nie wpadł w kuchni na Sabinę, która nie usłyszała, że wszedł do domu. Na jej widok natychmiast się wyprostował. Z jednej strony, ulżyło mu, że nic jej się nie stało, z drugiej, był wściekły, że panna Sexton widzi go w takim stanie.

- Co się stało? Czy ktoś cię napadł, panie? Jesteś ranny? - spytała zaniepokojona jego wyglądem.

- Nie. Niczego nie znalazłem - odparł.

Z góry wiedział, że nie będzie łatwo wytropić zbójów, bo i wcześniej nie zauważył żadnego śladu ich obecności. Widocznie obozowisko nie było aż tak blisko i rabusie po prostu robili wypady do Grim's End, kiedy przychodziła im na to ochota. Niepowodzenie bardzo rozdrażniło Reynolda. Wróg pozostawał nieuchwytny.

- Ale twoja noga, panie... - zwróciła uwagę Sabina.

- Drobiazg - odparł.

Próbując pokazać, że nic mu nie jest, potknął się i upadł.

- Wcale nie drobiazg - sprzeciwiła się.

Podeszła bliżej i objęła go ramieniem, jakby chciała wziąć na siebie część ciężaru jego ciała.

Reynold nigdy na nikim się nie wspierał. Zaskoczony gestem panny Sexton po prostu skamieniał. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakaś kobieta zaoferowała mu pomoc.

- Drobiazg - powtórzył w końcu i wzruszył ramionami, jakby chciał strząsnąć z siebie jej ramię.

Ona jednak nie ustąpiła.

- Chodźmy do twojej izby, tam będzie ci wygodniej. Przyniosę coś do zjedzenia.

I zanim Reynold zorientował się w jej zamiarach, powoli szli razem ku wielkiej sali i schodom. Wstyd byłby dla niego nieznośny, gdyby nie miły dotyk smukłego ciała panny Sexton i zapach jej złocistych włosów.

- To niepotrzebne - powiedział, odsuwając się od niej, kiedy zobaczył, że ich obserwują. - Mogę iść o własnych siłach.

- Bzdura - zaproponowała panna Sexton, znów go obejmując. - Każdy czasem potrzebuje pomocy.

Reynold parsknął śmiechem.

- Nie w mojej rodzinie.

Pozwolił jednak, by doprowadziła go do schodów, nie mógł bowiem zdobyć się na to, by ją odepchnąć.

- Bzdura - powtórzyła. - Nie wierzę, panie, że masz sześciu doskonałych braci.

Reynold znów się zaśmiał.

- Nie powiedziałem, że są doskonali, tylko że nigdy nie potrzebują pomocy.

- Nie może to być prawdą. Sam zresztą wspomniałeś, że jeden z nich, Geoffrey, prosił pozostałych o pomoc w eksperymentach.

- To co innego - odparł z chmurną miną.

Młodych de Burghów nie trzeba było namawiać do igrania z ogniem, a Geoff dałby sobie radę bez nich. Jednak coś nie dawało Reynoldowi spokoju. Przypomniał sobie po-

rwaniu żony Geoffa. Najbardziej wykształcony de Burgh płakał wtedy i miał nadzieję, że bracia ją znajdą. Z kolei potężny Dunstan zażądał kiedyś od braci, aby uwolnili go z wrażego lochu...

- Mimo wszystko sam, panie, dobrowolnie przyszedłeś nam z pomocą, prawda? I zrobiłbyś to jeszcze raz.

Reynold skinął głową, choć miał ochotę zaprzeczyć, bo okoliczności znów były całkiem inne.

- Jeśli ludzie się lubią, to sobie pomagają, nie oczekując niczego w zamian - oznajmiła ciepłym tonem.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, słysząc tę deklarację. Tymczasem dotarli do końca schodów i zauważył przyglądającego im się bacznie Urbana. Zdrętwiał, nie chciał bowiem, by Urban zauważył jego słabość.

Panna Sexton natychmiast podążyła wzrokiem za Jego spojrzeniem.

- Po co przejmować się opinią Urbana, skoro bez wątpienia jesteś od niego silniejszy? - spytała, prowadząc go do jego izby. - To słabeusz.

Reynold oczywiście zdawał sobie sprawę ze swojej wyższości, nie ulegało jednak wątpliwości, że w jednym Urbanowi nie może dorównać. Urban miał dwie zdrowe kończyny.

- Ty możesz tak mówić, pani - mruknął. - Kobiety nie ocenia się według jej siły.

- Może należałoby, choć niejeden uważa, że tego właśnie mi brakuje.

Zmierzył ją spojrzeniem. Nie była amazonką jak żona jego brata Simona, ale siły miała niemało, a przy tym potrafiła przewodzić.

- Nikt by ci tego nie mógł zarzucić - powiedział. Pokręciła głową, a na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- Nie wiesz wszystkiego, panie.

Tym krótkim stwierdzeniem obudziła zainteresowanie Reynolda. Zapragnął dowiedzieć się jak najwięcej o pannie Sexton.

- Opowiedz mi więc... - zaproponował cicho.

Ona jednak pokręciła głową i pchnęła drzwi jego izby. Omiotła wzrokiem ciasne pomieszczenie i zmarszczyła czoło.

- Pozwól, że każę tutaj przynieść krzesło ojca.

- Nie - odparł.

Rozdrażniła go zarówno zmianą tematu, jak i prawdziwą przyczyną, dla której mu towarzyszyła, otaczając go ramieniem. Chodziło o zwykłą pomoc i nic innego.

- Przecież właściwie nie masz gdzie siedzieć.

- Kufer mi wystarczy.

Aby tego dowieść, usiadł na twardym meblu i rozprostował nogi, oparłszy plecy o nierówną ścianę.

- Wszystko w porządku - stwierdził takim tonem, jakby dawał jej odprawę.

Cieszył się zresztą, że zostanie sam.

- Przyniosę ci coś do jedzenia, panie.

- Nie, dziękuję.

Wyszła z izby, a Reynold mruknął coś ze złością pod nosem, bo nie zamknęła za sobą drzwi. Nie chciało mu się znowu wstawać, mimo że jego miejsce nie należało do wygodnych.

- Adele zaraz przyniesie ci posiłek.

Podniósł głowę i zaskoczony stwierdził, że panna Sexton wróciła. Nie rozumiał po co, skoro Adele dostała już stosowne polecenie. Czyżby Sabina zamierzała mu towarzyszyć przy posiłku?

Jeszcze nigdy nie został sam na sam z kobietą w sypialni. Wytrzeszczył oczy, bo tymczasem panna Sexton zakasała rękawy i przed nim przyklęła.

- Najpierw zdejmemy buty - oznajmiła rzeczowo. - Potem chcę się przyjrzeć tej nodze.

Zamrugął zaskoczony. Czyżby się przesłyszał?

- Słucham?

- Buty - powtórzyła.

Jednak gdy dotknęła drugiej nogi, Reynold się wzdrygnął. Nikt go dotąd nie dotykał.

- Czy to boli? - spytała z zatroskaną miną.

Nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią w osłupieniu.

- Czy dotyk sprawia ci ból? - spytała.

Reynold wciąż gapił się na nią jak półgłówek.

- Pytam, bo matka nauczyła mnie stosować różne uzdrawiające zioła i masować.

Czy próbujesz jakoś zaradzić bólowi nogi?

Pokręcił głową i odpowiedział burkliwie:

- Nie.

Dawno temu Geoff ostrzegł go przed ludźmi, którzy w dobrych intencjach chcieliby go poić jakimiś naparami, bo te mogą okazać się trujące.

- Zbyt wiele jest trujących roślin i zbyt mało ludzi, którzy znają się na nich i potrafią właściwie je stosować.

- Twoja matka... - zaczęła.

- Nie żyje.

- Przepraszam.

Reynold nie chciał o tym rozmawiać, więc wrócił do poprzedniego tematu.

- Geoffrey trochę wie o roślinach i zawsze twierdził, że choć niektóre mogą przynosić ulgę w bólu i wywoływać sen, to zdarza się, że jednak bardziej szkodzą, niż leczą.

Panna Sexton skinęła głową.

- Tak, moja matka też zalecała trzymanie się z dala od tych roślin, które wywołują senność, bo to znaczy że mogą też spowodować śmierć. Kora wierzby nie powinna ci jednak zaszkodzić.

Kora wierzby? Reynold przypomniał sobie, że Geoffrey coś o tym wspominał, więc skinął głową. Trudno jednak było mu skupić się na rozmowie, gdy jego noga pozostawała w dłoniach Sabiny.

- Przygotuję maść. Zgodzisz się?

Reynold mgliście przypominał sobie cuchnące okłady i zaciemnione izby znachorów, ale nie chciał odmawiać.

Panna Sexton spojrzała na jego nogę.

- Muszę jednak wiedzieć więcej o przyczynie twojej dolegliwości. Czy cierpisz z powodu odniesionej rany?

Reynold pokręcił milcząco głową.

- A zatem od urodzenia?

Znowu nie odpowiedział. Trudno było mu rozmawiać o swojej niesprawności nawet z giermkim, a co dopiero z piękną kobietą.

- Im więcej się dowiem, panie, tym łatwiej będzie mi pomóc - wyjaśniła panna Sexton. - Są różne maści na rany zarówno świeże, jak i zadawnione, na przykład żywica sosnowa. Ona pomaga również na mięśnie. Jeśli skóra boli przy dotyku, łagodząco działa olejek migdałowy. A przy zapaleniach w nogach dobre są wodorosty. - Urwała i spojrzała na niego. - Czy to jest zapalenie, czy ból mięśni? - Gdy nie odpowiedział, dalej mówiła jakby do siebie. - Pewnie dobrze zrobiłyby liście laurowe, bo pomagają przy gojeniu stłuczeń... i na niektóre bóle. Powinieneś, panie, zażywać ciepłej kąpieli w wodzie z dodatkiem liści laurowych albo ziaren gorczycy. Z jednego i drugiego można również przygotować dobrą maść.

Reynold był tak zaskoczony tą rozmową, że dopiero po chwili zauważył, że jego bosa stopa leżała na kolanach panny Sexton, która powoli przesuwiała dłonie ku górze.

Zaskoczony szarpnął się, ale przytrzymała jego nogę. Odsunęła rąbek kalesonów. Nikt nigdy nie widział jego nogi poza członkami rodziny, gdy był jeszcze zbyt mały, by temu zapobiec. Nikomu na to nie pozwalał.

Gorączkowo rozmyślał, co w tej sytuacji zrobić. Przyszło mu do głowy, by zerwać się na równe nogi i uciec z pokoju. Nie mógł jednak się ruszyć. Bezwolnie patrzył na pannę Sexton.

Kształtem i rozmiarem kończyła niemal nie różniła się od sąsiedniej. Nie była wykręcona, uschnięta ani zakończona zdeformowaną stopą, co Reynold widywał u innych ludzi. Tylko on wiedział, że jego niesprawna noga jest nieco innej długości niż druga. Natomiast skórę znaczyły czerwone plamy, jakby od poparzenia.

Smukłe, białe jak mleko dłonie Sabiny dotykały już chorej nogi, kojąco ją głaskały. Reynold z sykiem wciągnął powietrze.

- Czy to boli? - spytała.

Milczał. Spodziewał się, że odsunie się z obrzydzeniem, ona jednak dalej głaskała nogę.

- Tak. Gorąca kąpiel albo okład z maści gorczyczej powinny pomóc - powiedziała. - Zauważyłam jednak, że rozcierasz to miejsce, więc masaż może okazać się najbardziej skuteczny.

Reynold omal nie udusił się własnym językiem, gdy panna Sexton uniosła jego stopę i zamknęła w delikatnym, lecz silnym uścisku, po czym zaczęła nią ostrożnie poruszać. Wkrótce objęła kostkę, a potem przesuwiała dłonie coraz wyżej. Szykował się na ból, okazało się jednak, że jest wręcz przeciwnie. Ruchy dłoni panny Sexton kołysły. Mocniej oparł się o ścianę i westchnął odprężony.

Całkiem stracił poczucie czasu, a magia dotyku czyniła cuda. Wciąż trzymał stopę na jej kolanach, a palcami dotykał tkaniny okrywającej jej brzuch. Jednak gdy masujące dłonie dotarły do szczytu uda, Reynold znów się usztwywnił. Zaparło mu dech w piersiach, tym razem jednak z całkiem nowego powodu. Chociaż Sabina bez wątpienia chciała przynieść mu ulgę, to na pewną część ciała zabiegi te wcale nie działały odprężająco, a wręcz przeciwnie.

Reynold stłumił jęk. Zupełnie nie wiedział, co robić. Bardzo nie chciał przerwać tej fali wspaniałych doznań, jakich nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu, z drugiej strony jednak nawet niewinna panna musiała wkrótce zorientować się w sytuacji.

Może lepiej byłoby nie patrzeć na ruch jej dłoni, pomyślał i zamknął oczy, żeby odciąć się od rozbudzających fantazję obrazów. Ledwie zdążył to zrobić, rozległ się głośny hurgot. Natychmiast się wyprostował i położył dłoń na rękojeści miecza, świadom zagrożenia. Okazało się jednak, że to tylko Peregrine, stojący na progu izby. Taca wypadła mu z dłoni i wybałuszył oczy.

- Proszę wybaczyć, milordzie - wybąkał i schylił się po tacę. - Bardzo przepraszam.

Reynold poczuł się tak, jakby wylano na niego kubel zimnej wody.

- Panna Sexton właśnie wychodziła - powiedział schrypniętym głosem. - Pozbieraj jedzenie i chodź tutaj, bo chcę z tobą porozmawiać.

Peregrine wlepił w niego wzrok pełen zdumienia, w końcu jednak potulnie skinął głową.

Sabina przemknęła do ciasnej izby sąsiadującej z kuchnią, starając się uniknąć ciekawskich spojrzeń innych, a zwłaszcza Urbana i Ursuli. Zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie i głośno odetchnęła.

Odkąd to stała się taka pożądliva? - zastanowiła się. Obchodziła się z nogą lorda Burgha bardzo ostrożnie, ponieważ odniosła wrażenie, że jest on niezwykle wrażliwy na dotyk. Jednak gdy sprawiła mu ból, nie umiała udąć, że tego nie widzi. Pomyślała, że skoro już zaczęła masaż, to będzie konsekwentna, nie zważając na sztywną postawę i milczenie rycerza. Początkowo chciała mu zwyczajnie pomóc, ale w trakcie masażu czerpała z niego taką przyjemność, że nie umiała przerwać.

Dotykanie kogoś jest czynnością bardzo intymną, więc Sabina zawsze starała się zachować należyty dystans, zwłaszcza jeśli leczyła kogoś innego niż swojego ojca. Z de Burghiem jednak celowo szukała bliskości i naprawdę trudno jej było zapanować nad przyspieszonym oddechem i rumieńcem zalewającym policzki.

Przez ostatnie miesiące wiodła ciężkie życie, na które składały się jedynie obowiązki, uważała więc, że zasłużyła na chwilę odprężenia. Tylko czym kosztem?

Zmarszczyła czoło nad przygotowywaną maścią. Lord Burgh jasno wyraził swoje poglądy, więc nie pozostawało jej nic innego, jak dostosować się do jego życzenia.

Z drugiej strony, nie miała zamiaru siedzieć z założonymi rękami i przyglądać się jego cierpieniu. Obowiązkiem pani domu było ulżyć gościowi w czasie, gdy służył on mieszkańcom Grim's End. Z tą myślą wzięła garnuszek z maścią i znów ruszyła na górę.

Jeśli wcieranie tej maści w skórę lorda Burgha sprawi jej przyjemność, będzie to dodatkowa korzyść, która nikomu nie zaszkodzi.

Jednak gdy dotarła do izby lorda, zastała zamknięte drzwi. Zapukała, spodziewając się, że zostanie wpuszczona. Tymczasem wyszedł do niej na korytarz Peregrine.

- Mam maść dla lorda - wyjaśniła.

Chłopak wydał się zakłopotany, ale pokręcił głową.

- Pan życzy sobie być sam.

- Chciałam mu posmarować nogę, to naprawdę powinno pomóc.

Peregrine zrobił przeproszącą minę i wyciągnął do niej rękę.

- Ja to wezmę.

- Nie znasz się na uzdrawianiu.

Giermek odchrząknął.

- On, hm, upiera się, że sam nałoży tę maść. - Ale...

Coś w jego głosie powstrzymało ją przed dalszą walką.

- Naturalnie - odparła cicho i podała mu garnuszek.

Peregrine stał już w uchylonych drzwiach, gdy nagle się do niej odwrócił.

- Gdyby ktoś mnie pytał, to powiedziałbym, że oboje jesteście zbyt silni i zbyt mało mówni - mruknął.

Sabina nie miała pojęcia, o co mu chodziło.

- Ja silna? - Roześmiała się, ale jej oczy pozostały smutne. - Mylisz się, chłopcze.

Przez następne dni Reynold stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony. Nikogo nie dopuszczał do siebie i chciał, aby nikt mu nie przeszkadzał.

Tymczasem panna Sexton wydawała się zdecydowana stłamsić go życzliwością. Gdy wracał z objazdu, witała go napitkiem, przydzielała mu większe racje żywności i cały czas mu usługiwała. Co gorsza, nalegała też na zabiegi pielęgnacyjne. Wcierała maść z wierzbowej kory i drugą z gorczycy, a w dodatku robiła mu ciepłe kąpiele i masaże. Wbrew sobie Reynold musiał przyznać, że mu się to podoba, nigdy dotąd bowiem nikt tak się nim nie zajmował.

Sam nie wiedział, czy to jej pocałunek, czy dotyk, a może jedno i drugie obudziło w nim taki głód, jakiego nigdy jeszcze nie zaznał. Odczuwał go na sam widok panny Sexton, ale gdy odchodziła, ten wcale nie znikał. Dręczył go nieustannie i nie wpływało to dobrze na jego samopoczucie.

Gdy z ociąganiem wszedł do domu po porannym objeździe, nawet Peregrine bał się do niego zbliżyć. Tylko panna Sexton nie dała się zniechęcić. Natychmiast pojawiła się obok niego i zaproponowała, że przyniesie stółek, na którym będzie mógł oprzeć chorą nogę.

Odmówił i jak zawsze usiadł na jednej z ław przy długim stole. Rozdrażniony brakiem postępów, zdrożony i spocony nie życzył sobie w pobliżu nikogo, a już z pewnością nie pięknej kobiety.

Sabina jednak zignorowała jego słowa, przyniosła stołeczek i postawiła go w pobliżu jego wyprostowanych nóg. Reynold zmierzył ją surowym wzrokiem, mimo że pragnął, aby była blisko, dotykała go i zajmowała się nim. Zresztą często marzył o wzięciu jej w ramiona i odwzajemnieniu masażu, ale za każdym razem rugał się w myślach i powtarzał sobie, że to niemożliwe.

- Nie dotykaj mnie, pani - ostrzegł, gdy wyciągnęła ręce ku jego nodze.

- Przecież cię boli - zaprotestowała.

Reynold odwrócił wzrok. Nie chciał patrzeć w jej piękne oczy, nie umiał bowiem nazwać uczuć, które w nich widział.

- Dotąd dawałem sobie radę bez maści.

- Przecież widzę, że raz po raz rozcierasz obolałe mięśnie, więc dlaczego nie pozwolisz, żebym ja to zrobiła? - spytała. - Wiesz, że potrafię to lepiej od ciebie.

Zerknął na nią spod przymrużonych powiek.

- W to nie wątpię - odparł złośliwie, ale z jej zachowania wywnioskował, że dwuznaczność tych słów jej umknęła.

- Dlaczego więc nie przyjmiesz, panie, mojej pomocy, tylko boczysz się jak rozpierzchnione dziecko?

- Jestem tutaj. Czy dane ci słowo oznacza również zgodę na uleganie każdemu twojemu kaprysowi, pani? Czy nie wystarczy, że robią to wszyscy inni w Grim's End? - spytał. - A może jesteś na tyle samolubna, że trzymasz swoich poddanych na odludziu, zamiast zaprowadzić ich w bezpieczne miejsce?

Usłyszał głośny syk Peregrine'a i pożałował swoich słów. Spojrzał na pannę Sexton, gotów wystąpić z przeprosinami, i zamarł. Twarz jej pobladła, ręka się zatrzęsła.

- Jestem tutaj, ponieważ złożyłam przyrzeczenie ojcu, leżącemu na łożu śmierci. Obiecałam, że zaopiekuję się jego domem i zachowam spuściznę - odparła drżącym głosem. - Moje słowo jest dla mnie tak samo święte, jak twoje dla ciebie, panie.

Z wdziękiem wstała i szybko opuściła wielką salę. Reynold niezgrabnie próbował się podnieść, ale zawadził o stojący obok stół, zaklął i z powrotem opadł na ławę. Zresztą, po co miałby za nią pójść? Jeszcze tylko tego brakowało, żeby dotarł do sypialni. Tam byłoby mu jeszcze trudniej zapanować nad sobą.

Odwrócił głowę i znalazł się oko w oko ze swoim giermkim, wyraźnie wzburzonym jego obcesowością. Nic dziwnego, przecież w Peregrinie panna Sexton miała żarliwego obrońcę.

- To ty jesteś samolubny, panie - powiedział poważnie. - Ilu ludzi cieszy się takimi przywilejami jak ty? Czy kiedyś choć przez chwilę zastanowiłeś się nad tym, że masz bogactwa, które innym ludziom trudno sobie wyobrazić, że masz kochającą rodzinę, która cię chroni, a bracia w razie potrzeby byliby gotowi oddać za ciebie życie?

Reynold spojrział wstrząśnięty na swojego giermka, który mówił dalej:

- Twój ojciec, panie, jest nie tylko troskliwy, lecz i mądry, nie handluje swoimi synami w zamian za władzę, jak robią niektórzy. I jednocześnie dyskretnie cię prowadzi. Ja nie mam ani ojca, ani braci. Panie l'Estrange przyjęły pod swój dach moją siostrę i mnie, gdy nasza matka zginęła. Nie ma dnia, żebyśmy nie byli im wdzięczni za ocalenie.

Reynold poczuł bolesne ukłucie w sercu, słysząc tę historię, ale współczucia dla chłopaka starczyło mu tylko do chwili, gdy ten dodał z ironią:

- A ty, panie, masz chorą nogę. Wielkie rzeczy! Cóż z tego? Czy wiesz, ilu prawdziwych kalek zamieniłoby się z tobą bez chwili namysłu? Ilu biedaków nie może zapewnić sobie bytu przez swoją niesprawność? Ty możesz robić prawie wszystko to, co robią inni, często nawet lepiej, ponieważ jesteś wysoki, silny i wyćwiczony.

De Burgh usiadł zdumiony. Był wściekły na giermka, że ma czelność tak do niego mówić, lecz mimo gniewu potrafił usłyszeć w jego słowach gorzką prawdę.

- Ilu ludzi na świecie szuka miłości? - ciągnął Peregrine. - A ty, panie, dostajesz ją za darmo, tylko, że od niej uciekasz. Opuściłeś rodzinę, a teraz odwracasz się od kochającej cię kobiety. Łatwiej ci uwierzyć w to, co najgorsze, w to, że wszystkie kobiety są rozpieszczone, samolubne i fałszywe, niż być mężczyzną. Możesz mnie zabić, jeśli chcesz, ale to ty jesteś samolubny - westchnął i dodał: - panie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Reynold wciąż gapił się na swojego giermka. Czyżby jednak się przesłyszał? Przecież panna Sexton nie mogłaby pokochać kogoś takiego jak on.

Wstał, znów potknął się o stołek i wszystko w nim zawrzało. Kopnął ze złością ten znienawidzony symbol swojej niesprawności. Stołek z hukiem uderzył o rzeźbiony parawan w głębi sali, a zza parawanu dobiegł Reynolda przeraźliwy krzyk.

Co u diabła? De Burgh postąpił krok w tamtą stronę i właśnie wtedy z wąskiego przejścia wyskoczył Urban i wydawał się mocno speszony. Zamrugał, jakby był oszołomiony.

- Co się stało? Czy zostaliśmy zaatakowani? Co robisz, panie?

- Mógłbym zapytać cię o to samo - odparł Reynold. - Co robiłeś za parawanem?

- Nic.

Rządca otarł dłonią twarz, starając się, by wyglądało to beztrosko. De Burgh jednak nie dał się łatwo zniechęcić.

- Szpiegowaleś nas? - spytał, z najwyższym trudem panując nad sobą.

Urban przybrał obojętną minę.

- A czy mnie, panie, obchodzi, co robisz? - spytał wyzywająco. - Jestem w swoim domu i mogę chodzić tam, gdzie mi się podoba.

- Owszem, Urbanie, dopóki nie czynisz mi szkody - powiedział Reynold.

Przez chwilę sądził, że mężczyzna zechce się spierać, on jednak odwrócił się i znikł w przejściu prowadzącym do kuchni.

De Burgh nieruchomo obserwował Urbana i dopiero po chwili zorientował się, że opiera dłoń na rękojeści miecza.

- Milordzie?

Odwrócił się i zobaczył Peregrine'a, stojącego z dość zdziwioną miną.

- Nie wydaje mi się, żeby on nas szpiegował. Chyba po prostu tam spał.

- Spał? - parsknął pogardliwie Reynold. - Nie dość mu odpoczynku nocą, że jeszcze musi przysypiać w ciągu dnia?

Chciał wykpić leniwego rządcę, nagle jednak dostrzegł w tych słowach całkiem nowe znaczenie. Że też o tym wcześniej nie pomyślał! Bystrzejsi z jego braci wpadliby na to dużo wcześniej.

- Co się stało? - spytał Peregrine, widząc wyraz jego twarzy.

Reynold uświadomił sobie, że zignorował własne słowa. Kazał przecież Peregrine'owi zawsze zachowywać czujność, a jednak sam potraktował mieszkańców Grim's End bez cienia nieufności, chociaż nie wszyscy musieli być godni zaufania. Alec, Adele czy nawet Peregrine - każde z nich miało swoje tajemnice. Urban jednak wydał mu się najbardziej podejrzany. Był bowiem niechętny pozostaniu we wsi i wielokrotnie namawiał Sabinę do wyjazdu.

- Urban często znika - powiedział, myśląc na głos. Nigdy nawet nie próbował śledzić mieszkańców.

Peregrine zadumał się, jak zwykle z trudem nadążał bowiem za myślami swego pana.

- Czasem chodzi tropić zwierzynę - odparł po chwili.

- Tyle że do tej pory niczego nie upolował - zwrócił uwagę Reynold.

- Nie sądzisz chyba, panie, że Urban ma coś wspólnego ze smokiem? - spytał nieśmiało Peregrine. - Przecież to on boi się najbardziej.

- Nie wiem. Skoro jednak jest tak zmęczony, że przysypia za dnia, to może powinniśmy się zainteresować tym, co robi w nocy.

Reynold odkrył, że Urban śpi w piwnicy, w której mieszkańcy Grim's End często szukali schronienia. Jego poślanie znajdowało się niedaleko pośłań Aleca i Adele, ale bliżej schodów. Wieczorem Reynold zrobił przedstawienie, okazując manifestacyjnie swoje zmęczenie, poczekał, aż wszyscy udadzą się na spoczynek, i po cichu wrócił do wielkiej sali.

- Mogę spytać Aleca, czy czegoś nie zauważył - zaproponował szeptem Peregrine, ale Reynold pokręcił głową.

- Nie zwracajmy lepiej niczyjej uwagi.

Peregrine przytaknął, zamilkł, ale po chwili odezwał się znowu.

- Panie, bardzo przepraszam za to, co powiedziałem wcześniej. Nie do mnie należy...

Reynold uniósł dłoń, by go uciszyć.

- Nie mówmy już o tym - przerwał mu stanowczym tonem.

Peregrine wydawał się mieć jeszcze dużo do powiedzenia, w porę jednak ugryzł się w język. Obaj wstali i rozeszli się na stanowiska w dwóch mrocznych kątach. Jeden miał strzec wyjścia, drugi korytarza do kuchni. Reynold znalazł jednak miejsce, z którego widział również drzwi wejściowe, i tam usiadł.

Nie czuł się jednak swobodnie. Niby dawno już przywykł do dziwactw Grim's End, ale wciąż dawał mu się we znaki złowieszczy nastrój tego miejsca. Zdarzało mu się już trzymać wstręt w dużo bardziej niebezpiecznych okolicznościach i bez lęku ruszać do bitwy. To jednak było co innego. Tu z prawdziwego dworu zostały praktycznie tylko ściany, znikły natomiast niemal wszystkie ślady życia. Dlatego mimo woli czuł ciarki na plecach.

Księżyc rzucał wątłe światło na posadzkę, gdy Reynold usłyszał ciche odgłosy ze schodów prowadzących do piwnicy. Mimo że się ich spodziewał, zabrzmiały groźnie. Wkrótce wyłoniła się postać w pelerynie z kapturem i minęła go tak cicho, jakby nie był to Urban. Prawdę mówiąc, gdyby Reynold nie wiedział, że w piwnicy śpią tylko trzy osoby, sądziłby, że to cień kogo innego.

Postać wymknęła się tymczasem z wielkiej sali, ale nie mogła to być ani Adele, ani Alec. De Burgh opuścił swoją kryjówkę i równie cicho podążył śladem tropionego. Jednak gdy stanął na dworze, nie zauważył nikogo. Widoczność ograniczała mgła.

Reynold zawahał się. Spodziewał się, że Urban pójdzie do stajni lub do stodoły, ale wątle szmery dobiegły go jednak od strony kopca. Co zamierzał tam robić? Reynold zmrużył oczy, ale niczego nie dostrzegł. Urban szedł w cieniu, rzucanym przez ściany dworu, a zdradzały go tylko ledwie słyszalne odgłosy kroków.

De Burgh nie interesował się dotąd kopcem, bo nie wyobrażał sobie, by tak eksponowane miejsce mogło być kryjówką potwora albo gromady zbójów. Chociaż według legendy spoczywała w nim bestia pokonana przez pogromcę smoków, który założył

wieś, to zazwyczaj nikt tam nie chodził. Grim's End rozwinęło się w bezpośrednim sąsiedztwie, ale kopiec pozostawał jakby poza obrębem wsi.

Reynold czuł dreszcze na plecach, bo choć wiedział, że smok nie istnieje, to nie trudno było wyobrazić sobie, że coś wstaje z podziemnego grobowca i ożywa. Przypominał sobie własne żarty, że smok jest niewidzialny, i zrobiło mu się nieswojo.

Naraz jego uszu doszedł odgłos przerzucanej ziemi.

Magia, z której Reynold często kpił, wydawała się tutaj czymś całkiem realnym. Nawet pożałował, że wyśmiewał siostry l'Estrange, bo mogłyby poradzić sobie lepiej od niego, rzucając jakieś zaklęcie, żeby rozwiać mgłę.

Jemu pozostawały tylko rozum i silne ramię, więc z dłonią na rękojeści miecza zaczął się skradać w stronę źródła dźwięku. Nagle wyrósł przed nim jakiś masywny kształt. Reynold głośno syknął, ale okazało się, że to tylko ruiny starego kościoła, w kłębie mgły wyszczerzył na niego zęby smok z kruszącą się ścianą.

Czyżby zaszedł aż tak daleko? Gdzie jest zatem Urban? Może wszedł pomiędzy ruiny? - zastanowił się Reynold i obszedł je dookoła, potem wspiął się na resztki muru, ale w środku były tylko kamienie i trawa. Wtedy znowu usłyszał ten sam dudniący dźwięk i szybko opuścił teren starego kościoła.

Tymczasem dudnienie stało się głośniejsze, jakby jego sprawca przestał się pilnować.

Reynold podniósł głowę i zaczął przyglądać się zboczowi kopca, ale wtedy usłyszał brzęk całkiem blisko, po prawej stronie. Znowu się zaniepokoił. Opadł na ziemię i to go uratowało, bo inaczej szpadel, który uderzył obok, zmiażdżyłby mu czaszkę. De Burgh szarpnął za trzonek i pociągnął napastnika na ziemię. Okrzyk przerażenia, jaki się rozległ, mógł wydać tylko Urban.

Reynold zerwał się z ziemi i chwycił jeńca za kark.

- To ty! - syknął Urban.

- A kogo się spodziewałeś?

- Nikogo, panie, naprawdę nikogo - zapewnił. - Puść mnie!

Pchnął go więc na kolana, a Urban chwycił się za obolałą szyję.

- Jak śmiałeś?! - zachrypiał i uniósł głowę, by spojrzeć na Reynolda.

Nie zwracając uwagi na jego oburzenie, de Burgh stanął w postawie wojownika, z dłonią na rękojeści miecza. Wprawdzie nie widział ani nie słyszał nikogo innego, ale zachował ostrożność na wypadek, gdyby ktoś jeszcze czaił się w mroku.

- Co tu robisz?

- Nie twoja sprawa - odparł Urban.

- Moja, ponieważ tak zdecydowała panna Sexton - odparł.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, obudziło się w nim silne podejrzenie. Może Urban przyszedł tutaj właśnie z jej rozkazu?

- Jeśli wypełniasz tutaj czyjeś polecenie, mów natychmiast.

- Jestem wolnym człowiekiem i rządcą Sextonów. Nie potrzebuję niczyjego pozwolenia, żeby chodzić tam, gdzie mi się podoba.

- Może i tak, ale jeśli wieś ma pięcioro mieszkańców, to poczynania każdego z nich budzą zainteresowanie. Co tu robisz?

Reynold wziął szpadel i przykląkł nad ziemią.

- Nie powiem ci.

Reynold zmierzył go hardym spojrzeniem.

- Tak czy inaczej dostanę odpowiedź.

Wsunął rękę do niewielkiej dziury, ale między palcami czuł wyłącznie ziemię. Czyżby była to pierwsza wyprawa Urbana na pagórek?

- Czego szukasz?

- Zwierzyny.

- A jaka to zwierzyna żyje pod ziemią?

- Krety, myszy, króliki. Zamierzałem zbudować pułapkę.

- W środku nocy - powiedział Reynold, wstając. - Jak dotąd nigdy się nie przepracowywałeś.

De Burgh ostrożnie obszedł miejsce dookoła, ale nie zauważył już niczego przykuwającego uwagę. Dalsze przesłuchanie też nie przyniosło żadnych odpowiedzi. O dziwo, strachliwy Urban tym razem nie wydawał się przestraszony i twardo utrzymywał, że to on jest poszkodowany.

- Mam prawo załatwiać własne sprawy i nie powinienes mi w tym przeszkadzać. Jesteś tutaj obcy i nic nie rozumiesz - oznajmił.

- A cóż to za sprawy? - spytał Reynold bliski zademonstrowania Urbanowi swojej siły.

- Już powiedziałem.

- No tak, polowanie na krety - stwierdził pogardliwie. - No dobrze, zapytajmy więc o zdanie panny Sexton.

Gdy wchodzili, hałas wywabił z piwnicy czujnie śpiących Aleca i Adele. Zostawiwszy oburzonego Urbana z nimi i Peregrine'em, Reynold poszedł na piętro. Wiedział, która sypialnia należy do panny Sexton, bo przecież przez pewien czas jej strzegł. Nigdy przedtem nie próbował jednak wejść do środka. Teraz, stanąwszy przed drzwiami, zastanawiał się, dlaczego nie powierzył tego zadania giermkowi.

Na to było już jednak za późno, więc dzielnie zapukał. Usłyszał nerwowe pytanie Ursuli, kto tam, i odpowiedział, że ma pilną sprawę. Mógł już odejść, ale coś kazało mu zostać do chwili, gdy Ursula otworzy drzwi.

- Muszę porozmawiać z twoją panią - powiedział cicho.

Odkąd uraził pannę Sexton swoim grubiaństwem, zamienili ledwie kilka zdań, zastanawiał się więc, czy nie skorzystać z okazji i nie przeprosić. Przypomniał sobie jednak tyradę Peregrine'a i zastanowił się, czy Urban ich nie podsłuchał, by donieść o tym swojej pani.

Tymczasem Ursula usunęła się, żeby zostawić ich we dwoje, a drzwi otworzyły się szerzej i stanęła w nich panna Sexton.

Na nocny strój narzuciła gruby szlafrok, a za nią widać było rozrzuconą pościel na łóżku, z którego właśnie wstała. Reynold szybko odwrócił głowę, bo ten widok zanadto działał na jego wyobraźnię, ale niewiele to pomogło, bo spojrzał z kolei na pannę Sexton, której złociste włosy lśniły księżycową poświatą, nadając jej niemal baśniowy wygląd.

- Co się stało, panie? - spytała wyraźnie zaniepokojona.

Reynold odchrząknął.

- Nie ma żadnego zagrożenia - zapewnił. - Chodzi o Urbana.

Panna Sexton spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy coś mu się stało?

- Jeszcze nie - mruknął, zazdrosny o ton troski w jej głosie.

Odetchnął głęboko, żeby łatwiej się skupić. Bardzo rozpraszały go miły zapach w powietrzu i bliskość tej pięknej kobiety...

- Zauważyłem, że wymyka się z domu długo po tym, jak wszyscy udali się na spoczynek - powiedział Reynold. - Poszedłem za nim i zastałem go na kopaniu dołu u podnóża kopca, w którym, jak mówiłaś, pani, pochowano smoka.

Panna Sexton otworzyła oczy tak szeroko, jakby miała zemdleć, chociaż Reynold nigdy nie widział, by okazała choćby najdrobniejszą oznakę słabości. Wyciągnął ramiona, chcąc ją podtrzymać, ale odsunęła się gwałtownie, bardzo stanowczo kręcąc przy tym głową.

I zanim de Burgh zorientował się w jej zamiarach, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

O brzasku Reynold przyglądał się dziurze w ziemi, choć niczego podejrzanego nie dostrzegł. Najchętniej rozbiłby coś pięściami. Co się z nim dzieje? - upomniał się w duchu, nie rozumiejąc swojego stanu.

Obwiniął o to bezsenną noc i pannę Sexton. Gdyby nie przymilała się, nie błagała, by spełnił jej prośbę, żeby potem potraktować go jak najpodlejszego łotra...

Gdyby nie była taka ładna. I gdyby nie budziła w nim tylu nadziei i pragnień...

- Panie?

Głos Peregrine'a oderwał go od tych przykrych rozmyślań i przywołał do rzeczywistości.

- Jeśli Urban nie zasypał innego miejsca i nie pokrył go starannie darnią, to jedyne miejsce - powiedział Reynold.

Żałował, że wcześniej nie śledził Urbana i w ogóle był zbyt ufny.

Peregrine przyjrzał się dziurze w ziemi, a potem zerknął nieco dalej, gdzie zaczynała się pochyłość.

- Czy tam jest pochowany smok? - spytał.

- Według panny Sexton - odrzekł de Burgh, chociaż sam już nie wiedział, w co i komu wierzyć.

Giermek zwrócił jednak uwagę, że dziura wykopana przez Urbana jest niedaleko kopca. Reynold miał wrażenie, że umyka mu coś istotnego, co mogłoby wytłumaczyć zachowanie rządcy.

Naraz zaskoczony spojrzął na giermka i dostrzegł na jego twarzy ten sam wyraz oświecenia.

- Czy smok Beowulfa nie strzegł skarbu? - spytał cicho Peregrine.

- Otóż to - odparł Reynold i zacytował stare powiedzenie: - *Smok będzie na wzgórzu, stary, opływający w skarby.*

- Myślałem, że nie ma żadnego smoka - powiedział giermek.

- Potwora ze skrzydłami może nie być, ale coś, a ściślej mówiąc, ktoś jest - odrzekł. - Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślałem, przecież to oczywiste!

- O skarbie nikt nie mówił.

- Ależ mówił - burknął Reynold. - Czyż panna Sexton nie wspomniała o monetach? Peregrine zmarszczył czoło.

- Tak, ale nie w związku ze smokiem. Poza tym to była tylko legenda, taka historyjka.

Jak wiele innych dotyczących bliższej i dalszej przeszłości Grim's End, pomyślał de Burgh. Kto mógł zresztą rozsądzić, czy któreś nie są prawdziwe? Geoff twierdził, że nawet najbardziej nieprawdopodobna historia ma w sobie ziarenko prawdy.

- Kilka opowieści dotyczy, zdaje się, człowieka, zamieniającego się w smoka z powodu klątwy lub z powodu żądzy zdobycia skarbu, prawda? - zaczął Peregrine i szerzej otworzył oczy. - Nie sądzisz chyba panie, że Urban zamieni się w smoka?

- Nie - parsknął Reynold. - Jego trudno nawet nazwać człowiekiem, a co dopiero potworem.

Peregrine'owi jakby trochę ulżyło, ale zaraz zniżył głos.

- Poza tym są również historie o duchach pojawiających się przy wzniesieniach, w których ukryto kosztowności. Nie widziałeś duchów, panie, prawda?

De Burgh pokręcił głową. Gdyby istniały duchy z pewnością ukazałyby się poprzedniej nocy, bo bardziej złowieszczego krajobrazu Reynold jeszcze nie widział.

Ponownie dźgnął czubkiem buta stertę ziemi.

- Powinniśmy chyba sprawdzić, czy nie ma tam niczego pod spodem.

- Rozkopać grób? - spytał z trwogą Peregrine.

Reynold wzruszył ramionami. Nie wiadomo było, czy to grób, czy tylko osobliwie ukształtowany pagórek. Istniał tylko jeden sposób na sprawdzenie.

- Chciałbym wiedzieć, czego szuka Urban - wyjaśnił.

- Pamiętaj, panie, co stało się z Beowulfem - sprzeciwił się giermek, wyraźnie zatrużony sugestią pana. - Czy skarb tego rodzaju nie jest przeklęty?

De Burgh pokręcił głową. W odróżnieniu od giermka nie obawiał się takich nie-szczęść, może dlatego, że w głębi duszy i tak czuł się przeklęty.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sabina zdziwiła się, gdy mimo wczesnej pory zobaczyła wielką salę pustą. Starła się nie ulec wrażeniu, że stało się najgorsze. Niewiele spała, przez większą część nocy zastanawiała się, czy odwiedziny lorda Burgha jej się nie przyśniły. Jednak jego nieobecność tego ranka była bardzo wymowna.

Nagle drzwi się otworzyły i ukazała się w nich znajoma, postawna sylwetka. Lord Burgh wyglądał tak jakby naprawdę był tu panem.

- Lordzie - powitała go skinieniem głowy.

- Panno Sexton - odpowiedział sztywno i zajął swoje zwykłe miejsce.

Dźwięk otwieranych drzwi musiał zaraz ściągnąć do wielkiej sali pozostałych mieszkańców, więc na prywatną rozmowę mieli tylko chwilę.

- Bardzo przepraszam za zachowanie w nocy - zaczęła. - To wina późnej pory i tego, że byłam... niedysponowana.

Skinął głową, ale nie wyglądało na to, by jej wybaczył. Powiedziałyby więcej, ale w tej chwili nadszedł Urban.

- Panno Sexton!

Rządca skierował się prosto do niej.

- Tak, Urbanie, słucham - powiedziała Sabina, choć czuła, że traci do niego cierpliwość.

- Kiedy zaprosiłaś tego człowieka do swojego domu, powiedziałem ci, pani, że to niebezpieczne - stwierdził, wskazując lorda Burgha. - A on teraz nachodzi tych, którzy tu mieszkają, chociaż nie ma do tego prawa. Jestem rządcą Sextonów i nie uznaję jego zwierzchnictwa.

Spojrzał na Sabinę, jakby oczekiwał potwierdzenia swoich słów, ale Sabina wciąż nie była pewna, co właściwie stało się w nocy.

- Postępuję zgodnie z. twoim życzeniem, pani. Staram się wyjaśnić, co zagraża wsi, i położyć kres niebezpieczeństwu. Ponieważ wiemy, że smoka nie ma, musimy szukać innych sprawców - powiedział de Burgh, znacząco spoglądając na Urbana.

- Sądzisz, panie, że to Urban ponosi odpowiedzialność za ataki? - spytała zbita z tropu. Takie twierdzenie wydało jej się niedorzeczne.

- Bez wątpienia nie mógł podłożyć ognia, kiedy był tutaj, we wsi - powiedział de Burgh. - Chcę jednak wiedzieć, dlaczego wykrada się w środku nocy, żeby kopać dziury w kopcu. Czyżby próbował obudzić smoka? A może w legendach o Grim's End jest jeszcze coś, czego mi nie powiedziałaś, pani?

Nie wszystko mu powiedziała, ale nie miało to nic wspólnego z legendami. Mimo to spłonęła rumieńcem, więc szybko odwróciła wzrok i zerknęła na Urbana. Wydawał się zakłopotany.

- Co robiłeś? - spytała rządcę, sama nie widziała bowiem sensownego wytłumaczenia jego zachowania.

Urban wyprostował się.

- Słuchasz, pani, tego obcego, chociaż przez tyle lat wiernie służę Sextonom? Poleciłaś mu zabić smoka, on tego nie zrobił, za to wywiera na ciebie coraz większy wpływ, a swoją nieudolność tłumaczy tym, że potwór nie istnieje.

- Bo nie istnieje - potwierdził de Burgh. - Są za to ludzie odpowiedzialni za zabicie waszych zwierząt, straszenie mieszkańców i podpalanie. Może zresztą jest to tylko jeden człowiek. Nauczył się, jak strzelać ogniem...

Przerwał mu głośny grzechot. Sabina wykorzystwała tę chwilę zamieszania, by wziąć się w garść, a Ursula podniosła kubek, który zgubiła po drodze z kuchni.

- Przepraszam, panie - wybąkała służąca z pobladłą twarzą.

Lord Burgh nie zwrócił jednak na Ursulę uwagi, bo przez cały czas wpatrywał się w Urbana.

- To jakieś banialuki! - powiedział Urban i zwrócił się do Sabiny. - Pani, ty możesz zaręczyć, że nie zrobiłem nic złego i od wielu lat wiernie ci służę.

Sabina skinęła głową.

- Zawsze myślę o tym, żeby ci służyć, pani - ciągnął. - Nawet ostatniej nocy pracowałem dla twojego dobra. - Urwał, jakby udzielenie wyjaśnienia sprawiało mu trudność. - Jeśli musisz wiedzieć, to zależy mi tak bardzo na pozbyciu się tego natręta - tu zerknął na de Burgha - że chciałem znaleźć sposób, by zapłacić prawdziwemu pogromcy smoków.

Sabina spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Mam teraz na myśli nie legendę o smoku, lecz tę o skarbie Sextonów - wyjaśnił. - Kiedy o tym wspomniałaś, pani, zacząłem się zastanawiać i doszedłem do wniosku, że skarb mógłby rozwiązać wszystkie nasze problemy.

Sabina pokręciła głową, wydawało jej się to bowiem głupie.

- Postanowiłem zacząć poszukiwania tej nocy - wyjaśnił Urban i oblizał wargi. - Chciałem uniknąć wzroku ciekawskich, którzy mogliby mi odebrać skarb. Ale on mnie szpiegował!

Zmarszczyła brwi. Rozumiała, że Urban czuje się zagrożony, ale jego nocna eskapada była co najmniej podejrzana.

- Peregrine i ja wpadliśmy na pomysł, jak rozwiązać ten problem - oznajmił de Burgh, choć jego giermek nie miał entuzjastycznej miny. - Zaczniemy kopać sami i zobaczymy, co uda się znaleźć.

- Co? - zdziwiła się Sabina.

Pozostali mieszkańcy Grim's End również wydawali się niechętni temu pomysłowi.

- Zaczniemy od miejsca, w którym pracował Urban - zapowiedział de Burgh. - Jeśli twoje pieniądze, pani, są w tym miejscu, tym lepiej. A jeśli nie, trudno. I tak nic nie stracisz.

- Stracę - sprzeciwiła się Sabina. - Ten kopiec to grób. Nie pozwolę na profanację. To byłoby haniebnie, bez względu na to, kto lub co jest tam pochowane.

- Tylko że on wymyka się. nocami szukać skarbu - zwrócił uwagę de Burgh. -
Może nie tylko Urban wierzy w tę legendę. Czy jeszcze ktoś coś na ten temat wie?

- Trudno mówić o legendzie, panie, to tylko stara plotka, rzadko już powtarzana -
stwierdziła Sabina. - Urbanie, czy z kimś o tym rozmawiałaś?

Pokręcił głową. Sabina wolała mu uwierzyć, bo nie wiedziała, czy inaczej zdołała-
by opanować lęk.

- Gamel opowiadał nam mnóstwo historii - powiedział Alec. - Nie pamiętam jed-
nak, by było w nich coś o Sextonach. Większość o jego przodkach i dawnym królu, Gri-
mie Ponurym, którego pochowano razem ze skarbem.

- To ten kopiec - powiedział z zadowoloną miną de Burgh.

- Ja też słyszałam różne opowieści krewniaków - wyznała Ursula. - Możliwe, że
powtórzyłam kilka jednemu z wieśniaków. Ale on już nie żyje.

Popatrzyła na Sabinę, która zbladła.

- Pójdiesz, pani, ze mną? - zwrócił się do panny Sexton lord Burgh.

Sabina była tak zatopiona w myślach, że przywołana do rzeczywistości prawie
podskoczyła. Podniosła wzrok i stwierdziła, że rycerz czeka na odpowiedź. Pokręciła
głową.

De Burgh nie pokazał po sobie, co sądzi o tej odmowie. Spojrzał z kolei na Urbana
i uniósł brwi.

- A ty?

- Nie jestem w stanie cię powstrzymać, ale nie będę patrzył na to, jak kradniesz
własność Sextonów - oświadczył Urban.

Te słowa zaskoczyły Sabinę.

- Skąd wiesz, że to własność Sextonów? - spytała.

Urbana zatkało.

- Zakładałem... - powiedział po chwili. - Przecież od kamienia granicznego aż do
kościółka ciągną się ziemie Sextonów.

- Do starego kościoła - doprecyzowała Sabina.

- Myślałem... Sextonowie zawsze dbali o ten kopiec.

- Nie sędę, by ktoś mógł być jego właścicielem - powiedziała. - W gruncie rzeczy to też jest znak graniczny Grim's End.

Mówiąc to, spojrzała na de Burgha, on jednak był już odwrócony w stronę wyjścia.

- Ja pójdę - zaofiarował się Alec, ale Adele go uciszyła.

Lord Burgh poszedł więc sam, a reszta mieszkańców została w wielkiej sali. Peregrine dotrzymywał im towarzystwa, choć czuł się nieswojo.

- Twój ojciec, pani, byłby wstrząśnięty, widząc, że oddajesz władzę obcemu - powiedział karcącym tonem rządcą niemal natychmiast, gdy drzwi za Reynoldem się zamknęły.

Sabina milczała, była przekonana jednak, że jej ojciec miałby o de Burghu jak najlepsze zdanie. Może nawet oddałby mu ją za żonę...

Potrząsnęła głową, odpędzając tę myśl, nie mogła bowiem zostać niczyją żoną.

- Nie możesz, pani, pozwolić, żeby on odebrał nam wolność - ciągnął Urban. - Musisz zająć twarde stanowisko i powiedzieć mu, że nie ma nad nami władzy.

Sabina pokręciła głową.

- Błagałam tego człowieka, żeby nam pomógł, i on teraz to robi.

Urban nadał się.

- Raczej sam zamierza się wzbogacić.

- De Burghowie mają więcej bogactw, niż możesz sobie wyobrazić, człowieku - powiedział Peregrine, mierząc rządcę niechętnym spojrzeniem. - Reynold nie potrzebuje smoczego skarbu!

Zaskoczona jego słowami Sabina głośno syknęła. Smoczy skarb? Jak stara plotka o monetach mogła się przeobrazić w coś zupełnie innego? Znowu poczuła znajomy lęk.

Również Urban wydawał się oburzony.

- Ja w każdym razie nie zamierzam tego znosić.

- Gdybyś w nocy spał z innymi, nie doszłoby do tej rozmowy.

- Nikt mi nie będzie dyktował, co mam robić!

Znowu zaskoczył Sabinę. Urban zawsze potulnie słuchał poleceń, ale odkąd wieś opustoszała, zaczął się zachowywać tak, jakby to on był jej ojcem i panem na włościach.

- Powiem ci to samo, co często powtarzałam innym. - Sabina spojrzała mu prosto w oczy. - Możesz odejść, kiedy tylko chcesz.

Urban przybrał błagalny wyraz twarzy.

- Odejdźmy w końcu wszyscy - zaproponował. - Wtedy również ten samozwaniec nie będzie miał pretekstu, by tu zostać.

Sabina pokręciła głową, na co Urban ze złością odwrócił się i ruszył w stronę piwnicy.

Reynold oparł się na szpadlu. Rozprostował bolącą nogę i zaczął się zastanawiać, czy nie zakończyć pracy. Początkowo kopanie pomagało mu wyładować złość, więc nawet nie wrócił do dworu na obiad. Jednak w miarę upływu dnia i braku sukcesów, zaczął odczuwać zmęczenie. Doskwierała mu noga, a co najgorsze, stracił poczucie sensu.

Zmarszczył czoło, zarzucił szpadel na ramię i pokuśtykał w stronę dworu. Gdy jego oczom ukazał się niewielki budynek, ukryty wśród drzew, poczuł szczerą radość. Uświadomił sobie, że od pewnego czasu traktuje to miejsce jak dom.

Już niedługo, pomyślał i, o dziwo, ta myśl zasmuciła go.

Wszedł do środka i na jego widok panna Sexton wstała zatroskana. Czy z powodu tego, co robił, czy raczej z obawy o to, co może zostać znalezione? Tego Reynold nie wiedział.

- Przygotuję napar z kory wierzby - powiedziała, zbliżywszy się. - Adele, zagrzej wody dla lorda Burgha.

Reynoldowi zrobiło się lżej na duchu, gdy zrozumiał, że chodzi jednak o niego. Tym razem tęsknił za kąpielą nie tylko ze względu na pannę Sexton. Był gotów sam wtargać na górę wiadra pełne wody, byle tylko wymoczyć obolałe ciało.

Podczas gdy Reynold jadł, znaleziono i wciągnięto do kuchni niewielką wannę i szybko napełniono ją wodą. Po chwili stał nad napełnionym naczyniem do kąpieli i cieszył się, że zaraz zdejmie z siebie brudne ubranie, a zwłaszcza kolczugę, którą wkładał codziennie, odkąd opuścił Campion. Inni wyszli z kuchni i w końcu została tylko panna Sexton.

- Czy chcesz, panie, żebym... - Urwała i odwróciła głowę, ale tylko na chwilę. - Czy mogę w czymś pomóc?

Stali zaledwie o kilka kroków od siebie. Z wanny unosiła się para, z drugiej strony buzował ogień w palenisku. Reynold z trudem panował nad pożądaniem, co więcej, przysięgłby, że z twarzy panny Sexton może wyczytać to samo. Wystarczyło wykonać jeden gest, by stało się coś, co przerastało jego najśmielsze wyobrażenia.

- Milordzie!

Alarmujący okrzyk Peregrine'a sprawił, że czar prysł. Panna Sexton zrobiła przerażoną minę, a Reynold natychmiast sięgnął po miecz.

- On... on chyba uciekł - powiedział giermek, który ukazał się u szczytu schodów, prowadzących do kuchni.

- Kto? - spytała panna Sexton.

De Burgh jednak wiedział od razu. Z marsową miną czekał na wyjaśnienia giermka.

- Urban. Ja... Poszedł już dość dawno do piwnicy, a ponieważ nie ma stamtąd innego wyjścia jak po schodach, nie... - Peregrine urwał i zaczerpnął tchu. - Nie pilnowałem go dobrze.

- I? - spytał Reynold, mocniej zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

- Nie wiem, milordzie - odparł giermek. - Kiedy skończyliśmy napełniać wannę, przypomniałem sobie, że on siedzi w piwnicy. A ponieważ nie chciałem, żeby przerwał... to znaczy, żeby niespodziewanie zaszedł cię, panie, podczas kąpieli, postanowiłem go odszukać. Ale nigdzie go nie ma.

- Osiodłaj Siriusa. Może znajdę Urbana. Pieszko nie mógł bardzo się oddalić. Chyba że ukradł nasze konie...

Peregrine biegł już do drzwi, gdy Reynold poczuł na ramieniu dłoń.

- Nie jadł z nami kolacji - powiedziała panna Sexton. - Myślałam, że po prostu się dąsa.

Wydawała się bardziej zasmucona niż zaniepokojona. De Burgh chwycił ją za nadgarstek.

- Czy kąpiel miała odwrócić moją uwagę i pomóc mu w ucieczce? - spytał, ledwie tłumiąc złość. - Co jeszcze zrobiłabyś, pani, by mnie tutaj zatrzymać?

Sabina spojrzała mu w oczy i Reynold dostrzegł jej oburzenie.

- Nie rozumiem. Proponowałam ci, panie, kąpiel już nieraz. Woda niedługo wystygnie, więc korzystaj, póki czas.

- Mam mu pozwolić na ucieczkę?

- Oczywiście! Sama powiedziałam mu, że może odejść, zresztą nie pierwszy raz...

Tylko nie sądziłam, że się na to zdecyduje.

Reynold pokręcił głową, wciąż bardzo zły.

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, pani, że Urbanowi może chodzić o coś więcej niż tylko o wykopanie twoich monet?

- Jak to? - spytała z nieprzeniknioną miną.

- Nie zabrał koni, panie - powiedział Peregrine, który znów pojawił się w drzwiach.

- Ale jest ciemna noc, a ponieważ nie wiemy, jak dawno uciekł...

Reynold zaklął pod nosem.

- To znaczy, że już go nie ma. I że zabrał z sobą swoje tajemnice.

- Jakie tajemnice? - spytała panna Sexton.

- Może Urban wypełniał czyjeś polecenia... Może ten, kto nękał wieś, zrobił się niecierpliwy i chciał koniecznie zdobyć skarb.

- Co takiego?! - zachnęła się. - Jak możesz tak mówić, panie?

- Kto kazał wam się chować w piwnicy? Kto podsycił wasze obawy, udając, że się o was troszczy?

Panna Sexton zbladła.

- Ale on zapewniał nam bezpieczeństwo! Utrzymał nas razem! Bez Urbana nie przeżylibyśmy tutaj. Po co miałyby nam pomagać, skoro przez cały czas zamierzał odejść?

- Tego nie wiem - odparł Reynold. - Ale komu byłoby łatwiej informować o tym, co robisz, pani, gdzie jesteś, co zamierzasz, w jakim jesteś nastroju?

Cofnęła się, jakby chciała uciec przed jego słowami.

- Nie wierzę ci. Nie wierzę!

- Nie będziesz więc miała nic przeciwko temu, jeśli przeszukamy cały dom, prawda? - spytał.

Peregrine chciał zaprotestować, ale Reynold nie zwrócił na to uwagi. Prowokująco spojrzął na pannę Sexton, jakby chciał, by mu odmówiła. Ona jednak tylko wzruszyła ramionami i odwróciła się do niego plecami.

- Rób, panie, co ci się podoba.

Gdybym tylko mógł, pomyślał z goryczą, spoglądając śladem jej oddalającej się sylwetki.

Peregrine stał obok niego w milczeniu, a w pracowni napełnionej wannie stygła woda. Propozycja panny Sexton, która chciała pomóc mu w kąpeli, wydawała się teraz jedynie snem, jak zwykle rozwianym przez brutalną rzeczywistość.

Gdybym tylko mógł, pomyślał Reynold.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sabina siedziała na krześle w wielkiej sali, wpatrzona w gęsty mrok. Gdy de Burgh skończył przeszukiwać ich izbę, Ursula udała się na spoczynek, ale Sabina nie chciała do niej dołączyć. Bała się kolejnej rozmowy z de Burghiem, bo wszystko dookoła niej zdało się rozpadać.

Wbrew oskarżeniom rycerza, nie wierzyła, że Urban mógłby zrobić coś naprawdę złego. Ursula miała jednak rację w swoich przepowiedniach. Rządca miał dość lorda i wolał odejść niż podzielić się pozycją. Chociaż spodziewała się tego, odczuwała tę stratę bardzo boleśnie.

Niemal wszyscy już od niej odeszli. W Grim's End pozostało teraz czworo mieszkańców, trzy kobiety i chłopiec, i wszyscy byli zdani na łaskę rycerza, którego trzymało tutaj jedynie poczucie obowiązku.

Obojętnie przyglądała się Peregrine'owi, znoszącemu posłanie do piwnicy, bez wątplenia po to, by mieć oko na Adele i Aleca. Naraz padł na nią wielki cień i do długiego stołu, przy którym siedziała, zbliżył się de Burgh.

- Możesz, pani, iść do swojej izby - oświadczył.

- Miałaś rację co do mnie, panie - szepnęła.

- Dlaczego to mówisz, pani? - spytał lord Burgh lekko znudzonym tonem, jakby chciał już udać się na spoczynek.

- Jestem samolubna - przyznała. - Chciałam zatrzymać swój dom i swoje dziedzictwo, nie dbając o nikogo, narażając życie tych, którzy są mi najbliżsi... a odpłacając za lojalność niepewnością i poczuciem zagrożenia.

Usłyszała parsknięcie de Burgha, ale nie spojrzała na niego.

- Jestem też tchórzliwa. Wmawiałam sobie, że dotrzymuję słowa danego ojcu, ale tak naprawdę bałam się odejść, bałam się zostawić wszystko to, co kocham, stracić na zawsze to miejsce, wspomnienia, ludzi.

- Nie jesteś tchórzliwa, pani.

- Nie wiesz tego - odparła Sabina, kurczowo zaciskając dłonie. - Nie wiesz.

- Opowiedz mi więc - zachęcił. Pokręciła głową.

- Wydaje mi się, pani - powiedział de Burgh - że żałujesz człowieka, który wcale nie był twoim przyjacielem.

Znów zaprzeczyła ruchem głowy.

- Żałuję mojego życia tutaj, bo nie zostało z niego już nic.

- Nie pozwolę ci na to - odparł cicho, lecz stanowczo.

Sabina poderwała głowę i wreszcie odważyła się na niego spojrzeć. Jednak jego twarz, jak zwykle, była pozbawiona wyrazu.

- Nie oddam Grim's End temu, kto stoi za atakami, i tobie, pani, też na to nie pozwolę - oświadczył spokojnym tonem.

Sabina stłumiła rozczarowanie, bo wiedziała, że de Burgh robił tylko to, o co sama go poprosiła... a ona pragnęła o wiele więcej.

Wstała i skłoniła głowę, jakby chciała mu życzyć dobrej nocy. Nie zatrzymał jej, więc ruszyła powoli na górę.

Następnego ranka Reynold z braku innych pomysłów wrócił pod kopiec. Nie mógł jednak oprzeć się podejrzeniu, że ta piękna kobieta coś ukrywa. Dziwna była ich ostatnia rozmowa w wielkiej sali. Nagle, po tygodniach sprzeciwów, panna Sexton zapragnęła szybko opuścić Grim's End, a potem bez słowa wyjaśnienia udała się na spoczynek.

Poza tym podobnie jak Urban czasem znikwała. Bywało, że zamykała się w swoim pokoju i nie chciała z nikim rozmawiać. Początkowo był nią zbyt zauroczony, by nabrać podejrzeń wobec kogoś z domowników. Jednak po ucieczce Urbana zaczął się zastanawiać nad każdym z osobna. A zwłaszcza nad nią. Przecież to jej obecność nie pozwalała mu odjechać, a ostatnio nie mógł się obejść bez jej towarzystwa.

Gniewnie parsknął i odsunął od siebie te myśli. Należało skupić się na pracy. Efekty nie wydawały się obiecujące, ale cóż innego miał do roboty. Mógł jedynie patrolować teren coraz dalej od Grim's End z nadzieją, że wreszcie natknie się na obozowisko jakichś zbójów. Musiałby jednak wtedy zostawiać mieszkańców bez ochrony.

Wrócił do pracy, ale po chwili znowu przerwał. Tylko jak głęboko należało dotrzeć? Reynold wbił szpadel w ziemię i obszedł kopiec, by przyjrzeć mu się dokładniej. Nie miał pojęcia, dlaczego Urban wybrał akurat to miejsce, w każdym razie znajdowało się ono dokładnie u podnóża. Gdyby Reynold nie podjął pracy rządcy, sam zaczęłyby ją gdzie indziej. Próbowaliby kopać od szczytu pionowo w dół albo przekopałby rów w poprzek, żeby nie przegapić niczego, co mogłoby znajdować się wokół. Ponieważ nie wiedział, czego właściwie szuka, uznał, że rów będzie właściwszą metodą. Wybrał więc nowe miejsce i od niego zaczął posuwać się naprzód po średnicy kopca. Tym razem pracował z większym zainteresowaniem. Szpadel natrafiał jednak tylko na ziemię i kamienie. W końcu Reynold przerwał.

Znad morza zawiewała chłodna, orzeźwiająca bryza. Rozejrzał się dookoła i nagle dostrzegł w ziemi coś metalowego, co wyglądało na nieduży nit. Wkrótce natrafił na podobny kawałek metalu tkwiący jeszcze w ziemi. Okazało się, że to następny nit.

Reynold pokręcił głową. Nie umiał powiedzieć, co łączył nit, musiał więc kopać dalej. Chwilę potem dotarł do następnego nitu, ułożonego tak samo jak poprzedni. To nie mógł być przypadek, pomyślał. Miał nadzieję, że ktoś z domowników podsunie mu jakiś trop, więc ruszył z powrotem.

Wszyscy mieszkańcy dworu siedzieli w wielkiej sali.

- Co o tym sądzicie? - spytał, podszedłszy, i położył na stole swoje znalezisko.

Obecni skupili się wokół stołu, ale nikomu przedmiot nie wydał się znajomy.

- Co to jest? - spytał Alec.

- Bez wątpienia wytwór człowieka - powiedział Peregrine, obracając nit w palcach.
- Wygląda jak coś używanego przez budowniczych. Ale co to? I jak się tam dostało?
- Może to część czegoś, co zjadł smok, jakieś resztki z jego brzucha? - podsunął Alec.

- Czy tylko tyle znalazłeś? - spytała panna Sexton. - Nie zakłóciłeś spokoju szczątkom smoka?

- Nie - odparł Reynold. - Nie znalazłem kości, tylko nity. Ale wydaje się, że leżą w ziemi w równych odstępach, jakby stanowiły część czegoś większego.

- Jest ich więcej? - spytał giermek.

- Inne zostawiłem na miejscu - wyjaśnił de Burgh.

Chociaż kawałek metalu bez wątpienia nie był skarbem, i tak wzbudził ciekawość młodych ludzi.

- Czy mogę pomóc? - spytał Alec.

- I ja też pomogę - zaofiarował się Peregrine. - Im więcej rąk do pracy, tym szybciej znajdziemy skarb.

- Nie ma żadnego skarbu - powiedziała panna Sexton, wyraźnie rozdrażniona.

- Przyda mi się pomoc, bo trzeba coś zrobić z wykopywaną ziemią - wyjaśnił Reynold.

- Możemy wszyscy pomóc, podając sobie wzajemnie wiadra z ziemią - zaproponował Alec. - Tak samo jak przy gaszeniu pożarów...

Peregrine spojrzał błagalnie na pannę Sexton. Zmarszczyła czoło niezadowolona, ale nie próbowała ich odwieść od planu dotarcia do korzeni Grim's End.

Pogoda sprzyjała pracy. Podążając za linią, wyznaczaną przez nity, trafili na coś o znacznej szerokości i długości.

- Czy to część smoczego kręgosłupa? - zapytała panna Sexton z góry.

Reynold pokręcił głową.

- Nie, chyba że smok miał kręgosłup z drewna - stwierdził i pokazał przegniłe kawałki desek. Natrafili również na resztki starych naczyń i kawałki metalu, ale skrzyni ze skarbami nie było.

Mimo to de Burgh kopał dalej, jakby wewnątrz ziemi mogło udzielić mu odpowiedzi na pytania, które dręczyły wszystkich obecnych.

Z upływem czasu tak zwany kręgosłup smoka przybierał monstrualne rozmiary. Dopiero jednak, gdy Peregrine zaczął kopać od drugiej strony, zdali sobie sprawę z tego, że nity i kawałki drewna prawdopodobnie otaczają cały kopiec.

- Zupełnie jakbyśmy wchodzili do olbrzymiej miski - powiedział Alec, podekscytowany. - Może mieszkańcy Grim's End zbudowali dla smoka wielką trumnę?

- Gdyby tak miało być, to czy nie znaleźlibyśmy wielkich kości? - spytał.

- To nie jest trumna - zawyrokował Reynold ze swojego stanowiska w wielkim wykopie. Obrócił się dookoła i popatrzył uważnie. - Nie jest to również misa. Już wiem. To statek.

- Ale skąd się tutaj wziął? Jesteśmy za daleko od wybrzeża - powiedziała panna Sexton, która stanęła na krawędzi wykopu, by dokładniej wszystko zobaczyć.

- Może sztorm wyrzucił go na brzeg? - podsunął Alec.

Reynold miał podobny pomysł, ale wielka burza zapewne zniszczyłaby statek.

- Ma ponad dwanaście metrów, jest zbyt wielki, by rzucony na klify znalazł się aż w tym miejscu - powiedział Peregrine. - Po co jednak ktoś miałby zakopać statek?

To pytanie, jak wiele innych w Grim's End, pozostało tymczasem bez odpowiedzi.

- Statek - powtórzyła zdziwionym tonem panna Sexton. - Mam nadzieję, że przynajmniej nie spodziewacie się już znaleźć żadnych monet.

A jednak znaleźli monety, kiedy dokopali się głębiej, jedną błyszczącą, zauważoną przez Ursulę z góry, i drugą, którą Reynold odkrył później. Obie były stare, złote i miały na sobie dziwne znaki.

- Może wasz przodek włożył jedną z tych monet do ziemi i tak powstała legenda - rzekł Reynold, pokazując krążek pannie Sexton.

Tego dnia odsłonili kadłub statku. Niewiele wiedział o skutnictwie, tyle co zapamiętał z ksiąg Geoffreya, ale domyślał się, że zostało im niewiele pracy.

Nagle lawina ziemi powaliła go, a on znalazł się pod jej spodem.

Sabina, stojąca nad wykopem, krzyknęła ostrzegawczo, ale za późno. Chciała natychmiast rzucić się de Burghowi na pomoc.

- Ostrożnie! Żadnych gwałtownych ruchów! - zawołał Peregrine.

Mimo że był niewiele starszy od Aleca, od razu przejął dowodzenie. Kazał wszystkim odsunąć się od zawalonej ściany i okrążywszy kopiec, wpełzł do wykopu, by dotrzeć do swego pana.

Na szczęście, de Burgh nie był cały przysypany i jego głowa pozostała na powierzchni. Oczy miał jednak zamknięte, jakby spadający kamień ugodził go w głowę. Czyżby nie żył? Sabina patrzyła na to z trwogą, a tymczasem Peregrine ujął pana pod pachy, aby wydobyć go z ziemi i przeciągnąć w bezpieczne miejsce.

Gdy znaleźli się z dala od zawalonej ściany, giermek zaczął przemawiać do ranego i obmacywać mu kończyny.

Tymczasem Sabina poczuła dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, pani, wszystko będzie dobrze. Lorda Burgha nie zmoże taka odrobina ziemi - powiedziała Ursula.

Co jednak zrobią, jeśli go stracą? Co ona wtedy zrobi? Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. A jeśli człowiek, którego pokochała, już nie żyje?

Tego było za wiele. Cała zaczęła drżeć, na szczęście jednak w tej samej chwili usłyszała wołanie Peregrine'a.

- Krwi nie widzę, złamań też chyba nie ma - szepnął. - Ale nie chce się ocknąć.

Chłopak wydawał się bliski łez, i to właśnie dodało Sabinie sił. Zwróciła się ku leżącej postaci.

De Burgh oddychał, czego dowodziła falująca klatka piersiowa. Przesunęła po jego ciele dłońmi, ale nie zauważyła niczego niepokojącego. Wiedziała jednak, że ofiary takich wypadków czasem mają rany wewnątrz i wtedy nijak nie można im pomóc. Zaniepokoiła się.

- Potrzebuję mokrej szmaty - krzyknęła do Peregrine'a.

Chłopak ostrożnie odszedł, a ona mogła skupić się na de Burghu. Jego twarz wydawała się odprężona, a usta nie były tym razem gniewnie zaciśnięte.

Powstrzymując łzy, Sabina ujęła go za rękę. Dłonie miał duże i ciepłe, a także miłe w dotyku. Był prawdziwym rycerzem, szlachetnym i dzielnym, choć miał też swoje wady i przyzwyczajenia, które doprowadzały ją do szału.

- Zbudź się, panie - szepnęła, ale on ani drgnął.

Tymczasem Peregrine podał jej mokrą szmatę. Odgarnęła de Burghowi włosy i przetarła brudne czoło, a potem pogłaskała go po policzku.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała na głos, bardziej do siebie.

Wtedy nagle rycerz ocknął się i nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się dookoła.

- Panie, czy wszystko w porządku? - spytał Peregrine.

De Burgh zamrugał zamroczony, a potem lekko się uniósł.

- Co się stało?

- Zawałiła się na ciebie ściana wykopu - wyjaśnił giermek i z ociąganiem spytał: - Czy możesz poruszać nogami?

Zamiast odpowiedzieć de Burgh stanął o własnych siłach, strzepując z siebie ziemię, której drobiny poleciały na wszystkie strony. Peregrine szybko ujął go pod jedno ramię, ale gdy Sabina spojrzała ku szczytowi wykopu, serce jej zamarło.

- Może powinieneś, panie, odpocząć tutaj nieco dłużej - zaproponowała.

Zachowała się nierozsądnie. Wcześniej troskliwe pytanie giermka poderwało rycerza na równe nogi, teraz jej słowa sprawiły, że ruszył naprzód, jakby chciał dowieść wszystkim dookoła, że nic mu się nie stało.

Uparty głupiec, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Wszyscy troje zaczęli się wspinać. Sabina, której przeszkadzały spódnice, dostała zadyszki.

- Odpocznijmy tutaj - zaproponowała, gdy stanęli na trawie.

- Nie potrzebuję odpoczynku - odparł Reynold.

- Chcę obejrzeć twoją nogę, panie.

- Nic jej nie jest.

Zmęczona, obolała i wciąż wstrząśnięta wypadkiem Sabina poczuła, że cierpliwość jej się kończy.

- Tak czy inaczej, to ja jestem tutaj panią, więc muszę mieć pewność, że moi goście są cali i zdrowi.

Kątem oka zauważyła, że Peregrine prowadzi wszystkich z powrotem do dworu.

- To mój obowiązek - nie dawała za wygraną.

- Ale moja noga - odparł.

Właśnie wtedy kolana się pod nim ugięły i upadłby na ziemię, gdyby Sabina go nie podtrzymała. Pomogła mu usiąść na trawie, mimo że klął i próbował ją odepchnąć.

- Dlaczego nie chcesz przyjąć nawet drobnej pomocy? - spytała.

- A dlaczego nie pilnujesz własnego nosa? - odburknął. - Masz takie piękne ciało, cała jesteś piękna, więc nic nie wiesz o...

Sabina syknęła.

- Myślisz, że jestem zdrowa? - spytała, podnosząc głos. - A tak naprawdę do-
skwiera mi coś znacznie gorszego.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Niemożliwe.

- Czyżby? - spytała Sabina, ale nie mogła już spojrzeć mu w oczy. Nie mogła też udać, że nie wypowiedziała tych słów, które wyrwały jej się w złości. - Dręczy mnie... szaleństwo.

- O czym mówisz, pani?

Sabina poczuła dłonie lorda Burgha na swoich ramionach, wciąż jednak nie mogła spojrzeć mu w twarz.

- O atakach lęku - powiedziała cicho. - To się zaczęło po śmierci ojca. Najpierw myślałam, że smok zatrul mnie swym oddechem. Być może to klątwa Sextonów...

- Skąd to przekonanie?

- Myślę, że smokowi najbardziej chodzi o mnie... A ty mówisz, panie, że nie jestem tchórzliwa - dodała z goryczą.

- Bo nie jesteś.

- Nie wiesz wszystkiego - odparła cicho Sabina. - Prawda jest taka, panie, że dręcą mnie koszmary. Zaczynam cała drżeć, serce wali mi jak młotem, nie mogę oddychać. Robi mi się na przemian zimno i gorąco, kręci mi się w głowie i nic nie mogę robić.

Próbowała odsunąć się od niego, on jednak trzymał ją mocno.

- Słyszałam, że takie szaleństwo można wyleczyć - ciągnęła. - Myślałam nawet o tym, żeby wybrać się do Bury St. Edmunds, ale nie mogłam, za bardzo się bałam.

Uciekłyby, gdyby tylko miała dość sił, ale de Burgh przyciągnął ją do siebie. Nie zważając na jej sprzeciwy, otoczył ją mocnym uściskiem ramion. Wielką dłonią zaczął ją głaskać po głowie i Sabina wreszcie poczuła spokój.

Wtulila twarz w jego pierś. Wreszcie była bezpieczna, lęki odeszły.

Lord Burgh szeptał czułości, mające dodać jej otuchy.

Kocham cię, pomyślała, ale nie ważyła się głośno tego powiedzieć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Reynold potrzebował całego dnia, by przekonać wszystkich, że nic mu się nie stało i że choć jest poobijany, może wrócić do pracy. Sprzeciwiała się temu zwłaszcza panna Sexton, która uważała, że to zbyt niebezpieczne. Jego brat Simon zresztą został kiedyś przysypany podczas drażenia podkopu i omal nie przyplącił tego życiem.

Jednak gdy Sabina powiedziała, że bezczeszczenie grobu jest kuszeniem losu, nie mógł się z tym zgodzić. Kopiec skrywał pozostałości statku, a nie ludzkie szczątki, poza tym już zbyt wiele pracy włożyli w poszukiwania, by teraz z nich zrezygnować.

Ich dni w Grim's End i tak dobiegały końca, ale co dalej?

Reynold nie chciał na razie myśleć o przyszłości, a zwłaszcza o losie panny Sexton. Nie całkiem rozumiał, co ją nęka, ale szalona z pewnością nie była. Podejrzewał, że ukrywa przed nim coś, co nie ma nic wspólnego ze smokiem, i stąd napięcie w ich wzajemnych stosunkach.

- Popatrz, panie, ziemia ma tutaj niezwykły kolor - powiedział Peregrine, wrywając Reynolda z zamyślenia.

Pochylony nad krawędzią giermek wskazał odsłonięte ostatnio miejsce na samym dnie wykopu. Reynold przykląkł, by sprawdzić, czy i on widzi to samo. Rzeczywiście, czworokątny ślad był wyraźnie zauważalny.

Reynold zerknął na giermka i skinął głową. Zaczęli kopać właśnie w tym miejscu, zdawało się, że w samym środku statku. De Burgh odgarniał ziemię małą łopatką i dłońmi, uważnie przyglądając się, czy nie dostrzeże czegoś niezwykłego, na przykład gładkiego wieka skrzyni albo jakiegoś złotego przedmiotu.

Ku swemu zdziwieniu niemal natychmiast natrafił na coś pod palcami. Do tej pory znaleźli tylko dwie monety, kilka naczyń, resztki ubrań i drewna. Czyżby wreszcie natknęli się na smoczy skarb?

Zaczął obmacywać krawędzie przedmiotu i jęknął rozczarowany. Znaleźli, gładkie i podłużne, było prawdopodobnie kością. Panna Sexton może wpaść w wielki gniew, pomyślał. Jednak posunęli się już zbyt daleko, by teraz zrezygnować.

Wydobył go z ziemi i okazało się, że kształt jest zbyt dziwny jak na ludzką kość. Przedmiot, szeroki z jednego końca, zwężał się stopniowo ku drugiemu. Peregrine przysunął się bliżej, by wszystko dokładnie zobaczyć.

- To róg - szepnął.

- Co znaleźliście? Co to takiego? - zawołała do nich z góry bystrooka Ursula.

- Róg - odkrzyknął giermek.

- Jeden z rogów smoka? - zainteresował się stojący obok Ursuli Alec.

- Może używano rogu do wabienia potwora albo naśladowania jego głosu? - podsunął Peregrine.

- Może z tego rogu płynęły nie dźwięki, tylko piwo - odpowiedział oschle.

- Róg jako naczynie? - zdziwił się Peregrine. - Słyszałem o czymś takim, ale nigdy tego nie widziałem.

- Jak to odłożyć? - spytał Peregrine.

- Może chodzi właśnie o to, żeby nie odkładać - odrzekł Reynold.

Chłopak przesłał mu uśmiech, ale wnet się zamyślił.

- Ale co robi róg na samym dnie statku?

Reynold pokręcił głową. Nie wiedział również, co robi statek w tym miejscu. Jego poszukiwaniom towarzyszyło coraz więcej pytań.

- Może dawno temu słowo „grim” znaczyło „statek”?

- Może. - Nie był przekonany, bo takie wyjaśnienie wydawało mu się równie dobre jak każde inne. - Lepiej zanieś to do Ursuli - dodał i chwilę potem patrzył, jak chłopak zręcznie wdrapuje się po ścianie wykopu.

Tymczasem de Burgh wrócił do pracy. Teraz posuwał się wolniej, bo przerzucał ziemię głównie rękami, ale po pewnym czasie ziemia coś znowu odsłoniła.

- To tylko jeszcze jeden kawał drewna - powiedział zawiedziony Peregrine.

Reynold jednak nadal kopał dookoła i wreszcie w ziemi błysnął metal.

- Topór! - ucieszył się chłopak, wyraźnie mający więcej entuzjazmu dla tej broni niż dla rogu.

- Ostrożnie, żeby się nie rozpadło - powiedział Reynold, gdy Peregrine podał kolejne znalezisko Ursuli i jej pani.

Reynold był bardzo ciekaw, jak zareaguje panna Sexton, nie przerwał jednak pracy, by się o tym przekonać. Chociaż nie patrzył już na nią podejrzliwie, to zachowywał wobec niej stosowny dystans. Nie wiedział bowiem, jak długo jeszcze jest w stanie utrzymać na wodzy swoje pokusy. Świetnie rozumiał, że krzepiący uścisk, jaki wymienili, mógł łatwo zamienić się w co innego, gdy tylko znajdą się w ustronnym miejscu.

- Panie? - rozległ się znów głos Peregrine'a, przywołujący go do rzeczywistości.

Szukali dalej. Niedaleko od topora Reynold znowu wyczuł coś twardego i gładkiego, ale tym razem cieńszego i zakrzywionego. Okazało się, że to kuty kawałek żelaza, choć trudno było ocenić, do czego służył.

- Co to? - zawołała Ursula.

- Jakiś kawałek metalu - odpowiedział Peregrine. - Kosztowności?

De Burgh pogardliwie parsknął. Służąca panny Sexton wyraźnie się niecierpliwiła, bo to, co wydobyli z ziemi do tej pory, nijak nie zasługiwało na miano skarbu.

- Nie wiemy, co to - odparł giermek.

Obrócił przedmiot w dłoniach głęboko zadumany, wreszcie spojrzał na swojego pana.

- To chyba jest część hełmu.

Reynold pokręcił głową, bo czegoś takiego nigdy nie widział.

- To musi być bardzo, bardzo stare - powiedział Reynold.

Hełm jednak pasował do topora. I budził złe przeczucia, te przedmioty mogły bowiem należeć do pochowanego wojownika.

Kopali dalej i po chwili natrafili na kolejny przedmiot.

- A to jest kolczuga - powiedział z zachwytem giermek.

Ona też była bardzo stara i dziwaczna, w dodatku trzeba było się długo mozolić, by wyciągnąć ją w całości. Gdy Peregrine niósł ją do czekających na górze kobiet, Reynold wzdrygnął się na myśl o tym, co niżej jeszcze znajdują. Konsekwentnie jednak kontynuował pracę.

Nagle natknął się na mniej przyjemne znalezisko - szczątki człowieka. Reynold bez mrugnięcia okiem stawiał czoło wojskom nieprzyjaciela, ale teraz poczuł się nieswojo.

- Czyli jednak miejsce pochówku - powiedział cicho Peregrine i spojrzał na Reynolda. - Ale po co te wszystkie przedmioty?

- Rzeczy osobiste - odrzekł. - Zważywszy na topór, ten człowiek mógł polec w jakiejś bitwie.

- Pamiętasz, panie, co stało się z Beowulfem? - spytał cicho giermek. - Został pochowany w obszernym i wysokim kopcu.

- Takim jak ten - potwierdził Reynold.

- Ale dopiero po wygranej walce ze smokiem, który strzegł skarbu - przypomniał Peregrine. - A tutaj, w Grim's End, nie ma smoka ani skarbu, jest tylko statek.

De Burgh nie odpowiedział, tylko dalej przeszukiwał czworokątną komorę grobową, ale poza kośćmi raczej nic już w niej nie było.

- Co się stało? Co tam odkładacie na bok? - zawołała Ursula, jakby niepokoiła się, że chowają dla siebie kosztowności.

Reynold ostrzegawczo pokręcił głową, ale za późno, bo Peregrine zdążył już wykrzyknąć całą prawdę.

Wkrótce ukazała się na krawędzi wykopu panna Sexton. Na jej twarzy malowała się zgroza.

- Kości? Znaleźliście kości? - spytała oskarżycielsko, jakby w ten sposób sprowadzili na Grim's End klątwę.

A może tylko przemawiał przez nią strach? Reynold otrzepał ręce i ruszył ku wyjściu z wykopu, by nie powiększać cierpień panny Sexton.

- Zbezczesziliście grób - powiedziała.

Reynold wyciągnął do niej rękę, nie przestając patrzeć jej prosto w oczy.

- Czego się obawiasz, pani? - spytał.

- Niczego - odparła. - Wszystkiego.

- To niemożliwe, żeby nic Więcej tam nie było - zaprotestowała Ursula.

Wpatrywała się w przedmioty, które włożyła do skrzyń, z nieskrywanym obrzydzeniem, które zresztą nie miało nic wspólnego ze znalezionymi kośćmi.

- A czego się spodziewałaś, legendarnego skarbu Sextonów? - spytała z pogardą Sabina.

Reynold nie mógł mieć do niej pretensji o takie zachowanie, ale podzielał rozczarowanie Ursuli. Nie był pewien, co spodziewał się znaleźć, ale skarb z pewnością pomógłby panie Sexton przenieść się gdzie indziej. Wyglądało jednak na to, że legendarny skarb jest równie nieprawdziwy jak miejscowy smok.

- Ale skarb leży pod grimem - upierała się Ursula. - Tak powiedział twój dziadek, pani.

- Co takiego?

Panna Sexton pobladła i zwróciła się ku służącej. Ursula zamrugła, dopiero teraz uświadomiwszy sobie swoje słowa.

- To nic takiego, pani, po prostu jeszcze jedna opowieść.

- Którą słyszałaś od mojego dziadka...

Ursula cofnęła się o krok i zaczęła wyłamywać sobie palce.

- Podśluchałam, pani. To pewnie było zwykłe majaczenie chorego człowieka.

- Chorego? Kiedy mój dziadek był chory, póki nie leżał na łożu śmierci!? - Jej twarz przybrała zacięty wyraz. - Ursulo, pomagałaś pielęgnować dziadka. Coś ty zrobiła?

- Nic, pani, przysięgam - odparła, wyraźnie poruszona. - Twoja matka prosiła mnie, żebym z nim posiedziała i w razie potrzeby ją zawołała. - Ursula spojrzała błagalnie na swoją panią. - On mamrotał do siebie. Większości nie rozumiałam i nawet nie zwracałam na to uwagi, chyba że akurat wzywał twoją matkę, pani. Raz jednak pochyliłam się nad nim. Widocznie pomyślał, że to ona, bo chwycił mnie za ramię ze zdumiewającą siłą. „Pamiętaj, że skarb jest pod grimem”, powiedział bardzo wyraźnie, patrząc mi prosto w oczy.

Ursula zadrzała.

- Potem opadł na posłanie, a ja pobiegłam po twoją matkę, pani - dokończyła.

- Dlaczego nigdy mi tego nie opowiedziałaś? - spytała panna Sexton.

- Prawdę mówiąc, całkiem o tym zapomniałam. Kiedy znalazłam twoją matkę, pani, wspomniałam jej o tym, ale ona zupełnie się tym nie zainteresowała. Powiedziała, że to wymysły chorego i mam się tym nie przejmować. No więc wyrzuciłam to z głowy. Przypomniałam sobie dopiero ostatnio.

- A więc to ty jesteś za to odpowiedzialna - powiedziała panna Sexton, szerokim gestem pokazując obraz zniszczenia wokół kopca.

- Nie, pani! Nie wspomniałam o tym Urbanowi - zapewniła, pociągając nosem.

- Komuś jednak powiedziałaś - nalegała panna Sexton.

- Tak, opowiadaliśmy wtedy stare historie, podobnie jak robił mój krewniak Gamel. W ogóle nie myślałam... - Ursula była bardzo zawstydzona. - To zresztą nie ma znaczenia, bo ten człowiek nie żyje.

Panna Sexton znów zbladła, a Reynold zaniepokoił się o jej samopoczucie. Poza tym uważał tę rozmowę za bezcelową.

- Peregrine, może odprowadzisz kobiety do dworu, żeby odpoczęły w zacienionym miejscu - zaproponował.

Chłopak skinął głową, ale panna Sexton zwróciła się do de Burgha.

- Pochowasz, panie, te kości jeszcze raz, prawda? I wszystko, co było razem z nimi?

Skinął posłusznie głową, a potem obserwował, jak idą w kierunku domostwa.

Wkrótce znowu skupił uwagę na dziurze w ziemi, sięgającej aż do dna statku, i pokręcił głową.

- Co teraz zrobisz, panie? - spytał Alec.

- Odłożymy z powrotem wszystko, co wykopaliśmy, a potem zasypujemy.

Sabina weszła do swojej izby, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Zmęczona i przygnębiona potrzebowała chwili samotności. Ursula zatrzymała się w wielkiej sali, i dobrze, bo Sabina nie była pewna, co myśleć o tym, co właśnie od niej usłyszała.

Lord Burgh uznał to za niedorzeczność, ale nie wiedział wszystkiego. Należało się zastanowić, czy wreszcie wszystkiego nie wyznać. Nie miała jednak ochoty powtarzać

całemu światu słów swojego umierającego ojca, więc gdy byli przy kopcu, milczała. Jakie to zresztą miało znaczenie, skoro znaleźli tylko kości umarłego.

Zadrzała. Starła się zapomnieć o zbeczeszczeniu grobu, ale niepokojące myśli natrętnie do niej wracały. Obudziły się stare lęki i przypomniała sobie o powrocie narzeczonego, o którym tak bardzo starała się zapomnieć.

Bezwładnie usiadła na jedynym krześle w swojej izbie i z trudem powstrzymywała się od płaczu. Spuściła głowę i chciała ukryć twarz w dłoniach, ale hałas sprawił, że rozejrzała się dookoła. Czyżby jej myśli miały siłę sprawczą? Z mroku wyłonił się Julian Fabre.

Sabina uniosła się z krzesła, krzyk wezbrał jej na wargach. Była przekonana, że widzi ducha albo, co gorsza, wytwór swojej wyobraźni, dowodzący, że naprawdę oszalała.

- Witam cię, kochana - powiedział, błyskając bielutkimi zębami, których każdy mógł mu pozazdrościć.

Zawsze był najprzystojniejszym mężczyzną we wsi, wszystkie kobiety uwielbiały jego czarną czuprynę i niesamowicie zielone oczy. On naturalnie wykorzystywał urodę, jak tylko mógł, uwodził i czarował, aby odwrócić uwagę od brzydoty ukrytej w swoim wnętrzu.

- Odebrało mowę, prawda? To chyba pierwszy raz - ironizował i podszedł bliżej. - W odróżnieniu od reszty kobiet mała Sabina zawsze miała swoje zdanie i wyrażała je stanowczo zbyt często.

Pannę Sexton ogarnęła panika. Nie teraz, pomyślała. Nie mogła stracić panowania nad sobą teraz, gdy potrzebowała wyjątkowej bystrości umysłu. Patrząc prosto na niego, zaczęła sobie przypominać, jak niedawno uspokoił ją lord Burgh.

- Całkiem cię zatkało? Nawet lepiej, bo dzisiaj to ja będę mówić.

Julian zaczął chodzić tam i z powrotem po niewielkiej izbie, jakby była dla niego za ciasna. Nie przypominał już chłopaka, którego kiedyś znała.

- Już myślałem, że straciłaś swojego dzielnego rycerza, kiedy zasypała go ziemia - powiedział. Wziął do ręki jej szczotkę do włosów ze srebrną rączką, jakby nagle bardzo

go zainteresowała, a potem zerknął na Sabinę spod przymkniętych powiek. - Uznałem, że czas, abym wkroczył i przejął tu dowodzenie.

Sabina głośno nabrała powietrza.

- Zaskoczona? Ja zawsze mam oko na to, co jest moje. Albo pilnuję, żeby robił to za mnie Urban.

- Urban! - szepnęła, wciąż bowiem trudno jej było uwierzyć, że lojalny rządca jej ojca mógł się zwrócić przeciwko rodzinie.

- Tak. To śmieć, ale potrzebowałem go, żeby dostarczał mi wieści w czasie, gdy musiałem przebywać w ukryciu - wyjaśnił Julian, wciąż nerwowo się przechadzając. - To bardzo miło z twojej strony, że wykonałaś za mnie tyle ciężkiej pracy, chociaż nie wiem, czy nie powinienem czuć się urażony nagłą odmianą w twoim sercu. Dlaczego odmówiłaś mi pozwolenia na rozkopanie tej górkę, a obcemu nawet pomagałaś?

Julian pokręcił głową, podkreślając wagę tego wyrzutu.

- Przez ostatnie miesiące musiałaś być zrozpaczona, bo nie wyobrażam sobie, żeby on miał większą siłę przekonywania niż ja.

Sabina gapiała się na niego i niczego nie rozumiała. Wyglądał pozornie tak samo jak wtedy, gdy widziała go przed wieloma miesiącami, ale ubranie, kiedyś bardzo porządne, miał znoszone i podarte, włosy długie i brudne.

- Wciąż milczysz. Teraz jednak będziesz musiała się odezwać, bo widzę, że twój dzielny rycerz zasypuje dziurę w ziemi. - Julian spojrzał jej prosto w oczy. - Gdzie wobec tego jest skarb?

- Nie ma żadnego skarbu - odparła znużonym tonem Sabina. - Już ci to mówiłam. W tym kopcu nie ma niczego oprócz szczątków zmarłego człowieka.

- Naprawdę? To byłoby przykre.

Sabina wreszcie doszła do siebie. To nie był duch, to nie było wyobrażenie, tylko człowiek z krwi i kości. Ktoś, kogo uważała kiedyś za ucieleśnienie swoich dziewczęcych marzeń. Tylko że on złamał wszystkie obietnice, wyrzekł się honoru i kazał Urbanowi ją szpiegować.

- Po co wróciłeś, Julianie? Czego chcesz?

- Myślałem, że to oczywiste, Sabino, ale ty nigdy nie umiałaś źle myśleć o ludziach, prawda? Ufna mała Sabinka. Taka naiwna. Uczciwa do mdłości. Pełna dobroci...

Palcem uniósł jej podbródek. Odtrąciła jego dłoń, czym bardzo go ucieszyła.

- Najpierw chciałem po prostu pozbyć się wszystkich, ale okazałaś się zbyt uparta - odezwał się znowu. - Głupia, uparta Sabinka, żyjąca marzeniami o honorowych rycerzach i sprawiedliwych wojnach. Potem doszedłem jednak do wniosku, że możesz być użyteczna.

- O czym ty mówisz? - spytała, choć serce podchodziło jej do gardła. - O co ci chodzi?

- To proste. Ja jestem tym Smokiem - wycedził przez zęby. - Ponieważ nie zgodziłaś się, żebym rozkopał tę górkę, mimo że tak ładnie cię prosiłem, musiałem znaleźć sposób, by zrobić to bez pozwolenia. Przyznaj, że plan był sprytny. Kiedy jednak nie chciałaś odejść, pomyślałem, że los chce nas znów do siebie zbliżyć. Uwierzyłem, że będziemy mogli się przyjaźnić, oczywiście kiedy już znajdę skarb, żebym był ciebie godny.

- Co takiego?! - Sabina zerwała się na równe nogi. - Myślisz, że majątek uczyniłby cię godnym mnie? Przychodzisz tu znienacka i zachowujesz się tak, jakbyś niczego złego nie zrobił. A ty napadłeś na moje włości, wypłoszyłeś ludzi i zabiłeś mojego ojca.

- Nie zabiłem...

- Zabiłeś! - krzyknęła i zobaczyła strach w oczach Juliana, ale nie mogła się powstrzymać. Serce biło jej gwałtownie, ale z wściekłości, nie ze strachu. - I tobie się здаje, że mnie poślubisz, że weźmiesz do swojego łóżka po tym, jak głęboko mnie skrzywdziłeś? Uważasz się za potwora? Jesteś zwykłym robakiem pełzającym po ziemi i kryjącym się w odchodach!

Ledwie to powiedziała, usłyszała cichy, znajomy ryk.

- Jeśli jesteś Smokiem, czyj ryk usłyszeliśmy? - spytała, mrużąc oczy.

Julian przechylił głowę na bok

- Wygląda na to, że jestem potrzebny gdzie indziej. Najpierw jednak powiedz mi, gdzie jest skarb - zażądał raz jeszcze.

- Nie ma żadnego skarbu! - krzyknęła Sabina.

Przez chwilę panowała idealna cisza, a potem usłyszała pukanie do drzwi.

Szybko odwróciła się i odciągnęła rygiel, obawiając się, że Julian jej w tym przeszkodzi. Zaraz potem ujrzała Peregrine'a z wyciągniętym mieczem. Bała się o giermka, więc nie chciała go wpuścić, ale gdy się obróciła, stwierdziła, że izba jest pusta.

Julian znikł tak samo niespodziewanie, jak się pojawił.

Reynold odłożył kości oraz wszystkie przedmioty do wykopu i zasypywał je ziemią, gdy usłyszał coś znajomego. Znajomego i niepokojącego. Ryk smoka. Wydrapał się na powierzchnię najszybciej, jak potrafił, i ostrożnie przesunął wzrokiem po niebie.

- Widziałeś coś? - spytał Aleca, który jako jedyny został przy kopcu.

Chłopak pokręcił głową. Reynold nie chciał zostawić go samego, obaj pospieszyli więc do dworu. Naturalnie wiedział, że żaden potwór z nieba im nie zagraża, ale mimo wszystko biegł pochylony, starając się trzymać jak najniżej na nogach, by w miarę potrzeby skryć się w wysokiej trawie. Wreszcie dopadli z Alekiem niewielkiego lasku na tyłach dworu.

Tam zatrzymali się. Reynold przyłożył palec do ust, nakazując milczenie. Chociaż nie spodziewał się zagrożenia, musiał przyznać, że przez ostatnie tygodnie stracił czujność.

Tak czy inaczej, spojrzenie z zarośli w stronę dworu uznał za rutynowy środek ostrożności, zdziwił się więc bardzo, gdy zauważył ciemną sylwetkę człowieka, schodzącego po murze z piętra. Chwilę potem człowiek ten stanął na ziemi i wtedy okazało się, że jest młody i niesamowicie przystojny, prawie jak brat Reynolda Stephen.

Pierwsze podejrzenie, że widzi złodzieja, odrzucił, mężczyzna bowiem schodził w miejscu, w którym na piętrze znajdowało się okno izby sypialnej panny Sexton.

- On wygląda jak Julian Fabre, syn kowala - szepnął z wielkim zainteresowaniem Alec i spojrzał na Reynolda. - Narzeczonej panny Sexton.

Te cicho wypowiedziane słowa zabrzmiały w uszach Reynolda jak armatni wystrzał. Ból, który go przeszył, był gorszy niż dotychczasowe cierpienia. Reynold nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

- Wracaj do domu - szepnął w końcu do Aleca. - Ja pójdę za nim.

Choć nie miał pojęcia, co intruz planował, nie zamierzał pozwolić, żeby człowiek, który według panny

Sexton nie żył, odwiedzał dwór, kiedy tylko mu się podoba.

Poczuł gniew i rozczarowanie. Znowu został wystrychnięty na dudka, pomyślał. A przez chwilę wierzył, że panna Sexton jest inna niż wszystkie kobiety. Ciekaw był, jak daleko się posunęła w swym kłamstwie.

Skrzywił się boleśnie. Nie pozostawało mu nic innego, jak pogodzić się z losem człowieka zdradzonego przez kochaną kobietę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sabina prawie zbiegła po schodach na dół, mając za sobą Peregrine'a. Chociaż chciała się schować, sypialnia nie wydawała jej się już bezpieczną kryjówką. Bezpieczeństwo mogłaby znaleźć jedynie przy boku lorda Burgha. W jego ramionach.

Wpadła do wielkiej sali, szarpana niepokojem.

- Czy wszystko w porządku, pani? - spytała Ursula, równie blada i wymizerowana.

- Słyszeliśmy ryk smoka i nie wiedzieliśmy, co robić. Co się stało?

Sabina pokręciła głową, starając się pokonać trudności z oddychaniem. Nie teraz, pomyślała z rozpaczą, nie wtedy, gdy de Burghowi może grozić niebezpieczeństwo. Ścisnąc Ursulę za ramię, skupiła się na myśli o nim, jego rosłej postaci i poczciwej twarzy.

- Ju-Ju-Julian. Był w mojej izbie - zdołała w końcu wybełkotać. - Fabre!

- Co? - spytała wstrząśnięta Ursula.

Adele wydała stłumiony okrzyk i powiedziała z wyrazem trwogi na twarzy:

- Myślałam, że on nie żyje. Czy to jego szczątki znajdowały się w kopcu?

- Nie, on nie jest duchem - odparła Sabina. - Żyje i ma się dobrze.

Aż za dobrze. Sabina głęboko odetchnęła, a tymczasem do wielkiej sali wbiegł Alec.

- Widzieliście Juliana? - spytał podniecony.

Panna Sexton odruchowo skinęła głową, ale patrzyła w przestrzeń za chłopcem. Niestety, nikogo tam nie zobaczyła. Alec przybiegł sam.

- Gdzie się podział lord Burgh? - zainteresowała się. - Sądziłam, że jesteście razem.

- Poszedł za Julianem - wyjaśnił Alec. - Zobaczyliśmy, jak wykrada się z domu, więc postanowił go śledzić.

Sabiną wstrząsnął strach. Naturalnie wierzyła w siłę i umiejętności lorda Burgha, ale Julian nie uznawał żadnych zasad. Był niebezpieczny i na pewno nie był sam.

- Usiądź, pani - zaproponował Peregrine, jakby odgadł jej myśli.

Ujął ją za ramię i zaprowadził do krzesła, na które Sabina bezsilnie opadła. Tymczasem giermek zgromadził pozostałych mieszkańców Grim's End wokół stołu.

- Zostajemy tutaj, ponieważ lord Burgh na pewno nie życzyłby sobie, żebyśmy się rozdzielili. W razie potrzeby możemy zejść do piwnicy albo wyjść na dach...

- Chcesz powiedzieć, że zostaniemy zaatakowani? - spytała bardzo zaniepokojona Ursula.

Peregrine pokręcił głową, a ponieważ wykazywał nie mniej rozwagi niż jego pan, wszyscy nieco się uspokoiли.

- Nie, ale musimy być przygotowani, więc proszę, abyście w razie potrzeby słuchali moich wskazówek. Tutaj zaczekamy na powrót mojego pana. Może przy okazji powiecie mi wszystko, co powinienem wiedzieć o naszym wrogu?

- Julian jest naszym wrogiem? - zdziwiła się Ursula. - Przecież nie...

Peregrine uciszył ją jednak, unosząc dłoń w geście zaobserwowanym u swego pana.

- Kim jest Julian Fabre? - spytał raz jeszcze.

Sabina wahała się, czy odpowiedzieć, ponieważ nie bardzo wiedziała, jak ubrać to w słowa. Na szczęście udzielił jej się spokój giermka, więc zdołała zebrać myśli. Nie zważając na pomrukiwania Ursuli, zaczęła:

- Julian jest synem naszego kowala. Zawsze był bystry i ambitny, więc we wsi wszyscy go lubili - stwierdziła, zerkając kątem oka na swoją służącą. - Początkowo zamierzał iść w ślady ojca, choć chciał ograniczyć się do wyrabiania zbroi - ciągnęła. - Jego zdaniem dostarczanie ekwipunku rycerzom było nobilitujące. Okazało się jednak, że to mu nie wystarcza, i sam zapragnął zostać rycerzem, postanowił więc wziąć udział w krucjacie króla Edwarda.

Sabina urwała i przez chwilę wpatrywała się w swoje dłonie, splecione na kolanach.

- Właśnie wtedy Julian poprosił mojego ojca, abyśmy mogli się pobrać. Oboje byliśmy bardzo młodzi, ale ojciec przyjął te oświadczenia, z tym że ślub miał się odbyć dopiero po powrocie Juliana.

Mężczyzna okazał się jednak pozbawiony wszelkich przymiotów charakteru i wkrótce pokazał swoją prawdziwą naturę.

- Julian jednak nie wrócił - kontynuowała. - Początkowo kował twierdził, że jego syn zaginął, więc czekaliśmy, ale w miarę upływu lat traciliśmy nadzieję. - Przy tym ostatnim słowie Sabina się skrzywiła. - Tymczasem do Grim's End zaczęły docierać opowieści, w których nie mówiono o wielkich czynach, lecz o nowo pasowanym rycerzu, który uciekł z pola walki, opuściwszy swoich towarzyszy.

- Kiedy? - zainteresowała się Ursula. - Nic o tym nie wspomniałaś.

- A dlaczego miałabym wspomnieć? - odparła Sabina. - W każdym razie nawet nie przeprosił za to, że tak długo nie było od niego wieści. Odparł wszystkie zarzuty, jak zwykle z czarującym uśmiechem, i zaczął opowiadać o złotej monecie, którą znalazł, gdy ukrywał się w ruinach niedaleko kopca. Powiedziałam, że mógł ją zgubić ktoś, kto tamtędy przechodził, on jednak upierał się, że jest tak, jak w historiach z dawnych lat: skarb leży pod grimem.

Ursula pochyliła głowę, najwidoczniej zawstydzona rolą, jaką odegrała w tej sprawie, tymczasem Sabina mówiła dalej

- Powiedziałam mu też, że nie mamy majątku, co powinien dobrze wiedzieć. A kiedy odmówiłam mu pomocy w bezczeszczeniu miejsca pochówku smoka i nie zgodziłam się porozmawiać na ten temat z ojcem, Julian... po prostu znikł.

Później Sabina bardzo starała się zapomnieć o jego istnieniu, ale mimo wszystko było to trudne.

- O ile mi wiadomo, Julian po powrocie nigdy nie spotkał się ze swoją rodziną, więc już powszechnie mówiono o jego śmierci.

- On jednak nie odszedł, tylko ukrył się w pobliżu i zaczął szkodzić swojej rodzinie i ludziom, których kiedyś nazywał sąsiadami.

Widząc zainteresowane spojrzenie Ursuli, Sabina rozłożyła ręce i wskazała ku schodom.

- Właśnie przed chwilą, gdy widziałam go na górze, nazwał się Smokiem! To on jest wszystkiemu winien. Napaściom na wieśniaków, na zwierzęta, na mojego ojca...

Sabina urwała, bo nie mogła dalej mówić. W wielkiej sali rozległ się krzyk trwogi.

Tylko Peregrine wydawał się przyjmować te nowiny z chłodnym spokojem.

- Pewnie nauczył się strzelać ognistymi pociskami, kiedy był w Ziemi Świętej, tak jak domyślał się lord Burgh. A ten drugi dźwięk... Mówicie, że był kowalem? To pewnie odgłos miecha.

- Na pewno nie - sprzeciwiła się Ursula.

- To musiałyby być bardzo wielki miech, zrobiony specjalnie do tego - powiedział Alec. - Ale rzeczywiście brzmiało to podobnie.

- Julian posłużył się starą legendą i wykorzystał ludzki strach - wyjaśnił Peregrine.

Sabina skinęła głową.

- Myślał, że wszyscy się wyniesiemy. A kiedy nie chciałam, kazał Urbanowi nas szpiegować.

- A to parszywiec! - powiedziała Ursula, prychnąwszy z obrzydzeniem. - Nigdy go nie lubiłam.

- Czy sądzicie, że to on namówił Urbana do kopania z nadzieją, że wtedy wykonamy pracę za niego? - spytał przytomnie giermek.

- To możliwe - przyznała Sabina. - Sama słyszałam jak się tym chełpił.

- Możliwe też, że Urban stracił cierpliwość i postanowił szukać na własną rękę - powiedziała Ursula.

- Po co jednak Julian przyszedłby tutaj i niepokoił cię, pani, jeśli wiedział, że nic nie znaleźliśmy? - zwrócił się Peregrine do Sabiny.

Pokręciła głową.

- Dzisiaj ciągle pytał mnie o skarb, chociaż wyraźnie mu powiedziałam, że cała praca poszła na marne.

Na moment w wielkiej sali zapadła cisza.

- On musiał sądzić, że coś wiecie - dopytywał się Peregrine.

- O czym? - spytała Sabina.

- O tej legendzie, która mówi, że skarb istnieje - stwierdził. - Pewnie dlatego pozwolił wam tu zostać Przypuszczał, że może od was potrzebować jakiejś informacji, którą trzymasz w sekrecie. Albo po prostu chciał, żebyście go zaprowadzili do skarbu.

- Do czego?! - Sabina wyraźnie była coraz bardziej rozdrażniona. - Już szukaliśmy pod grimem. Bez względu na to, czy oznacza to smoka, Grima Ponurego czy jakiś statek sprzed wieków, nic tam nie było. A ja nic więcej nie wiem.

- Może jednak wiesz, pani. Pomyśl - zachęcił ją Peregrine.

Sabina pokręciła głową, ale zamyśliła się. Przy okazji powtarzała to, o czym już rozmawiali.

- Tak, jak mówiła Ursula, skarb leży pod grimem. Tyle usłyszała od mojego dziadka, i to samo powiedział mój ojciec.

- Co dokładnie powiedział twój ojciec? - zainteresowała się Ursula. - I kiedy?

- Kiedy umierał, leżąc przed własnym domem, uderzony przez człowieka, którego chciał przyjąć jako syna...

Sabina poczuła ściskanie w gardle. Potrzebowała dłuższej chwili, by się opanować.

- Kazał mi przysiąc, że nie dopuszczę do upadku wsi - odezwała się znowu. - Że zajmę się jego domem i zaopiekuję dziedzictwem. I powiedział: „Gdybyś była w potrzebie... szukaj pod starym grimem”.

- Pod starym grimem - powtórzył Peregrine i spojrzał na nią w zadumie. - Jesteś pewna, pani, że powiedział „pod starym”?

Skinęła głową, chociaż jej irytacja się pogłębiała.

- A co za różnica? Wszystko tu jest stare. Grim's End powstało dawno, dawno temu.

Giermek wyraźnie się zadumał.

- Tak, ale jeśli były dwa smoki, starszy i nowszy?

- Jest tylko jeden kopiec - odparł Alec.

- Tak, ale o kopcu nic tu nie ma, jest tylko mowa o grimie, i właśnie to słowo jest przekazywane wśród Sextonów z pokolenia na pokolenie - zauważył Peregrine. - Gdzie jeszcze może być grim?

Na wzmiankę o Sextonach Sabina głośno nabrała tchu.

- Kościół - powiedziała. - Sextonowie zawsze opiekowali się kościołami, a smok zdołał ścianę obu, nowego i starego.

Ursula zerwała się z miejsca.

- To musi być ukryte w ruinach, tam gdzie Julian znalazł monetę.

Alec również wstał i już szedł w stronę zapasowych narzędzi, których używali, pracując przy kopcu.

- Chodźmy sprawdzić! - zawołał.

Sabina zerknęła na Peregrine'a, który jednak nie chciał robić niczego bez wiedzy lorda Burgha.

- Powiedziałeś nam, że mamy tutaj zostać.

W odróżnieniu od swego pana, który zawsze sprawiał wrażenie zdecydowanego, Peregrine wydawał się wahać.

- Możemy zerknąć, póki twój narzeczony, pani, jest daleko.

- On nie jest moim narzeczonym - powiedziała z naciskiem Sabina i wstała z krzesła.

Zdążyła już pożałować, że nie zachowała słów ojca dla siebie, nie widziała bowiem sensu w tym, by powracać do przeszłości.

Ursula jednak już szła w stronę drzwi, a Peregrine choć jego postawa niewątpliwie zasługiwała na uznanie, wciąż był na tyle chłopcem, że chętnie zabrałby się razem z Alekiem do poszukiwań. Tylko Sabina zdawała się ociągać. Bała się, że odkryją kolejne ludzkie szczątki, tym razem w poświęconej ziemi.

- Gdzie jest lord Burgh? - spytała. - Co będzie, jeśli wróci i nas nie zastanie albo jeśli będzie potrzebował pomocy?

Peregrine wyraźnie nie podzielał jej niepokoju, bo uśmiechnął się do niej krzepiąco.

- Lord Burgh umie o sobie zadbać.

Mimo wszystko, gdy wyszli z wielkiej sali, Sabina nieustannie rozglądała się dookoła i z każdym krokiem miała coraz gorsze przecucia. Może nawet zatrzymałaby ich,

gdyby była pewna, że jej obawy są uzasadnione, a nie są wytworem jej szalonego umysłu. Częste ataki paniki sprawiły, że nie ufała już swojemu instynktowi.

Szła więc ze wszystkimi, a Alec prowadził. Wkrótce z wielką łatwością przeskoczył przez rozwalony murek, będący pozostałością ściany, i zaczął przeczesywać wnętrze, rozgarniając wysokie trawy, by zdecydować, w którym miejscu najlepiej kopać.

- Smok jest tutaj, tylko na zewnątrz - powiedziała Ursula, wskazując jedyną ścianę, która stała prawie nietknięta.

Sabinę przeszył dreszcz. Czy to miało jakieś znaczenie? Często zdarzało jej się myśleć, że jeśli nawet wszystko w Grim's End obróci się w ruinę, smok pozostanie. Okazało się jednak, że smoka w kopcu nie ma, tylko statek i kości martwego człowieka.

- W środku też jest grim - powiedział Alec.

Peregrine stał już przed mniejszym rytem.

- „Żałujcie i wypatrujcie swojej nagrody” - przeczytał na głos, zwracając się do Sabiny, jakby te słowa kryły znaczenie, które tylko ona umie odnaleźć. - Może właśnie to jest wskazówka?

Sabina pokręciła głową. Zawsze widziała w tym napomnieniu tylko znaczenie religijne, ale teraz słowo „nagroda” i jej wydało się mieć nowy sens. Westchnęła niespokojnie, a Peregrine, widząc tę reakcję, odwrócił się i zaczął kopać dokładnie poniżej inskrypcji.

Panna Sexton usiadła na pieńku, z dala od ludzi i ruin, i próbowała opanować narastającą panikę. Gdyby tylko wrócił lord Burgh...

Jak długo będą musieli się męczyć, zanim wszyscy uznają, że nie ma żadnego ukrytego złota w Grim's End? A może przeniosą się potem w jeszcze inne miejsce? Sabina zmarszczyła czoło, bo następny w kolejce musiał być kamień graniczny.

Przez chwilę oddawała się właśnie takim rozmyśleniom, niespodziewanie jednak wyrwał ją z nich okrzyk Aleca. Ursula i Adele podbiegły do Peregrine'a, ale Sabina, mimo że słyszała ich zachwyty, wciąż bała się zbliżyć. Nie była bowiem pewna, czy po prostu nie zbezczeszczono czyjegoś grobu.

Wnet jednak wszyscy się rozstąpili i zgodnie spojrzeli w jej stronę, więc w końcu musiała wstać i podejść do ściany. Na ziemi nie dostrzegła niczego godnego uwagi, ale

Peregrine trzymał w dłoni element złotej biżuterii, a zachodzące słońce roziskrzyło klejnot.

Podał jej znalezisko. Zacisnęła na nim dłoń i poczuła, że uginają się pod nią kolana. Nie powiedziała ani słowa, tylko usiadła na kamieniu, żeby dokładniej obejrzyć drogocenny przedmiot.

Sabina rozumiała jednak, że pojedyncza sztuka biżuterii to jeszcze nie skarb. Mógł to być dar dla kościoła lub czyjaś zguba, choć była pewna, że nikt w Grim's End nigdy niczego podobnego nie miał.

Sabina uznała jednak, że znalezisko, choć nie olśniewało rozmiarami, pozwoli jej na zapłacenie lordowi Burghowi za wszystko, co dla nich zrobił, a może nawet zostanie jeszcze trochę pieniędzy do podziału między wieśniaków. Odkąd wiedziała, że to Julian celowo zniszczył Grim's End, nie była pewna, czy uda jej się kiedykolwiek odnowić to miejsce...

Krzyk Aleca oderwał ją od ponurych rozważań, a ledwie zdążyła wstać, rozległ się ponownie. Było już jasne, że natrafili na znacznie więcej niż jeden cenny przedmiot.

Sabina przyglądała się oszołomiona, a tymczasem Peregrine rozkładał na trawie zdobycz: różne przykłady egzotycznej biżuterii, sakiewkę ze złotymi monetami, złote klamry, komplet srebrnych talerzy, jakich Sabina nigdy nie widziała, jeszcze jakąś monetę, złoty pierścionek, złote królewskie berło, lirę oraz srebrne i złote zapinki. Skarb był rzeczywiście bajeczny.

- Co to jest? I dlaczego tutaj? - spytała.

Wszyscy zamarli, patrząc na bezcenne znalezisko, ale w końcu Alec odzyskał głos.

- Gamel nieraz opowiadał nam historie o wielkim królu pochowanym z całym swoim majątkiem, więc może to wszystko należało do tego króla?

- Miał grób w kościele? - zdziwiła się Sabina i przeszył ją dreszcz.

- Miał grób w kopcu - poprawił ją Peregrine. - To pewnie rzeczywiście jest skarb królewski, ale został już dawno przeniesiony, może jeszcze zanim znalazł się w ziemi.

- Chcesz powiedzieć, że moi przodkowie rabowali groby? - spytała wstrząśnięta Sabina.

- Wątpię, czy prawdziwy złodziej schowałby te rzeczy ponownie i pozostawił tak oczywisty dowód swojej działalności - stwierdził giermek. - Może twój przodek nie uznawał pogańskich pochówków, więc przeniósł te kosztowności, by w przyszłości mogli z nich skorzystać mieszkańcy Grim's End?

- Czy to nie piękna historia?

Na dźwięk głosu Juliana Sabina się wzdrygnęła i upuściła błyskotkę. Julian wyłonił się zza rogu walącej się ściany. W dłoni trzymał miecz.

- To uwalnia Sextonów od posądzeń o nieczne postęпки i pozwala tym nielicznym mieszkańcom, którzy zostali, rościć sobie prawo do całego skarbu - powiedział Julian pogardliwie. - Obawiam się jednak, że w tej sytuacji ja wszystko wezmę, więc nie będziecie mieli problemów z podziałem. Chodź ze mną, Sabino, a może odstąpię ci część nieuczciwie zdobytego przez twoją rodzinę majątku. W końcu czekałaś na to dostatecznie długo.

- Nigdzie z tobą nie pójdę - syknęła. - Dla mnie jesteś martwy!

- Surowe słowa z ust narzeczonej - powiedział Julian. - Tylko bystrość umysłu ocaliła mnie przed pewną śmiercią w miejscach, których nazw nawet nie potrafiłabyś wymówić.

- To znaczy, że źle ci ta bystrość posłużyła - odparła Sabina. - Lepiej byłoby dla ciebie honorowo zginąć w Ziemi Świętej, jak przystało wielkiemu rycerzowi niż złamać przysięgę.

Podczas tej przemowy Sabiny Peregrine wykonał taki ruch, jakby chciał dobyć miecza, ale Julian zrobił krok naprzód i ostrzegł giermka:

- Nie prowokuj mnie, chłopcze. Wciąż boli mnie noga tam, gdzie mnie dźgnąłeś.

Peregrine otworzył usta z wrażenia.

- To ty! Ty napadłeś na nas na drodze!

- Pewnie pamiętasz, że ze mną nie ma żartów - odpowiedział natychmiast Julian.

- Pamiętam zupełnie co innego. Lord Burgh bez trudu cię pokonał - powiedział z pogardliwą miną Peregrine.

- Mógłbym z tym dyskutować, ale szkoda czasu - oświadczył Julian. - Twojego dzielnego rycerza tutaj nie ma, prawda?

- Bardzo się mylisz.

Sabina omal nie upadła z wrażenia. Lord Burgh wyszedł z cienia rzucanego przez jedyną zachowaną ścianę kościoła i stanął przed Julianem, odgradzając go od mieszkańców wsi. Sabina miała jeszcze dość rozsądku, by wycofując się, pociągnąć za sobą innych. Należało trzymać się z dala od Juliana na wypadek, gdyby próbując się ratować, chciał wziąć zakładników.

Peregrine, rozumiejąc jej zamiar, pokazał, by ukryli się za resztkami muru, a tymczasem Julian i lord Burgh usiłowali zająć jak najlepszą pozycję do ataku, krążyli więc naprzeciwko siebie z wyciągniętymi mieczami.

- I znów się spotykamy - powiedział Julian. - Proszę pozwolić, że się przedstawię. To ja jestem smokiem.

Jeśli sądził, że odbierze tym śmiałość przeciwnikowi, to grubo się mylił. Lord Burgh nie okazał najmniejszego zaskoczenia. Cały czas mierzył Juliana ponurym wzrokiem.

- A ja jestem wilkiem - odparł. - Smoki nie istnieją, za to wilk atakuje po cichu i jest śmiertelnie niebezpieczny. Z wilkiem trzeba się liczyć.

Sabina zerknęła na Peregrine'a.

- Wilk jest w herbie de Burghów - szepnął chłopak.

Julian parsknął śmiechem, jakby rozbawiła go przemowa lorda Burgha.

- Nic do ciebie nie mam, panie.

- Ale ja mam do ciebie, bo to ty odpowiadasz za wygnanie ludzi z Grim's End - powiedział Reynold.

Julian skinął głową, jakby przyjął pochwałę.

- Ukrywałem się przez kilka dni w ruinach, zastanawiając się nad swoją przyszłością, gdy los nagle się do mnie uśmiechnął, dając mi złotą monetę. Niestety, natknąłem się na Urbana. Ale biedak, niezadowolony ze swojego losu rządcy, okazał się dość chciwy. I zapragnął mieć udział w znalezionym skarbie.

Sabina widziała, że Julian, mówiąc, powoli zmienia pozycję. Chciała krzyknąć do lorda Burgha, żeby go ostrzec, ale giermek ostrzegawczo ścisnął ją za ramię. Bo również Reynold był cały czas w ruchu i zupełnie nie zwracał uwagi na gadaninę Juliana.

- Najpierw straszylem ich miechem. Łatwo mi było go zbudować z materiałów, które odziedziczyłem po ojcu - wyjaśnił Julian. - Sabina pewnie pamięta, że kiedyś ojciec skarżył się na złodziei...

I nie bez powodu, pomyślała Sabina, bo John Fabre był porządnym człowiekiem.

- Zabijałem i uprowadzałem zwierzęta z pomocą Urbana, który we właściwym czasie otwierał bramy albo ostrzegał mnie, gdy ktoś czuwał. Kazał też wszystkim się chować, gdy nadciągał smok. To było całkiem proste, tych głupców łatwo było nabrać. Kilka słów rzuconych we właściwej chwili, kilka krwawo zarżniętych zwierząt i od razu uciekali.

- Prędzej czy później musieli jednak zauważyć, że nikt tak naprawdę tego potwora nie widział - powiedział de Burgh.

- Właściwie nie - odparł Julian. - Zawsze są tacy, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę. Oni właśnie rozpowiadali, że smoka widzieli. Tych najbardziej upartych wypłoszyłem smoczym ogniem. Czegoś się jednak nauczyłem podczas swoich podróży...

- Mogłeś spalić całą wieś - powiedział lord Burgh, nie tracąc przeciwnika ani na moment z oczu.

- Tak byłoby pewnie prościej.

- Ale ty chciałeś jeszcze czegoś innego - powiedział lord Burgh.

- Nie czegoś, tylko kogoś. Im dłużej Sabina opierała się, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że może mi się przydać - powiedział Julian i nagle rzucił się naprzód.

De Burgh łatwo jednak sparował cios, a Julian z uśmiechem odskoczył do tyłu.

- Widzę, że mała Sabinka w końcu znalazła swojego rycerza. Tak długo tęskniła za bohaterami romansów i wreszcie trafił jej się ktoś szlachetny i honorowy. Krótko mówiąc, postać, która nie ma nic wspólnego z prawdziwymi ludźmi i prawdziwymi bitwami.

- To raczej ty masz niewiele wspólnego z ludźmi - odparował Reynold.

Julian skrzywił się.

- Tak, wiem już na pewno, że znalazła swojego rycerza - powiedział. - Szkoda, że kalekę.

Sabina syknęła, bo Julian znowu zamachnął się mieczem, ale de Burgh bezbłędnie uniknął ciosu i dalej czekał na okazję do kontrataku.

Znów ciszę popołudnia rozdarł brzęk kling i Sabina zorientowała się, że Julian, choć drobniejszej budowy, jest szybszy, bardziej ruchliwy i zręczniejszy, a obelgami chce odwrócić uwagę przeciwnika. Za to de Burgh był twardszy, pewniejszy i niewzruszony. Miał więcej siły... dopóki nie zawiedzie go noga.

Ta myśl całkiem odebrała jej spokój i obudziła panikę. Nie teraz, myślała gorączkowo, przecież on może zaraz zginąć. Próbowwała opanować się, ale gdy głownia miecza rozcięła powietrze zbyt blisko jego głowy, Sabina poczuła, że więcej nie zniesie.

Zaczęła się trząść, robiło jej się na przemian gorąco i zimno, dusiła się. Przyklękła na trawie, chwytając ustami powietrze, a Peregrine i Ursula podtrzymywali ją, próbując jakoś pomóc. Nikt jednak nie był w stanie niczego zrobić oprócz lorda Burgha. Tymczasem Sabina odczuwała coraz większą panikę i w końcu jej charczenie usłyszeli walczący mężczyźni.

- Co się stało, Sabino? - zawołał Julian. - Boisz się, że skrzywdzę twojego dzielnego rycerzyka?

Na wcześniejsze prowokacje Juliana lord Burgh w ogóle nie zwracał uwagi, teraz jednak zerknął w stronę Sabiny. Na to czekał Julian. Oburącz uniósł miecz i zamachnął się, celując w szyję, aby ściąć przeciwnikowi głowę.

Sabina zmartwiła, de Burgh zrobił unik, ale miecz trafił go w ramię i przeciął tunikę, na której został krwawy ślad.

Sabina przed oczami miała mgłę. Nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje. Słyszała tylko chełpliwe okrzyki Juliana, a potem znowu brzęk mieczy. Nagle Julian przebiegle zamachnął się nogą, chcąc podciąć przeciwnika. Reynold cudem zdążył z unikiem, a Julian stracił równowagę i runął na trawę.

Zanim Sabina zorientowała się w sytuacji, de Burgh przydepnął nadgarstek Juliana i przytknął mu miecz do szyi, wzywając go do poddania się. Widząc, że jest po walce, odetchnęła swobodniej. Wtedy jednak zauważyła błysk metalu w lewej ręce Juliana. Było to niezwykle, śmiertelne narzędzie, wymyślone tak, by klinga mogła wnikać między kółka kolczugi.

Krzyknęła, Julian wykonał pchnięcie, a de Burgh znowu wykonał unik i nóż, zamiast wbić mu się w brzuch, rozpruł sakiewkę przy pasie, z której posypały się na twarz leżącego Juliana drobinki jakiegoś proszku, a ten zaczął przeraźliwie krzyczeć.

- Co to jest? Ług? - spytał wstrząśnięty Alec.

- Nie wiem - odparł cicho Peregrine. - Dały mu to panie l'Estrange, więc może być magiczne.

Bez względu na to, czy zawartość sakiewki była zwykłym ługiem czy magiczną substancją, musiała parzyć, bo Julian zaczął wymachiwać rękami, jakby chciał strząsnąć proszek z twarzy. Nagle szarpnął się, zasłaniając oczy, i nadział na swój własny nóż, który wbił mu się głęboko w szyję. Zdołał jeszcze się poderwać i przewrócić de Burgha. Obaj tarzali się teraz po ziemi.

Sabina odwróciła głowę, żeby na to nie patrzeć. Okazało się, że w samą porę, ujrzała bowiem Urbana, szarżującego z widłami w dłoni. Biegł prosto na nią. Nie miała siły się odsunąć, bezwolnie wpatrywała się więc, jak zbliża się do niej śmierć. Nagle poczuła mocne pchnięcie i potoczyła się w bok. Cios przyjął na siebie Peregrine.

Widok młodego giermka leżącego bezsilnie, przywrócił jej siły. Próbowwała chwycić za widły, ale rządcą wymachiwał nimi jak opętany. Kątem oka zauważyła, że Alec wskoczył Urbanowi na plecy.

- Złaź ze mnie! - warknął Urban. - Musimy zabrać, ile możemy, zanim nadjedzie reszta. Dlatego dmuchałem w miech, żeby was wszystkich ostrzec.

- Żeby ostrzec Juliana - powiedziała Ursula i razem z Adele zaczęły rzucać w rządcę kamieniami.

Alec w porę zeskoczył, trafiony Urban stracił równowagę i upadł prosto na solidny głaz. Sapnął ciężko, i to był jego koniec.

Panna Sexton głęboko odetchnęła i przez dłuższą chwilę nie była w stanie się ruszyć. W końcu poderwał ją nowy hałas. Odwróciła się i ujrzała zbliżającą się grupę jeźdźców.

- To o nich mówił Urban - powiedział Alec, wytrzeszczywszy na nich oczy.

Jeźdźców było kilkunastu, wszyscy w lśniących zbrojach. Przemknęli jednak obok, zupełnie niezainteresowani nimi i skarbem.

Dowodzący powściągnął konia dopiero w miejscu, gdzie zakrwawiony de Burgh leżał obok zwłok Juliana.

- Hola, braciszku, przyjechaliśmy ci pomóc - powiedział jeździec. Uniósł przyłbicę hełmu i oczom obecnych ukazała się przyjemna twarz o rysach podobnych do Reynolda.

- I co ty na to?

Sabina nawet nie miała już siły westchnąć, gdy de Burgh uniósł się nieco na łokciu i z wysiłkiem powiedział:

- Mogliście trochę bardziej się pospieszyć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Reynold spojrzął z uśmiechem na Sexton Hall, który nie był już pusty, bo wypełniali go mieszkańcy Grim's End, ludzie de Burghów i jego bracia. Bez wątpienia nigdy nie przeżył równie przyjemnego powitania, jak wtedy gdy leżał ranny na ziemi, a jego brat Dunstan pochylił się nad nim i zaoferował pomoc. Początkowo Reynold myślał, że śni, zresztą gdy odpowiedział bratu, zaraz stracił przytomność.

Teraz był znów przytomny, zdrowy i siedział na ławie przy długim stole, a panna Sexton klęczała obok niego i opatrywała mu ramię. Przez wiele tygodni spędzonych w opuszczonej wsi stęsknił się za tym, na co kiedyś narzekał - za ludźmi, rozmowami i rodziną.

I wszystko to miał na miejscu. Podobno Champion sprzeciwiał się wyjazdowi wszystkich braci jednocześnie, ale nikt nie chciał zostać w domu. Jako najstarszy poprowadził wyprawę Dunstan, a to oznaczało, że albo Simon dojrzał, od czasu gdy się ożenił, albo oba przez całą drogę brali się za łby.

- Skąd wiedzieliście, gdzie mnie znaleźć? - spytał Reynold.

Postawił to pytanie w gwarze rozmów, ale słysząc jego głos, wszyscy zamilkli.

- Powinieneś być rozsądniejszy i nie szukać znajomości wśród miejscowych - odpowiedział lekceważąco Simon.

- Przecież tu nie ma nikogo oprócz panny Sexton i garstki mieszkańców - odparł Reynold. - Tylko oni zostali w Grim's End.

Stephen zadrzał, jakby naiwność brata przyprawiła go o ciarki.

- Niby tak, ale postanowiłeś poskarżyć się Cyppe'emu.

Dopiero po chwili przypomniał sobie swoją wizytę w Baderton, gdzie zamówił łańcuch dla smoka i próbował porozmawiać z właścicielem dworu.

- Przecież tam w ogóle z nikim nie rozmawiałem. Zostałem odprawiony od bramy.

- De Burgh odprawiony! - mruknął Robin.

- Głupcy! - powiedział Dunstan.

- On nie wiedział, z kim ma do czynienia - rzekł Simon i skrzywił się z pogardą.

- Co takiego? Wolniej - zażądał Reynold.

- Ktokolwiek odprawił cię od bramy, musiał zameldować o tym lordowi Cyppe'emu, który z kolei wysłał list do naszego ojca i przykazał mu, by nie mieszał się do jego spraw - wyjaśnił Geoff.

- Co takiego?! - zawołał Reynold i wybuchnął śmiechem.

- No tak, sam napytał sobie biedy - dodał Nicholas.

- Ojciec, naturalnie, się zainteresował - powiedział Geoffrey.

- Naturalnie.

- Zwrócił się więc do swojego przyjaciela Welshama.

- Do hrabiego Welsham? - spytał Reynold.

Geoffrey skinął głową.

- Tak się złożyło, że Welsham jest akurat seniorem Cyppe'ego, więc sprawdził to i owo i stwierdził, że na jego ziemiach nie dzieje się dobrze.

- Wyobraź sobie jego niezadowolenie - wtrącił Stephen. - Welsham na wojnie w Walii walczy za swój kraj, a tymczasem Cyppe zaniedbuje obowiązki, bawi się na dworze i przepuszcza majątek seniora.

- Dlatego Welsham pozbawił Cyppe'ego lenna - powiedział Dunstan z uśmiechem.

- I wszystko dzięki tobie, bracie.

- Jeśli to zwróci jego uwagę na los ludzi, to się cieszę - dodał Reynold.

Gdy to mówił, poczuł, że dłonie panny Sexton nagle zadrzały. Uświadomił sobie, że wraz ze śmiercią smoka jego pobyt w Grim's End stał się bezzasadny. Bracia będą oczekiwać, że wróci z nimi... do domu w Campion.

Reynold chciał coś powiedzieć, ale wtedy odezwał się najstarszy z braci:

- Skoro mamy urządzić tu ucztę, potrzebujemy więcej żywności niż ta, którą z sobą przywieźliśmy - powiedział Dunstan, który zwykle jadł za dwóch i sam byłby pewnie w stanie przejeść za jednym razem całe zapasy wsi. - Może wybiorę się jutro do tego Baderton.

Niektórzy z braci wyrazili chęć wzięcia udziału w tej wyprawie, co dało Reynoldowi okazję, by zostać w Grim's End przynajmniej jeszcze przez jeden dzień...

- To dobry pomysł - zgodził się z bratem. - Przy okazji wstąpcie do kowala.

I znów pannie Sexton zadrżały dłonie, ale nie powiedziała ani słowa, a Dunstan tylko skinął głową, całkiem nieświadom napięcia panującego między nimi.

- Dziękuję, bracie - odpowiedział Reynold. - Aha, lepiej weź z sobą wóz.

- Co tak rozzłościło Dunstana? - spytał Nicholas.

Chociaż najmłodszy de Burgh nie pojechał do Baderton, przez cały dzień był niespokojny, a teraz stał przy oknie w wielkiej sali i wypatrywał powrotu innych.

Udając niewiedzę, Reynold dołączył do brata. Zobaczył, że Dunstan właśnie zatrzymał swój orszak przed dworem i zeskakuje z konia.

Ukrywając uśmiech, wyszedł braciom na spotkanie, a za nim Nicholas i ci, którzy zostali w Grim's End. Dunstan stanął wsparty pod boki i spojrzał bykiem na Reynolda.

- Przywiozłem, ale nie mam pojęcia, co zamierzasz z tym zrobić - oświadczył.

Reynold wybuchnął śmiechem, a wszyscy zgromadzili się wokół wozu, na którym leżał tak wielki łańcuch, że trudno było wyobrazić sobie jego zastosowanie. Żałował, że Peregrine nie może w tej chwili ich zobaczyć.

- Może powiesz go sobie nad drzwiami jako ostrzeżenie dla wszystkich, którzy wchodzi - zaproponował Nicholas, mierząc wzrokiem dwór.

- Pewnie spadłby i kogoś zabił - stwierdził oschle Stephen.

Reynold zmarszczył czoło, zaskoczony uwagą na temat swoich drzwi. Czyżby oczekiwali od niego, że zawiezie ten łańcuch do Campion? Stracił humor i bez słowa wrócił do wielkiej sali, gdzie wkrótce wszyscy zamierzali zrobić dobry użytek z jada przywiezionego przez Dunstana.

Gdy przyrządzono posiłek i stół ugiął się już od potraw, Reynold zwołał wszystkich do wielkiej sali, nawet tych, którzy mieli usługiwać przy uczcie, a Peregrine'a zniesiono z góry i posadzono na honorowym miejscu. Wydawał się zdziwiony, ale także zadowolony, gdy zajął miejsce na krześle ojca panny Sexton, które od dawna stało puste.

Potem Reynold wstał i zwrócił się do obecnych.

- Mieszkańcy Grim's End, moi bracia i wy wszyscy, którzy im towarzyszyacie, chcę abyście byli świadkami tego doniosłego wydarzenia. Jako de Burgh, syn Fawke'a, hrabiego Champion, a zarazem rycerz, staję tutaj, aby udzielić pochwały mojemu giermkowi, Peregrine'owi l'Estrange, za odwagę w boju, bystrość, siłę i umiejętność władania orężem, lecz przede wszystkim za jego wielkie serce.

Giermek spojrzał na niego zaskoczony, a Reynold, któremu nagle zaschło w gardle, wyciągnął miecz.

- Pasuję go przeto na rycerza.

Oszupiała mina Peregrine'a sprawiła, że Reynold z trudem opanował uśmiech. Zwrócił się jednak do młodego człowieka z całą powagą, na jaką było go stać:

- Czy będziesz stosować się do przykazań, przestrzegać praw Bożych, czy unikniesz zdrady i składania fałszywych świadectw? Czy będziesz otaczał szacunkiem wszystkie kobiety, zawsze gotów nieść pomoc w potrzebie?

Peregrine uśmiechnął się od ucha do ucha, bez wątpienia mając w pamięci ich wysiłki, by pomóc damie w tarapatach, czyli inaczej mówiąc, pannie Sexton.

- Tak - powiedział.

- Zatem jako członek zakonu, rycerz bez skazy, będziesz nosił imię sir Peregrine.

Giermek chwiejnie wstał z pomocą Aleca, który ostatnio nie odstępował go ani na krok, i w sali rozległy się wiwaty. Gdy wreszcie ucichły, wystąpiła naprzód panna Sexton, uniosła kufel i krzyknęła:

- Niechaj zacznie się ucza.

Reynold zajął miejsce na ławie w pobliżu szczytu stołu i przyglądał się zgromadzeniu z taką dumą, jakby sam był tu panem. Sam jednak jadł mało i większą część tego, co było na tacy, którą dzielił z Simonem, zostawił bratu.

- Trochę nieswój, co? - spytał Simon ze znaczącym uśmiechem. - Nie możesz jeść ani spać?

- Nie, wszystko dobrze - odparł, chociaż ramię wciąż nieznośnie go piekło.

Simon zerknął na miejsce, gdzie obok Peregrine'a siedziała panna Sexton.

- No tak - mruknął.

Nie chcąc wdawać się w długą dyskusję z najmniej wrażliwym z de Burghów, Reynold wkrótce wstał z ławy, by sprawdzić, co u Peregrine'a, który, choć usatysfakcjonowany, wydawał się zmęczony i zbolący. Panna Sexton również zapewniła, że dochodzi do siebie, ale Reynold nie krył zaniepokojenia.

- Jeden z moich braci zaniesie cię na górę - powiedział, wskazując z kwaśną miną swoje ramię, do którego nie miał jeszcze dostatecznego zaufania, by dźwigać taki cenny ciężar.

- Musisz wrócić na łóżko, panie - powiedział Peregrine. - A ja zajmę z powrotem swoje posłanie.

- Niedorzeczność - oświadczył Reynold. - Wolę spać w wielkiej sali razem z braćmi.

To była prawda. Im dalej znajdował się od panny Sexton, tym lepiej.

- Dziękuję ci, panie - odparł Peregrine. - I za to też dziękuję.

Na kolanach Peregrine'a leżał krótki miecz, symbol jego nowego statusu.

- To ja dziękuję.

Reynold powiedział to całkiem szczerze. Gdyby nie szybki refleks i poświęcenie jego giermka, panna Sexton mogłaby już nie żyć. O tym nawet nie mógł myśleć, podobnie jak o swoich ohydnych podejrzeniach co do Juliana Fabre'a. Teraz wstydził się tego, bo przecież panna Sexton nieraz pokazała, że zasługuje na jego miłość. Gdyby tylko on był godny jej miłości...

Spojrzał ku niej, jakby chciał się upewnić, że jest cała i zdrowa. Siedziała wyprostowana, włosy lśniły jej w blasku świec bardziej niż najwspanialszy skarb. Czy można się dziwić, że uległ jej urokowi?

- Teraz, gdy zostałeś rycerzem, będziesz mógł łatwiej zalecać się do damy miłej twojemu sercu - zażartował.

Reakcja Peregrine'a okazała się jednak nieoczekiwana. Wyraz sprzeciwu na jego twarzy wydał się Reynoldowi niemal komiczny. Czyżby chłopak zdziwił się, że ktoś zauważył jego głęboko ukrywane zauroczenie?

- Ona nie jest... - zaczął. - Chcę powiedzieć, że panna Sexton jest bardzo ładna, ale stara i nijak nie równa się urodą z Celią, dójką u mnie w domu.

- Co ty mówisz? - zdumiał się Reynold. - Myślałem... Tak bardzo się o nią troszczyłeś...

Spojrzenie Peregrine'a jasno mu powiedziało, że został uznany za głupka.

- Troszczyłem się o nią, bo byłem pewien, że jest stworzona dla ciebie, panie - wyjaśnił chłopak. - Zawsze to wiedziałem, bo przecież na swojej niebezpiecznej wyprawie miałeś zdobyć rękę damy w tarapatach.

Słyszając tę nedorzeczność, Reynold zmarszczył czoło. Nie wierzył w przepowiednie sióstr l'Estrange, mimo że otrzymana od nich w podarunku sakiewka z ługiem prawdopodobnie uratowała mu życie. A co do panny Sexton...

- Ona zasługuje na kogoś lepszego - mruknął.

- Ona mówi to samo o tobie, panie. Że nie powinien spadać na ciebie ciężar zajmowania się kimś, kto jest tak doświadczony przez los jak ona. Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi.

Spojrzał na Reynolda tak, jakby rozumiał z tego wszystkiego mniej niż z najdziwniejszej historii o smokach.

- Ależ z was para - dodał. - Każde myśli, że nie jest dość dobre dla tego drugiego!

Długo po tym, jak uczta się skończyła i wszyscy mieszkańcy Grim's End oraz ludzie de Burghów ułożyli się do snu na posłaniach w piwnicach, bracia wciąż siedzieli przy stole, mając przed sobą kufle piwa.

Rozmawiali, a Reynold przysłuchiwał się w milczeniu, jak dzielą się swoimi radościami, opowiadają o żonach, dzieciach i codziennych zajęciach. W końcu jednak rozmowa wygasła, tak jakby przeszkadzał temat, którego nikt nie chce podjąć.

W końcu najstarszy z braci, Dunstan, powiedział:

- Uczta była wspaniale przygotowana, Reynoldzie, ale nie wydaje mi się, żeby miejscowe zapasy pozwalały nam tu długo zostać. Skoro zyskaliśmy pewność, że u cie-

bie wszystko w porządku, musimy zawieźć tę wiadomość do ojca i wrócić do naszych domów.

- To prawda. Marion na pewno się martwi, tak samo Elene - powiedział Geoff.

Reynold skinął głową i odruchowo roztarł chorą nogę. Oczywiście od dawna się tego spodziewał. Zapasy rzeczywiście były skąpe, a na to, by sprzedać skarb, potrzeba było czasu. Zresztą panna Sexton zamierzała rozdzielić pieniądze między tych, którzy do końca zachowali lojalność.

Rozejrzał się dookoła. Sześć ciemnowłosych głów pochylało się nad stołem. Jego bracia z pewnością wcale nie chcieli odjechać tak szybko. Jednak na wszystkich oprócz Nicholasa czekały rodziny i obowiązki, których nie można długo zaniedbywać. Reynold nie miał pojęcia, jak braciom udało się przyjechać w komplecie, skoro każdy mieszka gdzie indziej, ale jednak przyjechali i był im za to bardzo wdzięczny.

Również na niego był już czas. Należało wrócić do domu.

- Kiedy odjeżdżamy? - spytał.

Spojrzał na swoje palce, które z pewnością nie masowały obolałych miejsc tak dobrze, jak mleczone dłonie pewnej damy. Długo odsuwał od siebie tę chwilę, ale w końcu i tak nadeszła. Nie będzie już musiał bronić się przed opiekuńczymi gestami, tłumić uczucia i zwalczyć pokusy. Tylko że ta perspektywa wcale go nie cieszyła.

- My? - spytał zdziwiony Dunstan.

- Powinienem już wrócić do domu, do Campion - powiedział Reynold, choć te słowa ledwie przeszły mu przez gardło.

Campion już wcale nie wydawało mu się domem. Miał poczucie, że jego miejsce jest tutaj, w tym dworze, z grupką ludzi, którzy stali się dla niego niemal rodziną.

- Dlaczego miałbyś z nami jechać? - spytał Geoff. - Wszyscy widzimy, jak patrzycie na siebie z panną Sexton...

- Dobrze wiesz dlaczego - przerwał mu Reynold, dość miał bowiem fantazji i baśni.

W ciszy, która zapadła, uświadomił sobie nagle, że wszyscy na niego patrzą. Poirytowany nie zamierzał dłużej niczego udawać, więc rzekł prosto z mostu.

- Z powodu mojej nogi.

Stało się, powiedział to głośno. Bracia jednak wydawali się niewiele z tego rozumieć.

- A co to ma do rzeczy? - spytał Nicholas.

Reynoldowi nie mieściło się w głowie, że bracia wciąż próbują przymykać oko na to, z czym borykał się przez całe życie.

- Może umknęło to waszej uwagi, ale urodziłem się kulawy. I nawet jeśli nigdy nie przyjmowaliście tego do wiadomości, to noga mi się od tego nie wyleczyła!

Powiedział to tak głośno, że wszystkich zaskoczył. W odróżnieniu od porywczego Simona Reynold nigdy nie podnosił głosu, nie tracił panowania nad sobą.

- Czekaaj, czekaaj - powiedział Stephen. - Doskonale wiemy, że urodziłeś się z chorą nogą. Przecież tam byliśmy, pamiętasz? Wszyscy, z wyjątkiem Nicholasa.

- Bez wątpienia bardzo się staraliście, żeby potem nie zwracać na nią uwagi - powiedział Reynold, mierząc ich gniewnym spojrzeniem.

Znów wydali się zaskoczeni. Simon poderwał się z miejsca tak, jakby chciał uderzyć brata. Wyjątkowo tym razem i Reynold był skłonny do bitki, więc i on się podniósł, mimo że wciąż bolało go ramię. Jednak Geoffrey położył dłoń na ramieniu Simona, ten usiadł i chwila napięcia minęła.

- Rey, to nie to, że nie zwracam na nią uwagi - powiedział Nicholas. - Ja po prostu o tym zapomniałem.

- Jesteś sprawny tak samo jak my wszyscy, więc dlaczego mielibyśmy cię inaczej traktować? - spytał Simon spode łba.

- Poza tym nie znosisz troski - dodał Stephen i zwrócił się do Geoffa. - Pamiętasz, co było, kiedy ojciec sprowadził tę starą kobietę, żeby się nim opiekowała?

Geoff skinął głową.

- Tak, po śmierci matki.

- Miał trzy latka. Z chorą nogą przewrócił ją, a sam uciekł - wycedził Stephen i bracia parsknęli śmiechem.

Przez chwilę Reynold nie wiedział, o czym mowa. Potem jednak wspomnienie z dzieciństwa nagle wróciło do niego z niezwykłą wyrazistością. Nie chodziło mu wcale o

tę starą kobietę, tylko o to, że nienawidził rozpieszczania, że kazaliby mu leżeć w ciemnym pokoju, podczas gdy jego bracia się bawią.

- Nie usiedziałybyś spokojnie przy żadnym zabiegu, zresztą ojciec nie miał zaufania do uzdrowiaczy - powiedział Geoffrey. - Naczytał się jakichś arabskich tekstów o medycynie i był uprzedzony.

- Nie chcieli ci przypadkiem nacierać nogi tłuszczem skazańca, którego dopiero co stracono? - spytał kpiąco Simon.

- Tak, przypominam to sobie. I pamiętam też, dlaczego ojciec nie pozwolił ci upuszczać krwi - uzupełnił Dunstan.

- Znasz ojca - powiedział Geoff. - Rzekł: „Co się stało, to się nie odstanie. Musi się nauczyć, jak z tym żyć”.

Reynold wytrzeszczył oczy na braci, a oni z zapalem przypominali sobie różne fakty, o których nigdy nie słyszał albo dawno zapomniał.

- Wszyscy widzieliśmy na własne oczy, że nie lubisz być traktowany ulgowo - dodał Robin, wzruszając ramionami. - No więc nie robiliśmy tego.

I te dwa proste zdania wreszcie uświadomiły Reynoldowi, że przez wszystkie te lata tak naprawdę nienawidził czegoś, co sam na siebie sprowadził. Sądził, że wszyscy dookoła są nieczuli na jego problem, a oni właśnie chcieli być troskliwi.

- Daj spokój, przecież to ci w niczym nie przeszkadza - powiedział Simon. - Dunstan pewnie wycierpiał więcej przez to bicie, które dostał od pacholków Fitzhugh.

Simon miał taką minę, jakby chciał mu powiedzieć wprost, żeby przestał jęczeć, i Reynold poczuł, jak jego uraza wraca. Łatwo było tak mówić temu, kto jest zdrowy jak byk. Wtedy jednak Simon uniósł ramię i krzywiąc się, ostrożnie nim poruszył.

- Moje ramię też nie jest takie, jak było kiedyś, po tym zawale w kopalni.

- Wiem też, że ojciec ma kłopoty ze stawami - powiedział Geoffrey. - Joy zrobiła dla niego specjalną maść. Powinieneś ją poprosić, to zrobi i dla ciebie.

- Ja tam nie wziąłbym żadnej maści od Bethii - rzekł Simon i kilku de Burghów się roześmiało. - Ona oczywiście ma inne zalety, którymi aż nadto to nadrabia - dodał szybko i mimo woli się uśmiechnął.

Złość Reynolda szybko się ulotniła. Rozumiał już, że rodzina przyjmuje go takim, jaki jest, i popełnił błąd, myśląc inaczej.

- Wszyscy mamy swoje problemy - powiedział Robin. - Biedny Dunstan musiał wiele wycierpieć jako najstarszy.

- Och nie, on urodził się dorosły, z mieczem w dłoni - zażartował Simon.

- A Simon urodził się po to, żeby stawać mu okoniem - zauważył Stephen i wszyscy popatrzyli na Simona, który się naburmuszył.

- A biedny Geoffrey mógłby być wielkim uczonym, gdyby tylko przyszedł na świat w innej rodzinie - dorzucił Stephen.

- I tak jestem wielkim uczonym - zapewnił Geoff i wszyscy się roześmiali.

Nikt nie ważył się spojrzeć na Stephena, który dopiero teraz zaczynał dochodzić do siebie, po latach żłopania wina sprawiającego, że dużo gadał, a mało myślał. Może to i większy kłopot niż mój, uznał Reynold.

- Jeśli o mnie chodzi, moja jedyna niedoskonałość polega na tym, że staram się co pewien czas rozśmieszyć takie tępe woły jak wy - powiedział Robin i oczywiście wywołał tym salwę śmiechu.

A co z Nickiem? - zastanowił się Reynold, ale kiedy jego bracia popatrzyli na Nicka, najmłodszy de Burgh po prostu pięknie się uśmiechnął i pokręcił głową.

Wyglądało na to, że wszyscy zaakceptowali swoje miejsce w rodzinie, ale wiedział, że nie wszyscy byli tak wyrozumiali jak jego bracia. Dlatego musiał nazajutrz wyjechać.

- Wy może nie widzicie tego, że jestem inny - powiedział Reynold, sięgając po kufel, by dopić piwo. - Ale co powiecie o Amice?

- O kim? - spytał Nicholas.

Jako najmłodszy mógł nie pamiętać, ale Reynold bardzo się zdziwił, kiedy również pozostali bracia zrobili głupie miny.

- O Amice Fauchet - dodał zniecierpliwiony.

- Jednej z córek lorda Faucheta? - spytał Geoff.

- Czy on wspomina o tym, jak byliśmy tam wszyscy razem z wizytą? - zainteresował się Robin, spoglądając na Geoffreya.

- Reynold czuł do niej miętę - wycedził Stephen.

- A ona nie? - spytał Robin.

- Nie - przytaknął Reynold. - Oświadczyła bardzo wyraźnie, że kuternogi nie chce.

- Co za suka - krzyknął Stephen.

- Widziałem ją kiedyś na dworze i możecie mi wierzyć, że nie jest teraz ani na jotę lepsza - stwierdził Dunstan. - Trzyma męża krótko, domaga się od niego futer i błyskotek, bo jak nie, to skarży się ojcu.

- Jej siostry są takie same - wtrącił Geoff.

- Przestańcie plotkować jak przekupki - powiedział Simon. - Jaki jest sens w takim strzępieniu języków?

- Taki, że ona dała mi kosza - powiedział Reynold.

- I dzięki Bogu - stwierdził oschle Stephen, po czym przeszył brata spojrzeniem. - Chyba już cię to nie boli? Byłeś wtedy chłopcem, a ona ma ptasi mózdzek.

Reynold poczuł, że jego uraza znów się odzywa.

- Łatwo wam tak mówić, kiedy wszyscy jesteście zdrowi! Na mnie żadna kobieta nigdy nie spojrziała.

Z ponurą miną potoczył wzrokiem po braciach, ale zareagowali inaczej, niż się spodziewał. Dunstan odrzucił głowę i ryknął śmiechem, a inni mu zawtórowali.

- Co w tym jest śmiesznego? - spytał Reynold, unosząc się z ławy.

- Spokojnie - fuknął Dunstan. - Gdybym chciał dwóch Simonów, poprosiłbym Campiona o bliźniaki.

- A gdybym ja wiedział, że interesuje cię choć trochę płeć przeciwna, podesłałbym ci mnóstwo ładnych okazów - zapewnił go Stephen.

Reynold siedział z otwartymi ustami, a oni na wyścigi wymieniali imiona kobiet, które ich o niego pytały i były zainteresowane wychowywaniem następnego pokolenia de Burghów. Podejrzewałyby nawet, że go podpuszczają, ale przecież bracia nie kłamałyby tylko po to, żeby poprawić mu samopoczucie.

I w tej chwili zrozumiał, że powinien chyba przyznać rację Peregrine'owi. Dorastał w zamożnym domu, wolny od trosk, i miał życie, jakie zna niewielu. Nie wysłano go pod opiekę obcych, nie pozbawiono domowego ciepła ani towarzystwa. Miał dookoła siebie

rodzinę, której członkowie kochali go na tyle, by widzieć w nim kogoś zwyczajnego, takiego jak oni. Ilu ludzi, nawet całkiem zdrowych, mogłoby coś takiego powiedzieć?

A on uciekł od tych, dla których był ważny, bo bał się, że nie spełni ich oczekiwań, i źle się czuł w swojej skórze. Teraz jednak wyglądało na to, że wszystkie ograniczenia stworzył sobie sam.

Trudniej jednak było w jednej chwili zmienić swoje zachowanie.

- I tak nie jestem dość dobry dla panny Sexton - powiedział cicho. - Ciągle źle o niej myślałem, bo to było łatwiejsze niż jej zaufać. Nie dalej jak wczoraj diabli mnie brali z zazdrości.

- Co tam, wszyscy jesteśmy zazdrośni - pocieszył go Dunstan.

- Mnie kusi, żeby zabić każdego, kto spogląda na Bethię - stwierdził beznamiętnie Simon.

Reynold zobaczył światełko nadziei w ciemności, która tak długo go otaczała.

- Może gdybym poprosił ją o wybaczenie...

- Co? Przecież nie powiesz jej, że o niej źle myślałeś. Oszalałeś? - Robin zwrócił się do Simona. - Naprawdę oszalał.

- Zawsze byłem tego zdania - powiedział Simon.

- Po co miałbyś jej to mówić? - zainteresował się Geoff. - Ty może poczułbyś się wtedy lepiej, ale ją by to tylko uraziło.

- Może chce, żeby go odrzuciła - wyraził przypuszczenie Stephen, wykazując przy tym zadziwiającą przenikliwość.

Reynold skrzywił się i pokręcił głową, czuł się w tej chwili tchórzem, tak jak zarzucił mu Peregrine. Jeśli uciekał przed miłością, to dlatego, że nie chciał ponieść ryzyka, o wiele większego niż podczas bitwy. Panna Sexton miała znacznie bardziej śmiertcioną broń od miecza czy włóczni.

Mogła złamać mu serce.

Sabina zeszła szybko do wielkiej sali. Po wielkiej uczcie poprzedniego wieczoru spała stanowczo zbyt długo, zdziwiła się jednak bardzo, gdy stanąwszy u podnóża schodów, przekonała się, że w sali nikogo nie ma. Czyżby de Burghowie wyjechali bez po-

żegnania? Nie wspomnieli ani słowem o takim zamiarze, ale jak inaczej wytłumaczyć tę pustkę?

Wstrząśnięta zaczęła rozmyślać nad tym, czy Reynold też wyjechał. Zrobiło jej się duszno, miała ochotę krzyknąć, ale głos jej zamarł, gdy zauważyła, że sala wcale nie jest pusta. Ktoś siedział na krześle jej ojca.

Zdołała nieco opanować panikę, bo musiał to być ktoś z de Burghów albo ich ludzi. Reynold bardzo się pilnował, żeby nie zająć miejsca, które uczyniłoby z niego pana tego dworu, dziedzica Sextonów i jej mężczyznę...

Nieco uspokojona ruszyła w stronę wielkiego rzeźbionego mebla. Widziała tylko czubek głowy, ale ciemne włosy mogły należeć do każdego z braci. Jednak gdy podeszła bliżej, serce zabiło jej mocniej. Na krześle zobaczyła Reynolda de Burgha, właśnie tak, jak zawsze go sobie wyobrażała.

Bez zastanowienia podbiegła do niego, a on przytrzymał ją i posadził sobie na kolanach. Sabina nie zamierzała jednak na tym poprzestać. Jeśli mieli się pożegnać, była zdecydowana wziąć od Reynolda jak najwięcej, zanim zniknie z jej życia na zawsze. Ująwszy jego twarz w dłonie, pocałowała go w usta.

Sądziła, że odsunie ją od siebie, jednak gdy ich wargi się zetknęły, zrozumiała, że nie ma zamiaru przed niczym się cofać. Okazało się, że pragną tego pocałunku oboje.

Gdy wreszcie Reynold go przerwał, by na nią popatrzeć, pożądanie zdawało się łagodzić jego posępne rysy. Oczy mu błyszczały blaskiem pożądania.

- Czy to jest pożegnanie? - spytała. Pokręcił głową.

- Mam ochotę zawsze już ci towarzyszyć, jeśli pozwolisz mi zająć miejsce twojego ojca... i ofiarujesz swoją rękę.

Sabina poczuła przyływ nadziei, która jednak zaraz zgasła.

- Nie, panie - powiedziała, choć serce jej pękało. - Nie mogłabym nałożyć na ciebie takiego ciężaru jak żona dotknięta szaleństwem.

- Nie jesteś szalona - zaprzeczył stanowczo. - Zresztą ja nie obarczyłbym cię mężem, który jest... kulawy.

Sabina poderwała głowę.

- Nie jesteś kulawy...

Lord Burgh przyłożył jej palec do warg.

- Powiedz „tak” i zostań moją żoną. A potem będziemy się mierzyć ze wszystkim, co nas czeka. Odbudujemy Grim's End, twoje dziedzictwo, i założymy rodzinę. Cokolwiek się zdarzy, będziemy temu stawiać czoło razem.

Była to chyba najdłuższa przemowa w życiu Reynolda, a dla Sabiny również bardzo wzruszająca. Jak mogła odrzucić oświadczenia, skoro jej największym marzeniem było spędzić resztę życia w ramionach tego mężczyzny?

Skinęła głową, a oczy zaszły jej łzami radości. Wtuliła więc twarz w pierś Reynolda, szukając tam ciepła, z którego teraz mogła czerpać do woli. Czuła, jak jej napięcie ustępuje, bo jeśli ktoś mógł dać jej szczęście, to właśnie ten mężczyzna.

- Kocham cię, panie - szepnęła Sabina.

- Reynoldzie - powiedział i poczuła, że się uśmiechnął, trzymając twarz wtuloną w jej włosy. - Ja też cię kocham. To niebezpieczne oddać komuś swoje serce, ale nie mam innego wyjścia, muszę... i ufam, że go nie złamiesz.

Sabina podniosła głowę i już złożyłaby mu obietnicę, gdyby nie to, że drzwi nagle się otworzyły i do wielkiej sali wpadł Nicholas de Burgh, a za nim reszta braci.

- Hola, Reynoldzie - zawołał Nicholas. - Przejęliśmy wiadomość, którą przywiózł ci posłaniec!

- Wiadomość? Do mnie? - zdziwił się Reynold.

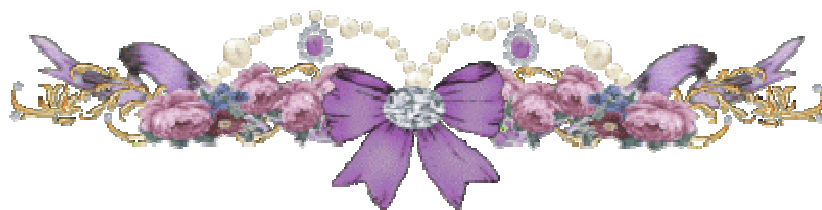
Sabina była jeszcze bardziej zaskoczona i nawet nie przyszło jej do głowy, że powinna zejść mu z kolan.

- Wygląda na to, że Welsham jest bardzo wdzięczny za pomoc, postanowił ci to więc wynagrodzić, nadając dawne ziemie Cyppe'ego, właśnie w tej okolicy. Wyłącza z tego tylko grunty panny Sexton, które łaskawie zachowuje w jej władaniu - powiedział Dunstan. - I życzy sobie, abyś przy użyciu wszystkich swoich mocy odbudował życie w Grim's End i w innych wsiach, leżących na obszarze twojego lenna.

Sabina usłyszała głośny wdech Reynolda. Ona też nie wierzyła własnym uszom.

- Wygląda więc na to, że zostajesz tutaj - powiedział Simon, zamykający ten orszak.

- A z tego, co widzę - dodał Stephen, przyglądając się Sabinie siedzącej na kolanach Reynolda - już zaczął snuć plany!



TLR